Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

FOT. ARCH. PRYWATNE

FACECI NIE CZEKAJĄ, więc jeżdżą same

▶ 28

KACZYŃSKI Cynizm i prawdziwy ból

▶ 8

WYSOKIE OBCASY

Powstanka warszawska: Boję się o wnuki

MAGAZYN wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

AMERYKA W KRYZYSIE

Pierwsze było jajko,

a potem cła, giełdy i rozwód z Europą

▶ 14-23

FOT. STOCKTOM/SHUTTERSTOCK, MARK PETERSON-POOL/GETTY IMAGES, MONTAŻ: MARIUSZ ROSA, JAKUB PIOTROWSKI

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 15>

Chrobry sfrustrowany jak polski książę

▶ 42

Gruzin z Ukrainką w moim bloku. Jak Polacy sobie z tym radzą

▶ 4

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

Wybieramy polski film 25-lecia. Grażyna Torbicka: Szkoda, że nie ma przy tym naszych posłów

▶ 31

Sobota–czwartek, 12-17 kwietnia 2025 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 86.10883

Nakład 82 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 8d168fc391

Agnieszka Kublik

Łydka Marianny wygra wybory

TVRepublika Tomasza Sakiewicza i wPolsce24 braci Karnowskich walczą coraz zapalczywiej. Im bardziej Republika zwiększa widownię – a już prowadzi w rankingu stacji informacyjnych, wyprzedza nawet TVN24, zostawiając wPolsce24 w pobitym polu z wynikiem ponad 5 razy gorszym – tym bardziej nie odpuszcza. To tu w poniedziałek odbędzie się prezydencka debata. To coś więcej niż walka o widza i kasę. To walka o realną polityczną władzę.

To u Sakiewicza skrył się Ziobro, gdy miał być doprowadzony do Sejmu na posiedzenie komisji ds. Pegasusa. To tu Dariusz Matecki czekał na kajdanki. A im bardziej Republika zagarnia tematy i gwiazdy prawicy, tym mniej powodów mają gwiazdy prawicy, by chodzić do wPolsce24.

Co pozostaje rywalom? Ciężkie zarzuty: że Republika trwoni datki od widzów, szastając pieniędzmi na popisy w rodzaju wysłania ekipy – niby za Dudą – i wykupienia stoiska na ważnej konserwatywnej konferencji CPAC w USA. Za 150 tys. dolarów!

Oraz zarzut najgorszy – że Sakiewicz tworzy partię R. Znaczy działa przeciwko PiS, czyli samemu Kaczyńskiemu. Dowód? Republika nie angażuje się, jak należy, w wybory. – Pewna prawicowa stacja z ego większym od kosmosu i złotymi schodami ruchomymi nie znalazła sił, by wysłać reportera na żadne ze spotkań @NawrockiKn – atakuje Karnowski na X. – Oni nie chcą wygranej Karola Nawrockiego. Prawie jego kampanii nie widzą, promują Mentzena – alarmuje Karnowski. – A może to gra na nowe rozdanie na prawicy?

Karnowscy Sięgnęła po emocje i narzędzia, którymi dotąd gardzili. Bardziej w stylu Berlusconiego niż Kaczyńskiego

Obie stacje koncesje dostały dzięki temu, że Kaczyński obsadził KRRiT ludźmi sobie uległymi. Wojewódzki Sąd Administracyjny w środę zakwestionował decyzję KRRiT. Orzeczenie nieprawomocne, więc w praktyce niczego nie zmieni. Stacje nadają nadal, ale wpadły w histerię.

A Karnowscy uznali, że to dobra okazja, żeby podnieść się z desek. Program dostała żona posła PiS – Marianna Schreiber, która zaistniała publicznie, kiedy bez wiedzy męża pojawiła się w „Top model" w TVN. Kompetencji ma wiele, m.in. walczyła w klatce w Clout MMA, założyła i zlikwidowała partię Mam Dość. Ale do komentowania polityki nie ma. Prowadząca nie wiedziała, że Sejm może uchylać posłowi immunitet, porównała Polskę do Białorusi, a o komentarz w sprawie więźniów politycznych spytała Grzegorza Brauna.

Plansza powitalna „Naga prawda" i czołówka: zaczyna się od kadru na jej nogi. Marianna sugestywnie pociera stopą o łydkę. Potem kadr na biust wylewający się z gorsetu. Słowem, Karnowscy do programu przyciągają tym, czym do niedawna przyciągały tabloidy, z brukowcem „The Sun" na czele.

Tak się składa, że w stacji Karnowskich pracuje od stycznia Jacek Kurski.

USA, Rosja, Kazachstan
W kosmosie jest lepsza atmosfera

FOT. REUTERS/MAXIM SHEMETOV

Sojuz MS-27 z dwoma rosyjskimi kosmonautami i amerykańskim astronautą dotarł na Międzynarodową Stację Kosmiczną. We wtorek wystartowali z kosmodromu Bajkonur. Choć Kazachstan coraz bardziej ciąży ku UE i USA – Rosja nadal płaci mu za dzierżawę Bajkonuru, bo ich własne kosmodromy są w budowie.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

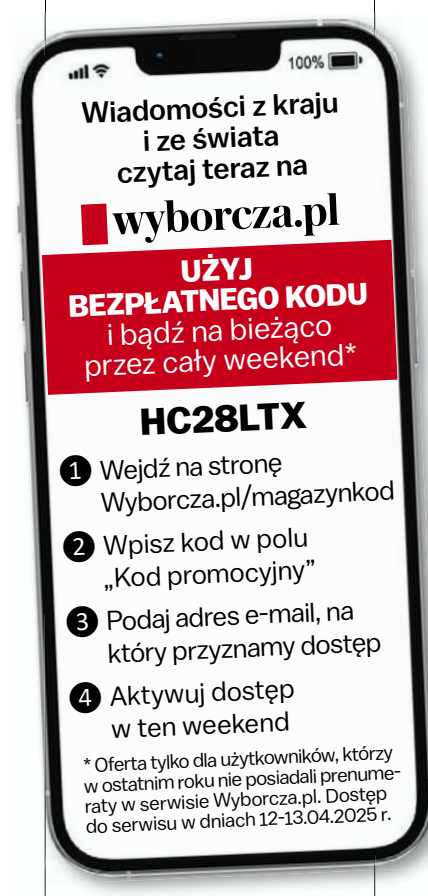

Aenocyon dirus sprzed 10 tys. lat
Ile wilkora w wilkorze

Colossal Biosciences, firma, która chce „wskrzeszać" wymarłe gatunki, właśnie pochwaliła się trzema osobnikami „dire wolf", „wilka strasznego". Psowaty Aenocyon dirus żył w różnych częściach Ameryki Północnej w plejstocenie. Był większy od genetycznego krewnego, wilka szarego, miał grube futro, szerszą głowę i mocniejszą szczękę, by radzić sobie z kośćmi wielkich ssaków. Wymarł wskutek zmian klimatu ponad 10 tys. lat temu, choć na chwilę odżył – w postaci wilkorów ze słynnej powieściowej i serialowej „Gry o tron".

Ale są wątpliwości, czy Romulus, Remus i samiczka Khaleesi to naprawdę „wilk straszny".

Naukowcy Colossusa posłużyli się genami pobranymi ze skamieniałości oraz genami Canis lupus, czyli zwykłego wilka szarego. Ten materiał genetyczny wszczepili suce psa domowego. Mówią: – To funkcjonalna kopia. – Raczej składak – odpowiadają niezależni naukowcy.

– To colossal bullshit. Po prostu sprytna akcja marketingowa – mówi

FOT. COLOSSAL BIOSCIENCES/REUTERS

prof. Robert Mysłajek, genetyk z UW. Tłumaczy, że laboratoryjnie wyprodukowano psa z 20 zmienionymi genami. No i przynależności gatunkowej decydują nie tylko geny, ale też cały proces związany z nauką zachowań. – W tym sensie również to nie są żadne wilki, ale psy. Ich wychowaniem zajmuje się suka psa domowego.

Prof. Love Dalén, genetyk z Uniwersytetu w Sztokholmie i doradca Colossal stwierdza, że genotyp Aenocyon dirus ma charakter hybrydowy, zaś „w społeczności naukowej będzie spór o to, ile genów należy zmienić, aby powstał wilk straszny, ale to tak naprawdę pytanie filozoficzne".

A naukowcy Colossal pracują nad mamutem włochatym, ptakiem dodo i wilkoworem tasmańskim.

Robert Jurszo

Andrzej rysuje

Cytat dnia

Dorośli muszą zrobić coś więcej niż tylko oburzać się na dzieci. To zupełnie przerasta ich głowy i serca

SILKE MÜLLER, dyrektorka szkoły, o dyskutowanym w Niemczech zakazie telefonów w podstawówkach i szkołach średnich. Wprowadza go już Hesja i Kraj Saary.

Więcej
▶ Wyborcza.pl/świat

Liczba dnia

57,6

PROC.

FOT. SHUTTERSTOCK

przebadanych przez Federację Konsumentów produktów z Shein i Temu – serwisów zakupowych oferujących najtańsze chińskie towary – zawiera metale ciężkie. Ubrania, bielizna, buty, biżuteria – wszędzie badacze znaleźli chrom, nikiel ołów, kobalt i antymon w stężeniach przekraczających dopuszczalne limity.

▶ Wyborcza.biz

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

Elektorat PiS jest ospały

Marsz ostatniej nadziei

Jasionka jako błąd Tuska, cła Trumpa jako porażka UE, zamach reżimu na TV Republika – żadna sztuczka Kaczyńskiego nie działa

Dominika Wielowieyska

Nasza kampania prezydencka jest dość zaściankowa. Świat zajmuje się wojną celną. A nasi kandydaci prowadzą debatę o debatach: czy ma się odbyć w takiej telewizji, czy w innej i w jakim składzie. W każdej polskiej kampanii co jakiś czas pojawia się ten wątek: kto i z kim ma debatować, a media poświęcają temu sporo czasu. Bo też każda telewizja chce sobie zapewnić udział w taki wydarzeniu. Ale zwykłych obywateli specjalnie to nie interesuje.

Ale cła nakładane przez USA na kolejne kraje też nie budzą u nas wielkich emocji. Z prostego powodu – choć rozumiemy, dlaczego są groźne, nie mamy do nich stosunku emocjonalnego. Bo za bardzo wiemy, jak to wpłynie na nasze życie.

Karol Nawrocki także niewiele wie na ten temat. – Prezydent Donald Trump, podejmując swoje decyzje, reaguje na pewien geopolityczny kryzys, ale także kryzys Unii Europejskiej – stwierdził. Nie trzeba być znawcą ekonomii i polityki zagranicznej, żeby stwierdzić, że kandydat PiS nie ma pojęcia, o czym mówi: nie o żaden kryzys chodzi, Trump chce po prostu przycisnąć kontrahentów. A Polska może dostać rykoszetem. Spin-doktorzy mogliby się bardziej wysilić.

Serwisy społecznościowe tymczasem ekscytują się fotkami Rafała Trzaskowskiego ze szkolenia wojskowego, albo sposobem, w jaki wymawia nazwę słynnego wafelka prince polo, albo zdjęciem z leżącym na ławce Nawrockim.

●

Przez chwilę w kampanii zaistniał jeden poważny temat – i posłużył PiS-owi do rozpowszechniania kłamstw: relokacja amerykańskich żołnierzy z Jasionki. Chodzi o personel i sprzęt wojskowy stacjonujący na podrzeszowskim lotnisku, ważnym punkcie wysyłkowym zachodnich dostaw dla Ukrainy. Szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz wyjaśniał, że przenosiny w inne rejony kraju były ustalane z Polską już wiele miesięcy.

Janusz Kowalski ogłosił mimo to na X: „Amerykanie wycofują się z Jasionki, to efekt rządów Tuska”. W podobny ton uderzył Morawiecki: „Prezydent USA Donald Trump wątpi w relacje z obecnym rządem polskim”. Tymczasem decyzje dotyczące Jasionki zapadły za prezydentury Joe Bidena, ale co komu szkodzi kłamać. Intencja tej zmiany polega na tym, aby kontrolę nad hubem przejmowało całe NATO. Wedle nieoficjalnych informacji Biden uznał, że Trump jest nieprzewidywalny w kwestii wojny w Ukrainie i lepiej, aby nie sami Amerykanie nadzorowali ten newralgiczny obszar.

Przypomniałam sobie kilka zdań Bidena, gdy korespondent Polskiego Radia Marek Wałkuski zadał amerykańskiemu prezydentowi pytanie: czego pan życzy dziś Polsce? Biden odpowiedział: „Zrobiłem wszystko co w mojej mocy, aby dać wam wszystko, czego potrzebujecie do obrony i powstrzymania Putina. Przekazaliśmy nowej administracji wszelkie materiały i informacje i wszystkie niezbędne zasoby. Modlę się do Boga, aby ci ludzie zrobili co trzeba”. Trudno nie zauważyć, że mowa o nieprzewidywalności Trumpa. Oprócz modlitwy Biden z udziałem NATO zaplanował pewne bezpieczniki.

PiS chce tę sprawę rozegrać przeciwko rządowi, ale szyki pokrzyżował mu Andrzej Duda, który przecież sam gwarantował po rozmowie z Trumpem kilka tygodni temu, że Amerykanie żołnierzy nie wycofają. Teraz prezydent stanął po stronie rządu i uderzył w PiS. Podkreślił, że relokacja jest zaplanowaną zmianą, a Polska oraz jej sojusznicy pozostaną odpowiedzialni za utrzymanie silnej infrastruktury ochronnej wokół lotniska w Jasionce. – To jest kwestia, która wcześniej była omawiana na poziomie sojuszniczym – powiedział w rozmowie z Radiem ZET. Potwierdził, że ta decyzja nie oznacza, że amerykańscy żołnierze opuszczą nasz kraj.

Ta kwestia nie podziała więc mobilizująco na korzyść Nawrockiego, ale inne wydarzenie może być skutecznym katalizatorem.

●

W środę Wojewódzki Sąd Administracyjny, po zbadaniu skargi jednego z uczestników konkursu na koncesję na nadawanie naziemne, orzekł, że „wybór Telewizji wPolsce24 i Telewizji Republika na udzielenie im koncesji spośród czterech podmiotów, które się nią ubiegały, odbyło się w niewłaściwy sposób”.

Latem zeszłego roku KRRiT przyznała koncesje TV Republice i wPolsce24. Skarżący, właściciel Grupy MWE Networks, ocenił, że decyzję podjęła niezgodnie z zasadami równego traktowania i bezstronności.

Nie ulega wątpliwości, że sąd i skarżący biznesmen mają rację i że ekipa Macieja Świrskiego, wiernego żołnierza PiS, nawet nie zachowując pozorów (szef KRRiT występował notorycznie w tych mediach, wychwalając je pod niebiosa), wskazała w konkursie dwie PiS-owskie telewizje. Dodajmy, że wyrok jest nieprawomocny i nic się tym stacjom teraz, w kampanii wyborczej, nie stanie, bo zapewne odwołają się od tej decyzji do sądu wyższej instancji. Dopiero po prawomocnym wyroku Rada musiałaby urządzić konkurs od nowa.

Oczywiście nikt w żadnym sztabie nie miał wpływu na to, kiedy sąd rozpatrzy skargę – a ma obowiązek zrobić to jak najszybciej. Jednak mało kto będzie zagłębiał w szczegóły: PiS-owskie media już ogłosiły, że są prześladowane, a to może zaktywizować z lekka ospały elektorat. Republika – razem z szefem KRRiT – już uderzyła w wysokie tony, że to precedens i zamach. A mnie się przypomniało jak Świrski kibicował „lex TVN”. Ustawa mająca zmusić amerykańskich właścicieli do sprzedaży telewizji, która patrzyła na ręce rządowi Zjednoczonej Prawicy, nie weszła w życie tylko dlatego, że Andrzej Duda ją zawetował.

Może się jednak zdarzyć, że nawet to nie obudzi wyborców PiS, bo jeśli atak Jarosława Kaczyńskiego na Romana Giertycha nie podziałał elektryzująco, to los PiS-owskich telewizji też nie poruszy sumień. Przekonamy się, jak się rzeczy mają, już w sobotę, na „marszu patriotów”, który PiS organizuje, usiłując popłynąć na marszowej fali, skoro ta nadała zwycięski impet kampanii demokratycznej opozycji anty-PiS w 2023 r., a w maju znów zamierza na nią wskoczyć Tusk. Obecność zapowiedział Karol Nawrocki. Frekwencja będzie ważnym sygnałem. ●

REKLAMA Kraj/34367731

Poczuj romantyczną atmosferę na śródziemnomorskiej wyspie Malta, korzystaj z uroków wyspy i odkryj jedne z najstarszych i najbardziej imponujących skarbów dziedzictwa kulturowego na świecie.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Valletty. **Dz. 2** Zwiedzanie miasta Valletta wpisanego na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO oraz katedry św. Jana i Pałacu Wielkiego Mistrza. **Dz. 3** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do megalitycznej świątyni Hagar Qim, Błękitnej Groty i wioski rybackiej Marsaxlokk. **Dz. 4** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do miasta Mdina, lokalne maltańskie rzemiosło i ogrody San Anton. **Dz. 5** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Mosty. **Dz. 6** Czas wolny lub wycieczka fakultatywna na wyspę Gozo. **Dz. 7** Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 8** Lot powrotny do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 09/09, 14/10 2025, Wylot z Krakowa 14/10 2025

6.998,-

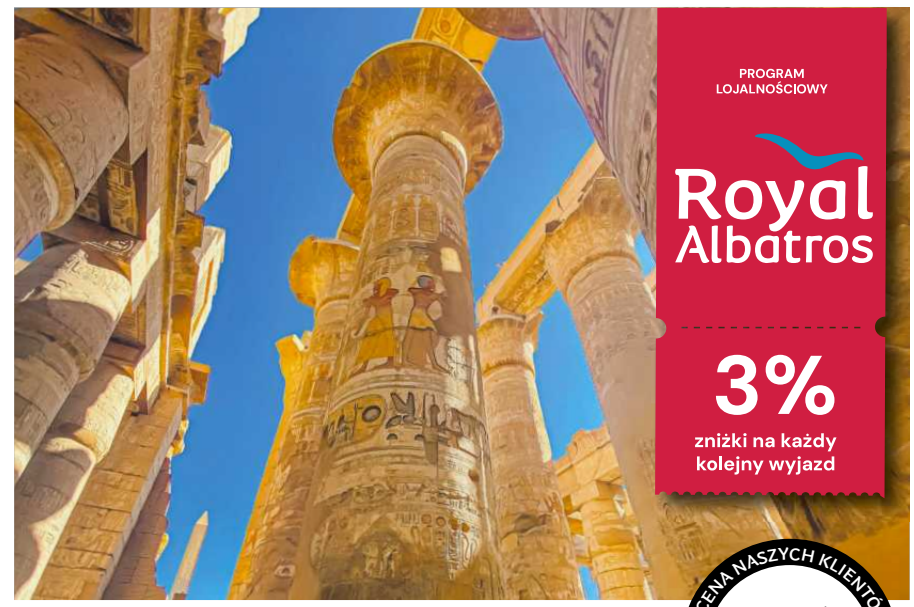

Kair i rejs po Nilu

OCENA NASZYCH KLIENTÓW 4,5/5

Wyjątkowa wycieczka po największych atrakcjach Egiptu: Kair, piramidy w Gizie, 3-dniowy rejs po Nilu z Asuanu do Luksoru oraz plażowanie nad Morzem Czerwonym.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Kair. **Dz. 2** Kair. Piramidy w Gizie i Muzeum Egipskie. **Dz. 3** Kair. Zwiedzanie Kairu, „Wiszący Kościół”, Cytadela i Khan el-Khalili Baza. **Dz. 4** Przyjazd do Asuanu. Tama Asuańska i Świątynia Izydy w Asuanie. Zaokrętowanie na statek. **Dz. 5** Rejs z Asuanu do Esny ze zwiedzaniem Świątyni Kom Ombo i Świątyni Horusa w Edfu. **Dz. 6** Rejs z Esny do Luksoru. Świątynia Karnak i Świątynia w Luksorze. **Dz. 7** Luksor. Dolina Królów i świątynia królowej Hatszepsut. **Dz. 8** Przejazd z Luksoru nad Morze Czerwone. **Dz. 9** Makadi Bay. Relaks nad Morzem Czerwonym. Wieczorem wylot do domu. **Dz. 10** Przylot do Warszawy.

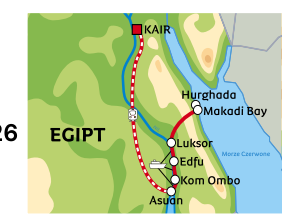

10 dni | Wyloty z Warszawy 18/11 2025, 24/02 2026

od **10.498,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
Kod reklamy: GW10

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl 8d168fc391

WAŻNY TEMAT

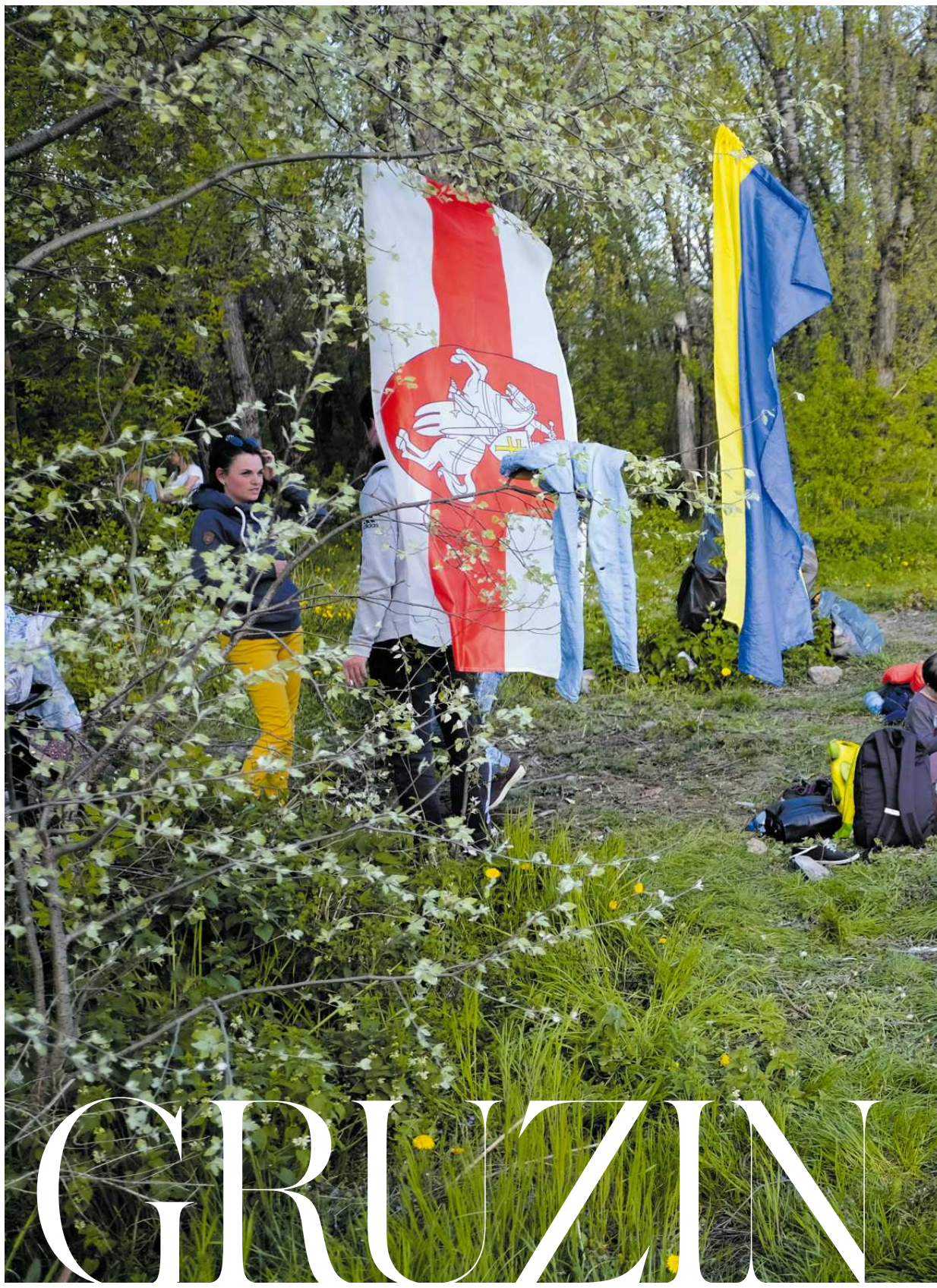

GRUZIN W MOIM BLOKU

Bugatti nie pasuje nam do stereotypu uchodźcy. Ale czy gdyby w Polsce wybuchła wojna, uciekliby tylko biedni Polacy?

Z **DR. HAB. MICHAŁEM BILEWICZEM,** PSYCHOLOGIEM SPOŁECZNYM, ROZMAWIA **ALEKSANDRA SZYŁŁO**

ALEKSANDRA SZYŁŁO: W kobiecym internecie słychać obawy Polek, że Ukrainki zabiorą nam facetów: bo Ukrainki są „zrobione", gotowe chodzić na obcasach cały dzień i są przyzwyczajone do patriarchatu – będą cicho siedziały wdzięczne, że facet jest, o ile on nie chleje na umór i przynosi jako taką pensję.

MICHAŁ BILEWICZ– Realistyczny konflikt grupowy – tak się nazywa to zjawisko. Rywalizacja o zasoby, które uważamy za ograniczone. Rozumiem, że Polki mogą się obawiać Ukrainek, bo przecież z Ukrainy przyjechały do nas głównie kobiety. Ale nie przeceniałbym tu rynku matrymonialnego.

Pamiętajmy, że ten konflikt zachodzi głównie na rynku pracy – nagle pojawiła się duża konkurencja w typowo kobiecych zawodach, uchodźczynie zakładają salony urody, które konkurują z polskimi salonami, podejmują się pracy w opiece nad starszymi ludźmi czy dziećmi. Tam, gdzie jest realistyczny konflikt grupowy, te emocje rzeczywiście mogą narastać i to widzimy w sondażach, np. widzimy, że młode Polki są bardziej niechętne przyjmowaniu uchodźców z Ukrainy niż inne grupy.

Warto jednak podkreślić, że najwięcej obaw i niechęci wobec imigrantów wyrażają Polacy mieszkający na wsiach – czyli tam, gdzie tych imigrantów jest zdecydowanie najmniej. I odwrotnie – najbardziej otwarci na imigrantów są Polacy z dużych miast, czyli ci, którzy realnie na co dzień mają z nimi do czynienia. To dowodzi, że niechęci nie powoduje realne doświadczenie, tylko teoretyczne przekonania.

Znajoma staje na stacji benzynowej po szybką kawę, a w kolejce do toalety przed nią pięć Ukrainek, głośno rozmawiają. „Wszędzie ci Ukraińcy" – myśli. Po dziesięciu minutach jeszcze: „Może mi się należy wejść pierwszej w moim własnym kraju". My, niebędący wyborcami PiS ani Konfederacji, z trudem się do takich myśli przyznajemy. Jak się zmienia nastawienie Polaków do imigrantów?

– Nie fatalizowałbym. Najważniejsze badania, jakimi dysponujemy w tej kwestii, Europejski Sondaż Społeczny (ESS), od lat pokazują, że Polacy są stosunkowo przychylnie nastawieni do imigrantów.

Te badania są szczególnie cenne, bo regularnie powtarzane w całej Europie. W 2023 r. 17 proc. Polaków deklarowało, że nie powinniśmy wpuszczać do kraju imigrantów obcych nam kulturowo czy rasowo. Pozostali uważali, że w mniejszym lub większym stopniu takie imigracje są dla nas korzystne. Jeśli chodzi o imigrację osób z naszego kręgu kulturowego, choćby Ukraińców, akceptacja jest jeszcze wyższa – godzi się na nią 93 proc. Polaków.

Wypadamy tu dużo lepiej niż na przykład Węgrzy, gdzie prawie połowa populacji nie chciałaby imigrantów odmiennych kulturowo, a co czwarty zamknąłby granice również na Ukraińców czy innych Europejczyków. Ale też nie różnimy się na przykład od Portugalczyków, Cypryjczyków czy Greków, którzy mają przecież znacznie dłuższe doświadczenie z imigrantami.

ESS wykazuje nieznaczną poprawę naszego nastawienia do imigrantów od 2016 r. Bo lata 2014-2016 to było załamanie i prawie dwukrotnie wzrosła wtedy liczba Polaków niechcących widzieć w naszym kraju jakichkolwiek imigrantów spoza naszego kręgu kulturowego.

Widzieliśmy to też w badaniach naszego Centrum – ogromnie wzrosła akceptacja dla mowy nienawiści i zmniejszyła się dla jakichkolwiek osób odmiennych kulturowo. Działo się to w związku z kryzysem migracyjnym w Europie – Polacy dość nagle i szybko zaczęli mówić o wrogości wobec obcych. I to mimo że naszego kraju tamten kryzys praktycznie nie dotknął, przyjęliśmy wówczas jakąś symboliczną – na tle innych europejskich stolic – liczbę, ok. tysiąca uchodźców.

Ale do masowej wyobraźni przemówiły obrazy z mediów: tłumy koczujących pod bramami Europy, udających się np. do Niemiec. Wtedy też, około 2015 roku, zaczęliśmy inaczej o migrantach mówić. W przekazie medialnym uchodźca to już nie był pojedynczy Czeczen, którego chronimy przed Putinem, czy pojedynczy uchodźca z Donbasu, tylko „terroryści".

Natomiast po 2016 r. nastawienie Polaków do imigrantów sukcesywnie się polepszało. I nie byłbym tu mocno pesymistyczny nawet w obliczu faktu, że dwa ostatnie lata znów przyniosły pewne pogorszenie. Według CBOS w momencie wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie w 2022 r. 94 proc. Polaków było za przyjmowaniem uchodźców z Ukrainy, a teraz mamy 53 proc.

Bierzmy jednak pod uwagę, że jest to dla Polaków naprawdę szczególny okres, w ciągu którego miliony osób ze wschodu przekroczyły naszą granicę. Rzadko kiedy przy takiej skali imigracji udaje się podtrzymać

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

• **Długi majowy weekend nad Wisłą w Warszawie, 2024 rok**
FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Do białego bloku wprowadza się czarnoskóra osoba. Ktoś rzuca hasło: „Czy to pierwsze oznaki, że zaraz tu będzie getto?”, i panika się rozkręca

w miarę pozytywne nastawienie ogółu populacji kraju przyjmującego.

Mamy teraz w Polsce 2,5-2,8 mln imigrantów. Tymczasem Polacy pytani: „Ilu mamy imigrantów?”, zawyżają tę liczbę – wydaje nam się, że jest ich ponad 3 mln. Jednocześnie zaniżamy procent aktywnych zawodowo Ukraińców – wydaje nam się, że pracuje mniej niż połowa, chociaż w rzeczywistości to ponad 65 proc. O czym to świadczy?
– To nie jest nowe zjawisko. W 2002 r. pytaliśmy z Ireneuszem Krzemińskich Polaków „Ilu jest Żydów w Polsce?”, i wielu respondentów szacowało tę liczbę na milion, chociaż według spisu powszechnego z tamtego roku mieliśmy zaledwie nieco ponad tysiąc osób pochodzenia żydowskiego. W rzeczywistości spis też się nieco mylił, ale oczywiste jest, że liczba Żydów w Polsce nie przekracza kilkunastu tysięcy.

Takie przeszacowywanie wynika z tego, że o danej grupie – etnicznej albo o imigrantach, ale może to dotyczyć każdej innej mniejszości – w danym okresie jest głośno. Mówią o niej politycy, partie polityczne wynoszą ten temat na sztandary, ogłaszają programy związane z ustosunkowaniem się do tej grupy, co za tym idzie – pokazują to stale media. Przeciętny odbiorca odnosi więc wrażenie, że tych ludzi jest jakoś bardzo dużo, co może wzbudzać lęk, niepewność. Część polityków te emocje wykorzystuje – podbijają temat, odnoszą się do tego lęku i jeszcze bardziej go podsycają, by zaprezentować siebie jako „odpowiedź na problem”. Koło się zamyka.

Co ciekawe, ta tendencja do przeszacowywania działa też w inne strony: możemy na przykład przeszacowywać liczbę Polaków uprzedzonych do Ukraińców. Raz pójdzie pani do fryzjera, usłyszy tam jedną osobę, która w sposób krzywdzący wypowiada się o Ukraińcach, i to zapada pani w pamięć. Wytwarza się pogląd: „A, czyli Polacy są niechętni Ukraińcom”. Pewnie każdy z nas już gdzieś usłyszał jakąś dyskryminującą wypowiedź i ją zapamiętał, bo go wzburzyła.

Ale ilu mamy na co dzień ludzi wokół siebie, którzy nie dyskryminują, nie wypowiadają się pogardliwie? Takich sytuacji nie zliczamy, one nie przyciągają naszej uwagi, bo wtedy po prostu „jest normalnie”, „nic się nie dzieje”. A potem, gdy ktoś panią zapyta, czy Polacy są uprzedzeni do Ukraińców, jest duże prawdopodobieństwo, że przywoła pani w pamięci właśnie tamtą pojedynczą zła sytuację. Ale to nie jest rzetelny obraz.

Na tej samej zasadzie Ukraińcy również przeszacowują w sondażach liczbę uprzedzonych do nich Polaków – bo raz czy drugi zdarzyła im się zła sytuacja i tę zapamiętają szczególnie.

Pan mówi o przeszacowywaniu liczby Polaków niechętnych obcym. A ja otwieram jakikolwiek tekst na Wyborcza.pl dotyczący granicy polsko-białoruskiej i widzę ogrom komentarzy, zdecydowana większość w tonie: „Nikt was tu nie chce!”. Głosy przeciwne są pojedyncze. U nas możliwość komentowania mają wyłącznie prenumeratorzy, a to raczej nie są wyborcy PiS-u ani Konfederacji. Jak to rozumieć?
– Pamiętajmy, że jeśli dany artykuł skomentowało tysiąc osób, nie jest to reprezentatywna grupa czytelników. Założyłbym, że są to ci czytelnicy, których temat migracji szczególnie porusza emocjonalnie, i to negatywnie, czują się najbardziej zagrożeni. To jest właśnie ten powód, dla którego podejmują wysiłek napisania komentarza. Ewentualnie taki wysiłek podejmie też – z drugiej strony – aktywista, mocno zaangażowany w pomoc uchodźcom, ktoś, kto np. był w lesie i dla niego to jest sprawa, o którą walczy. Masa czytelników, dla których granica jest tematem jednym z wielu, nie komentuje.

Nie możemy wnioskować o nastrojach społecznych na podstawie obrazu z mediów społecznościowych. Gdyby to było przekładalne, to opierając się na głosach z Twittera, nabralibyśmy pewności, że w Niemczech rządzi skrajnie prawicowa partia AfD. A tak nie jest. Media społecznościowe są miejscem artykulacji lęków i niepokojów.

W mediach, a szczególnie w portalach społecznościowych, mamy do czynienia z dobrze znanym psychologom zjawiskiem pozytywno-negatywnej asymetrii. Będzie informacja o zamachu, ale nie będzie o tym, ilu ludzi tego dnia żyło spokojnie.

Będzie o tym jednym uchodźcy, który popełnił przestępstwo, nie będzie o tych, którzy uczciwie pracowali, a potem zjedli kolację z rodziną.

Bo tego oczekują odbiorcy. Dla ludzi negatywna informacja jest bardziej istotna niż pozytywna. To pozostałość naszej gatunkowej przeszłości. Od unikania zagrożeń zależało nasze przeżycie na sawannie. Dlatego dziś nasze radary są tak wyczulone, a media to wykorzystują.

Portale społecznościowe premiują negatywne emocje moralne – wpisy zawierające takie słowa jak „hańba”, „wstyd”, „skandal” zyskują lepsze zasięgi. To reguła trochę jak w saloonie z westernu: hasło, wystrzał, to zwrócą na ciebie uwagę. Sam mam ten dylemat, jak piszę na platformie X o czymś dla mnie istotnym: wolę być słyszalnym, więc świadomie użyję krzykliwej formy? Czy wolę cywilizować debatę publiczną, ale wtedy niewiele osób mój przekaz odbierze.

Osoby, których praca polega m.in. na zdobywaniu zasięgów, jak politycy, muszą się dostosować do reguł gry portali społecznościowych, bo inaczej nie będą istnieli. A jednocześnie w ten sposób doprowadzamy do sytuacji, że mowa nienawiści staje się normą.

Znajomy Polak martwi się, że w jego dość nowym bloku w Warszawie już drugi Gruzin kupił mieszkanie. „Czy nasze mieszkanie nie straci teraz na wartości?”, „Czy nie zrobi się tutaj getto?” – pyta i jednocześnie wstydzi się wprost przyznać, że wolałby, żeby w jego bloku mieszkały rodziny takie jak jego własna: białe, polskie, z klasy średniej. Ten znajomy absolutnie nie określiłby siebie jako prawicowca.
– W Stanach Zjednoczonych zjawisko blockbustingu jest szeroko opisane, schemat jest następujący: do białego bloku wprowadza się czarnoskóra osoba. Ktoś rzuca hasło: „Czy to pierwsze oznaki, że zaraz tu będzie getto?”, i panika się rozkręca. Biali zaczynają sprzedawać swoje mieszkania. Ponieważ dużo osób nagle w tej samej okolicy chce sprzedać i w dodatku się spieszy – ceny spadają. Ponieważ ceny spadają – naprawdę dzielnica zaczyna być szemrana.

Getta nie tworzy jeden czy drugi obcokrajowiec albo czarnoskóry wprowadzający się do bloku – tworzy je nakręcająca się panika. Dobrze byłoby, gdybyśmy przerobili tę lekcję i skorzystali z bogatego w tym zakresie doświadczenia Stanów Zjednoczonych, zanim sami zaczniemy popełniać te błędy u nas.

Tylko że Gruzin to brzmi trochę groźnie. Ostatnio w mediach sporo jest o gruzińskich gangach i gangsterach.

eprasa.pl 8d168fc391

– A ja niedawno jechałem taksówką z moim dzieckiem i dziecko zostawiło swoją ulubioną czapkę. Taksówkarz Gruzin specjalnie się ze mną umówił, żeby nam tę czapkę oddać. To była okazja do poznania trochę innej strony tej imigracji. Okazało się, że bardzo ciężko pracuje – poza taksówką w restauracji i jeszcze gra tradycyjną muzykę, bo to jego pasja.

Czy na podstawie tego jednego przypadku wysnujemy wnioski o wszystkich Gruzinach?
– Gruzin-gangster to jak Polak-złodziej – był przecież taki stereotyp o nas w wielu krajach Europy Zachodniej. Wielu naszych ojców, kuzynów i sąsiadów wyjeżdżało na zachód do ciężkiej, uczciwie wykonywanej pracy, to przecież świetnie wiemy. A jednak hasła typu: „Polacy to przestępcy i zabierają nam pracę", w znaczącej mierze przyczyniły się do brexitu, chyba najbardziej irracjonalnej decyzji, jaką podjęło społeczeństwo brytyjskie w ostatnich dekadach.

Znam szkołę społeczną, która przyznaje stypendia uchodźcom i osobom w szczególnie trudnej sytuacji życiowej. Pewien ojciec Ukrainiec regularnie składał tam „zerowy PIT", wykazując, że nie ma żadnego dochodu, dzięki czemu jego dzieci nie płaciły czesnego, a nawet dostawały darmowe obiady. Jednocześnie podjeżdżał pod szkołę eleganckim autem, a jego dzieci, jak to dzieci, opowiadały, na jakich zagranicznych wczasach były latem. To budzi wśród Polaków ogrom złych emocji. Bo ktoś ciuła każdy grosz, żeby opłacić swojemu dziecku czesne.
– Lepiej znam rzeczywistość z mojego miejsca zamieszkania – to publiczna podstawówka w niedużej miejscowości pod Warszawą. Mam wrażenie, że dobrze radzi sobie z przyjęciem Ukraińców. Zaraz po wybuchu wojny przyjechało tu sporo imigrantów, szacowałem wtedy, że w pierwszych dniach po pełnoskalowej inwazji rosyjskiej aż co czwarty mieszkaniec mojej miejscowości mógł być ukraińskim uchodźcą. Szkoła natychmiast urządziła świetlicę dla ukraińskich matek, żeby mogły spędzić tam czas ze swoimi dziećmi. Zaangażowano ukraińską psycholog, która pomagała. Teraz ukraińskie dzieci się uczą i nie słyszałem o większych konfliktach.

Dla ludzi negatywna informacja jest bardziej istotna niż pozytywna. To pozostałość naszej gatunkowej przeszłości

Są w tej samej klasie co pana dziecko?
– Nie, akurat teraz są w kilku równoległych klasach.

To dlatego nie ma napięć. Proszę sobie wyobrazić, że pana dziecko w ósmej klasie szykuje się na ostatniej prostej do egzaminu, którego wynik zdecyduje o wyborze liceum, i w tym momencie dołącza do klasy pięć osób nieznających języka. I nauczyciele muszą poświęcać czas im, zaniżając poziom reszty klasy.
– Może tak. Może wtedy odczulibyśmy właśnie ten realistyczny konflikt grupowy. Wracając jednak jeszcze do tamtego ojca, którego pani opisała...

Powinniśmy uznać, że w każdym narodzie znajdzie się oszust, tak?
– No tak, oczywiście. I znowu – to jest jednostkowy przypadek. I tak, on budzi emocje. Ale jak ja myślę o ukraińskich uczniach w polskich szkołach, to widzę też dużo dobrego. Zauważam na przykład, że ci uczniowie, u nas, w naszej miejscowości, są zazwyczaj bardzo dobrze zaopiekowani przez swoje rodziny. Mimo że z badań wynika, że połowa ukraińskich matek, które do nas uciekły z wojny, cierpi na PTSD. To proszę sobie wyobrazić, jaki to jest wysiłek w takiej rodzinie, żeby mimo wszystko zajmować się dzieckiem. I one to robią. I może to jest ten dobry news, który powinien nieść się w sieci.

A na koniec zastanówmy się, co jest podstawą tego całego problemu z czesnym, który pani opisała? Czy nie jest nią brak naszego zaufania w Polsce do publicznej oświaty? Który to brak z czegoś, rzecz jasna, wynika. Ale może to jest ta zasadnicza kwestia? I może tu powinniśmy kierować nasze wysiłki – tworzyć taką szkołę publiczną, do której ze spokojem będziemy mogli i chcieli posyłać nasze dzieci.

Szczególnie trudne emocje wzbudzają bogaci Ukraińcy, te luksusowe auta na ukraińskich rejestracjach zaparkowane pod hotelem Bristol w Warszawie.
– W sytuacji, gdy wielu Polaków zmaga się z problemami finansowymi, obcy, który radzi sobie lepiej, budzi agresję. Drastycznym przykładem eskalacji takich emocji był pogrom Romów w Mławie w '91 r. Romski kierowca potrącił śmiertelnie polskiego żołnierza i uciekł z miejsca wypadku – to wydarzenie było bezpośrednią przyczyną serii ataków społeczności polskiej na romską.

Ale u podstaw było coś znacznie więcej – w okresie trudnych przemian ustrojowych, gdy wielu Polaków zmagało się z utrzymaniem rodziny, Romowie w Mławie uchodzili za bogatych. Niechęć do nich tliła się od dawna. A potem jedno zdarzenie spowodowało, że – mimo iż sprawca wypadku został aresztowany – Polacy zdemolowali Romom domy, doprowadzili do ich ucieczki z miasta.

Bugatti nie pasuje nam do stereotypu uchodźcy. Ale zastanówmy się: czy gdyby w Polsce wybuchła wojna, uciekliby tylko biedni Polacy?

A nasi członkowie rad nadzorczych spółek skarbu państwa nie? No przecież też. I też będą gdzieś uchodźcami.

My mamy nasze tłuste koty...
– A Ukraińcy mają o wiele większy problem z nierównościami społecznymi i oligarchią.

Na koniec jako dziennikarka chciałabym zapytać o rolę mediów. Jeśli np. Turek, muzułmanin, dokonuje gwałtu w Warszawie, to pana zdaniem mamy pisać, że sprawcą jest obywatel Turcji i muzułmanin czy w imię poprawności politycznej tego nie podawać?
– A jeśli gwałcicielem jest Polak i rzymski katolik, to podaje pani te informacje? Nie twierdzę, że w imię poprawności politycznej media powinny coś zatajać. Raczej zastanowić się nad proporcjami. Jeśli głównym newsem na pierwszej stronie gazety miałby być gwałt dokonany przez muzułmanina, to zadajmy sobie kilka pytań. Jakie znaczenie dla sprawy ma jego wyznanie? Czy zawsze podajemy przynależność religijną? Ile gwałtów tego dnia dokonali rzymscy katolicy? Czy ich przypadki też będą na pierwszej stronie gazety?

Pani odpowiedzialność polega na tym, że tworzy pani wrażenie proporcji, które przejmą czytelnicy. I wywoła pani emocje, które mogą doprowadzić do pewnych wyborów, działań. Bo jeśli w mediach Gruzin zawsze jest gangsterem, to naturalne, że się przerazimy, jeśli kupi mieszkanie obok nas. ●

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

dr. hab. Michał Bilewicz

• psycholog społeczny, socjolog, założyciel Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW

Czcij ojca swego i matkę swoją

Od lat otacza nas psychologia lizusowska. Zamiast trudnej prawdy – łatwe pocieszenie

Marcin Matczak

Znowu Wielkanoc i znowu dylemat: jechać do rodziny czy zatopić się w serialu, a pisanki zrobić sobie filtrem na Instagramie? Przecież wiadomo, jak będzie: kłótnia o politykę, pytanie, kiedy dziecko, i stryjek, który krytykuje ateistów. Po co się męczyć?

Niedawno w wywiadzie z serii „Balans" rozmawialiśmy o przykazaniu: „Czcij ojca swego i matkę swoją". Nie chodziło o kaznodziejstwo, ale o życie norm: o to, jak się rodzą, zmieniają i umierają. To przykazanie nie było dla nas w tej rozmowie dekretem boskim, ale starą, twardą intuicją społeczną, której upadek sporo o nas mówi.

Źródłosłów „czczenia" (kabed) nie znaczy „kochaj", tylko „uczyń ciężkim", „nadaj wagę". „Kochaj" – to miłe, ale nie zawsze możliwe. „Czcij" to, nomen omen, ciężki obowiązek. Nie na te czasy, kiedy wszystko ma być lekkie jak bezglutenowa chałka.

Rozmawialiśmy o zrywaniu więzi z rodzicami pod wpływem doradztwa psychologicznego. W reakcji pojawiły się głosy: „A co z patologiami i przemocą?!". „Mam wozić wnuki do dziadka-alkoholika?". To błąd poznawczy: efekt dostępności. Psycholog Amos Tversky pisał, że przeceniamy wagę tego, co dramatyczne i łatwo dostępne. Słyszymy o tragediach rodzinnych i sądzimy, że większość z nas żyje w familijnej wersji „Gry o tron" - ale nie każda rozmowa o pogodzie z matką to akt mikroagresji.

Lecz od lat otacza nas psychologia lizusowska. Zamiast trudnej prawdy – łatwe pocieszenie. Już 50 lat temu socjolog Philip Rieff pisał o „społeczeństwie terapeutycznym", w którym zamiast ideałów mamy komfort, a zamiast pracy nad sobą – „dobre samopoczucie na żądanie".

Profesjonalny terapeuta nigdy nie radzi, by zerwać relację z rodziną. Ale taką radę daje pop-psychologia. Artykuł w „Zwierciadle": „Toksyczna rodzina zatruwa ci życie? Czasami zerwanie kontaktu jest najlepsze – radzi psycholożka Sherrie Campbell". Według niej rodzice „toksyczni" to nie alkoholicy, ale tacy, którzy „monopolizują rozmowy", „uważają, że są lepsi od innych", a jednocześnie „zachowuje się biernie i bezradnie". I masz załatwione 99 proc. rodzin w Polsce! Nic, tylko znieść instytucję rodziny i przerzucić się na adopcję przyjaciół z Facebooka.

A może to kultura unikania dyskomfortu? Może ta „toksyczność" to ludzka niedoskonałość, która nie kwalifikuje się do sądu rodzinnego ani terapii grupowej?

Prawdziwe więzi są trudne, a wszystko dzisiaj je osłabia. Cywilizacyjnie oddalamy się od rodziców – rodziny wielopokoleniowe w jednym domu to dziś około 8 procent. Reszta, aby przezwyciężyć oddalenie, musi się napracować. Ci, którzy są blisko, zresztą też, często bardziej.

Gdy dziadkowie są daleko, wnukom jest gorzej. Solidne badania pokazują, że ich fizyczny kontakt z dziadkami maleje, gdy dorastają. Nie dlatego, że przestają ich kochać. Po prostu: wyprowadzka, nowe obowiązki, nowe życie. Ale te same badania pokazują, że jeśli wcześniej zbuduje się silną więź, relacja przetrwa i odżyje w momencie kryzysu. Jest jak cichy azyl – dziecko nie zagląda tam codziennie, ale kiedy naprawdę potrzebuje, drzwi dziadków są otwarte. Pod warunkiem że ich nie zatrzasnąłeś.

Dzisiaj relacje traktuje się jak aplikacje – instaluj, testuj, usuwaj. Możemy się odciąć, symbolicznie skasować to, co dawne, jak historię w komputerze. Ale to robią ci, którzy czegoś się wstydzą.

Bo czy nasze dzieci będą szanować nas bardziej niż my naszych rodziców? Mogę przestać pamiętać o swoich. Ale kiedy sam zostanę zapomniany, czy mam prawo mówić, że to przyszło znikąd? Czwarte przykazanie nie nakazuje zachwytu. Radzi przyjąć, że zanim staliśmy się projektami własnych marzeń, byliśmy najpierw czyimiś dziećmi. Że zanim nauczyliśmy się wymawiać „ja", ktoś nauczył nas mówić „mama" i „tata".

Każdy z nas jest ciągłością kogoś innego. Nosimy w sobie fragmenty tych, których czasem chcielibyśmy się wyrzec: sposób mówienia, niepokój o przyszłość, dziwny śmiech. Czasem nas to drażni. Czasem wzrusza. Nagle odkrywamy, że jesteśmy podobni do rodziców bardziej, niż byśmy chcieli. Nie chodzi tylko o fizyczność – rysy twarzy, sposób chodzenia. Chodzi o coś głębszego: o to, że w chwilach emocji, decyzji słyszymy ich głosy w sobie.

Oni – czy tego chcemy, czy nie – stają się częścią naszego wewnętrznego świata. Ich reakcje wyznaczają nasze pierwsze mapy dobra i zła, ich stosunek do życia, pełen nadziei albo lęku, zasiewa się w nas jak ziarno. Czasem łapiemy się na tym, że myślimy o świecie podobnie jak „starzy" – choć całe życie walczyliśmy, by być „inni". I nawet jeśli mówimy: „nigdy nie będę jak moja matka", „nigdy nie powiem tego, co mówił zawsze ojciec", coś odtwarza się w nas mimowolnie.

Mamy z tym walczyć czy raczej przyjąć z pokorą, że nie wszystko, co w nas, jest naszym autonomicznym dziełem? I że szacunek dla nich to też szacunek dla siebie?

Czwarte przykazanie nie mówi tylko o tym, jak zachować się przy świątecznym stole, zjeść mięsko i zostawić ziemniaczki. Mówi o wewnętrznej zgodzie na to, że część nas jest dziedzictwem. Że pewne rzeczy w nas – dobre, trudne, skomplikowane – nie są wyłącznie naszym wyborem. Radzi pokłonić się przed faktem, że jesteśmy fragmentem większej historii. Życie nie zaczęło się od nas i na nas się nie skończy. I nie jest to powód do buntu, ale do wdzięczności.

Chesterton pisał, że tradycja to demokracja umarłych: pozwalamy tym, którzy byli przed nami, wciąż mieć głos. Nie chodziło mu o klękanie przed przeszłością, ale o zdrowy rozsądek. Jeśli rozmawiamy o kształcie świata, pozwólmy odezwać się także tym, którzy już odeszli. Ta demokracja także jest dzisiaj w odwrocie, bo wielu z nas gardzi tradycją. Ale jeszcze możemy za nią zagłosować – nie lajkiem, nie hasztagiem, ale czynem.

Jedź więc do rodziców na Wielkanoc, jeśli jeszcze masz do kogo jechać. Nie dla majonezu Winiary czy Kieleckiego. Nie po to, by wygrać debatę przy stole. Więzi nie potrzebują uzasadnienia. Więzi potrzebują obecności. ●

2 RP

eprasa.pl 8d168fc391

Prosiaczek demonstruje swoją męskość

Sławomir Mentzen albo nie zauważył zmian społecznych, w wyniku których o gwałcie mówi się głośno i bez ogródek, albo uznał, że mówi do dzieci, którym należy oszczędzać drastycznych szczegółów, albo stwierdził, że trzon jego potencjalnych wyborców stanowią przedstawiciele tzw. manosfery, czyli wyznawcy męskiej supremacji.

Michał Rusinek

Do tej pory za mistrza eufemizmu uchodził Prosiaczek, który – pod wpływem Sowy Przemądrzałej – tłumaczył Kubusiowi Puchatkowi, czyli Misiowi o Bardzo Małym Rozumku, że zasadzka to jest rodzaj przykrej niespodzianki. Prosiaczka postanowił ostatnio przebić Sławomir Mentzen, gdy wyjaśnił nam, że gwałt jest rodzajem nieprzyjemności.

•

Trudno sobie wyobrażać, co poczuły ofiary gwałtów usłyszawszy ten eufemizm, a właściwie hipereufemizm. Mentzen założył zapewne, że wśród osób rozważających głosowanie na niego w wyborach prezydenckich – nie ma ofiar gwałtów. Jeśli jednak są, to pozostaje nam żywić głęboką nadzieję, że przestały to rozważać. Jednak my, jako Misie o Małych Rozumkach musimy sobie tę wypowiedź powolutku i na spokojnie zanalizować, żeby ją zrozumieć w całej rozciągłości. Zacznijmy od tego, że eufemizm, czyli melioratyw, to słowo lub wyrażenie zastępujące określenie, którego nie można użyć ze względu na tabu kulturowe lub religijne, zabobon, cenzurę, normy towarzyskie, empatię, uprzejmość czy dobre wychowanie. Powinien on mieć – jak podają podręczniki do retoryki – chociaż jedną cechę wspólną z zastępowanym określeniem. A także wywoływać neutralne lub wręcz pozytywne skojarzenia. Eufemizacja polega na redukowaniu określonych skojarzeń lub konotacji. Eufemizm to wyraz zawierający niższy stopień nasilenia jakiegoś zjawiska czy odczucia. Kunsztowne eufemizmy znajdziemy w wypowiedziach rasowych dyplomatów, na przykład kiedy minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski na pytanie, co sądzi o Elonie Musku powiedział, że jest on wielkim pionierem i życzy mu powodzenia w wyprawie na Marsa.

•

Zejdźmy jednak na Ziemię, do naszego kandydata Konfederacji na urząd prezydenta RP. Zapoznawszy się z definicją eufemizmu powinniśmy zadać sobie pytanie, jakież to względy spowodowały, że użył on określenia „nieprzyjemność”. Sytuowanie gwałtu i określeń z nim związanych w sferze tabu może świadczyć o tym, że Sławomir Mentzen albo nie zauważył zmian społecznych, w wyniku których o gwałcie mówi się od pewnego czasu głośno i bez ogródek, albo uznał, że mówi do dzieci, którym należy oszczędzać drastycznych szczegółów, albo – co wydaje się najbardziej prawdopodobne – stwierdził, że trzon jego potencjalnych wyborców stanowią przedstawiciele tzw. manosfery, czyli wyznawcy męskiej supremacji, należący do radykalnej prawicy. Jest to społeczność dość zróżnicowana, ale spaja ją niechęć wobec kobiet i wszystkiego, co kobiece oraz chęć obrony praw rzekomo uciśnionych mężczyzn. Manosferę zamieszkują między innymi incele, czyli mężczyźni żyjący w mimowolnym celibacie, niezdolni do stworzenia romantycznego czy seksualnego związku, mimo chęci. Owa niezdolność prowadzi do niskiej samooceny, frustracji, żalu, mizoginii, a nawet nienawiści, nie tylko do kobiet, ale i do wszystkiego, co wiąże się ze związkami czy seksem. Środowisko inceli za swoje niepowodzenia obwinia oczywiście kobiety, które – zwłaszcza za sprawą wyidealizowanych w internecie męskich wizerunków – szukają mężczyzn idealnych. A więc winna jest także kultura. Przedstawicielom manosfery zdarza się wysuwać postulaty, by tak zreorganizować społeczeństwo, żeby kobiety były niejako przydzielane mężczyznom z jakiegoś rozdzielnika i nie miały prawa odmawiać uprawiania z nimi seksu. Co za tym idzie, postulują oni także, by znieść kary za gwałt, no bo dajcie spokój, kto to słyszał?

•

Eufemizacja gwałtu może więc mieć dwa źródła, oba manosferyczne. Po pierwsze, może wynikać z incelskiej tabuizacji seksualności: nie mówimy wprost o czymś, czym po cichu pogardzamy, czego się brzydzimy i wstydzimy, bo jest źródłem naszych głębokich frustracji. Po drugie, może być wyrazem fantazjowania o depenalizacji gwałtu i sprowadzenia go do brania sobie tego, co się nam – uciśnionym przez sfeminizowane społeczeństwo mężczyznom – przecież po prostu należy. Dla kobiet, które uznają supremację mężczyzn i przyjmą z pokorą swoją służebną rolę, gwałt może stanowić co najwyżej „pewną nieprzyjemność”. Niech nie histeryzują, że to jakiś dramat i trauma.

Gwałt zaspokaja zarazem dwie potrzeby incela: potrzebę seksualną oraz potrzebę dominacji i pokazania, kto tu rządzi, a właściwie: powinien rządzić. To jedyna forma seksu, na którą incel może sobie pozwolić, bo, z jednej strony, ma on niską samoocenę i uważa, że na nic innego kobiety się przecież nie zgodzą, a z drugiej strony, na żadną inną formę zbliżenia kobiety, jego zdaniem, nie zasługują. Cóż, jest to forma brudna, odrażające i wstydliwa – ale dla kogoś, kto czuje, że społeczeństwo postawiło przed nim wymagania, którym nie może sprostać – jest to też wyraz buntu przeciwko niemu. Buntu zarazem ohydnego i karygodnego, ale także tragicznego, bo mężczyzna, który w ten sposób chce manifestować swoją męskość, jawi się jako mały, nieśmiały, zalękniony, sfrustrowany, niepewny siebie – Prosiaczek. I to on chciałby usłyszeć to, co o gwałcie mówił – bardzo świadomie, bo to nie był żaden lapsus – Sławomir Mentzen. To on będzie na niego głosować, żeby w naszym Stumilowym Lesie było wreszcie tak, jak, według niego, być powinno. I tylko od nas teraz zależy, czy po wyborach im bardziej będziemy zaglądać do pałacu prezydenckiego czy parlamentu, tym bardziej Prosiaczka tam nie będzie. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34367665

WE WTOREK I W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ”

Spadki i testamenty

- Jak przekazać majątek bliskim? Czy zapisać go w testamencie, czy darować za życia?
- Jak dzielony jest spadek i kto dziedziczy z ustawy?
- Kiedy dziecko jest niegodne dziedziczenia?

DODATKI SPECJALNE

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

KRAJ

Dostrzegam w Jarosławie Kaczyńskim niesterapeutyzowany żal

Obywatel i

Z **ROBERTEM KOWALSKIM,** DZIENNIKARZEM, KTÓRY PRZEZ OSIEM LAT CHODZIŁ NA MIESIĘCZNICE SMOLEŃSKIE ROZMAWIA **DAWID DRÓŻDŻ**

Dlaczego Jarosław Kaczyński co miesiąc odprawia swoje obrzędy żałobne pod pomnikiem smoleńskim?
– Po tylu latach nie może nagle przestać. Tak jak w opowiadaniu Woody'ego Allena, którego bohater – miłośnik opery – idzie do La Scali, kupuje bilet w loży i – gdy orkiestra zaczyna grać – z wrażenia spada na widownię na parterze. Jest tak zawstydzony, że na drugi dzień wraca, kupuje bilet i skacze w tym samym momencie, żeby pokazać, że robi to specjalnie.

Wydaje mi się, że Kaczyński przywiązał się do tego rytuału. W ciągu ośmiu lat rządów PiS tylko trzy razy nie dotarł na miesięcznicę – raz podczas kampanii wyborczej w 2023 roku, kiedy pojechał do Markowej na beatyfikację rodziny Ulmów. I dwa razy, kiedy był w szpitalu. A przecież był wicepremierem, szefem partii. Zawsze miał jednak czas, żeby odprawić rytuał.

Istotny jest aspekt rodzinny. Większość z nas okazuje szacunek swym bliskim przez dbanie o miejsce pochówku. Drogi, zadbany pomnik ma zaświadczyć o tym, że czcimy pamięć zmarłych. To sposób na pokazanie miłości. W Jarosławie Kaczyńskim, jak sądzę, cynizmowi towarzyszy rzeczywisty ból psychiczny. Choć „schody smoleńskie", przed którymi odbywają się miesięcznice, nie są grobem Lecha Kaczyńskiego, tylko pomnikiem.

Katastrofa smoleńska podzieliła społeczeństwo, choć wielu wspomina solidarność, która panowała w pierwszych dniach po tej tragedii.
– W dniu katastrofy po południu poszedłem pod Pałac Prezydencki. Obywatelsko, ale też reportersko. Pamiętam świece, zapach, dym. Może zabrzmi to banalnie, ale czułem ducha wspólnoty. Nigdy nie należałem do zwolenników prezydenta, którego opłakiwał tłum. Wtedy jednak o tym nie myślałem, sympatie politycznie wynikające z moich przekonań czy filozofii nie miały znaczenia.

W kolejnych dniach chodziłem pod pałac regularnie. Któregoś razu zobaczyłem ludzi, którzy później założyli stowarzyszenie Solidarni 2010. Zapamiętałem kręcącego się młodzieńca, który – jak się z czasem okazało – nazywa się Samuel Pereira. Od razu wiedziałem, że współczesna populistyczna endecja już zwiera szyki wokół szczątków ofiar.

Pierwszy spór wokół tej katastrofy dotyczył pochówku Lecha Kaczyńskiego na Wawelu, przeciwko któremu protestowali np. Andrzej Wajda czy Magdalena Środa.
– Pamiętam zadziwiającą rozmowę Moniki Olejnik z Pawłem Kowalem w Radiu ZET. On wówczas był europosłem PiS (obecnie jest posłem Koalicji Obywatelskiej), stał się jednym z radykałów walczących o pochówek Lecha Kaczyńskiego na Wawelu. Mówił głosem nieznoszącym sprzeciwu, wręcz arogancko. Katastrofa stawała w centrum politycznego sporu. Kowal dopiero po latach zyskał uznanie w moich oczach za zaangażowanie na rzecz Ukrainy.

Ale przecież sam Jarosław Kaczyński na początku uprawiał politykę koncyliacyjną.
– Tak. Kaczyński tuż po katastrofie nagrał z okazji Dnia Zwycięstwa, czyli święta upamiętniającego triumf Związku Radzieckiego nad nazistowskimi Niemcami, filmik, w którym zwracał się „do przyjaciół Rosjan". Podziękował im za okazane współczucie.

Ta polityka była związana ze strategią kampanijną. Szefową sztabu Jarosława Kaczyńskiego była Joanna Kluzik-Rostkowska (obecnie posłanka Koalicji Obywatelskiej), racjonalna osoba, moja koleżanka ze studiów. Zawsze się dziwiłem, że jest po tamtej stronie. Kiedy później ją spotkałem, powiedziałem: „Prawie nas wtedy oszukaliście".

Dlaczego tamta polityka nie przyniosła sukcesu Kaczyńskiemu?
– Myślę, że pamięć społeczeństwa była świeża. Ludzie – mimo tego wstrząsu spowodowanego tragedią – wiedzieli, jakim człowiekiem jest Jarosław Kaczyński, który w polityce nie uznaje półśrodków, jest brutalny.

Później ta brutalność przyniosła mu sukcesy. Społeczeństwo się zmieniło?
– Nastąpiło zmęczenie ośmioletnimi rządami Platformy Obywatelskiej. Liberałowie popełnili błąd, myśląc, że można jechać na zapewnieniach, że nasze PKB rośnie, a prognozy makroekonomiczne są pozytywne. Używali abstrakcyjnego języka, a ludzi trzeba było po prostu wesprzeć finansowo. Kaczyński to zrobił – program 500 plus wymyślił ponoć w kawiarni w Krakowie, dokonując obliczeń na serwetce. Wybraliśmy tę kiełbasę wyborczą kosztem wolności. Ale podkreślam: sypnięcie ze skarbca było słuszne. I mówię to jako osoba, która nigdy nie była beneficjentem programu 500 plus.

Zastanawiam się, czy umiałbym się dogadać z dziennikarzem z „Gazety Polskiej". Nie sądzę

No dobrze, ale wróćmy do 2010 roku. Jarosław Kaczyński przegrał wybory, a atmosfera wokół katastrofy była coraz bardziej napięta. Pod Pałacem Prezydenckim stanął krzyż, zbierali się demonstranci. Bronisław Komorowski podjął decyzję o przeniesieniu krzyża do kościoła Akademickiego św. Anny. Obrońcy żądali, aby pozostawić go przed pałacem.
– Ale też dwa, może trzy miesiące po katastrofie tłum przed Pałacem Prezydenckim zwoływał między innymi Janusz Palikot – przed katastrofą harcownik PO bezustannie atakujący braci Kaczyńskich. Manifestujący wyszydzali mit smoleński, który wówczas dopiero powstawał. Wykorzystywali m.in. żarty z piwem Lech.

Ludzie już wtedy mieli przesyt tą katastrofą?
– Sporej części społeczeństwa nie podobało się, że prawica łączy katastrofę lotniczą w nachalny sposób z krzyżem, męczeńską ofiarą i teorią spiskową. Wtedy manifestacja Palikota też niespecjalnie mi się podobała. Sądziłem, że nie przystoi tak jechać po bandzie. Ale teatr ulicy ma jednak swoją specyfikę – bywa brutalny, czasem straszny. Częścią takich teatralnych wydarzeń w skrajnej formie mogą być lincze. To teatr, który nie ma granic.

W kolejnych latach miejscem spektakli ulicznych stały się miesięcznice smoleńskie organizowane przez PiS. Od 2016 roku rejestrował pan to, co działo się podczas tych obchodów. Efektem ośmioletniej pracy reporterskiej jest film dokumentalny „Kronika obrzędów żałobnych", wstrząsający obraz podzielonej Polski.
– Zacząłem kręcić ten film po objęciu władzy przez PiS. Interesowało mnie spotkanie zwykłego obywatela z przywódcą kraju. Nie było przecież otwartych konferencji prasowych, prezes udzielał wywiadów tylko reżimowym mediom. Miesięcznica była momentem, kiedy można było podejść do cara i powiedzieć, że źle się dzieje w mojej wiosce. I chciałem zobaczyć, co ten obywatel może. Okazywało się, że nie może nic.

Kiedy pan poszedł po raz pierwszy na miesięcznicę?
– To była 76. miesięcznica, sierpień 2016 roku. PiS rządziło prawie od roku. Polska była w szoku – zamach na Telewizję Publiczną i Trybunał Konstytucyjny; politykę Kaczyńskiego można teraz porównać z trumpizmem. To, co robili, nie mieściło się w głowie.

Jak pan zapamiętał tamte obchody?
– Plan był zawsze taki sam: godz. 19 – msza w archikatedrze na Krakowskim Przedmieściu. Później tłum religijno-partyjny rusza w stronę Pałacu Prezydenckiego. Nie tylko rozmodleni, ale i niestety agresywni ludzie lżyli stojących na ulicy przeciwników.

Pierwsi na ulice wyszli Obywatele RP, aktywiści protestujący przeciwko rządom Zjednoczonej Prawicy. Ich liderem jest Paweł Kasprzak. Stali wtedy w milczeniu naprzeciwko Pałacu Prezydenckiego: Kasprzak, Wojciech Kinasiewicz, Tadeusz Jakrzewski, Kinga Kamińska, Agnieszka Markowska, Iwona Wyszogrodzka, mógłbym długo wymieniać.

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

mistyk

• **Prezes PiS na obchodach 80. Miesięcznica Smoleńskiej pod Pałacem Prezydenckim w Warszawie. 10.12.2016 r.**
FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

FOT. PAWEŁ SIERPIŃSKI

***Robert Kowalski**

• dziennikarz radiowy i telewizyjny, producent, reżyser filmów dokumentalnych. Pracował m.in. w Polskim Radiu i „Panoramie" TVP 2. Był redaktorem naczelnym programu „Pegaz" i szefem publicystyki kulturalnej w TVP 1. Współpracuje z Krytyką Polityczną, gdzie przeniósł zdjęty przez „dobrą zmianę" program „Sterniczki" z radiowej Jedynki. Tworzył cykl „Kamera OKO.press".

• Jego film dokumentalny **„Kronika obrzędów żałobnych"** o miesięcznicach smoleńskich, miał w 2024 r. premierę na festiwalu Watch Docs.

Gdy miesięcznicowy tłum kończył się modlić, Kasprzak zaczynał mówić. Trzeba przyznać, że zawsze mu to dobrze wychodzi: „Każdego miesiąca będziemy wam przypominać o kłamstwie". A także: „To nie jest koszmarny sen chorego tyrana. To rzeczywistość". „My, obywatele trzeźwo myślący, jesteśmy rzeczywistością".

Obywatele RP byli opluwani, obrzucani obelgami, nieraz naprawdę dotkliwie szarpani. Kaczyński napuszczał na nich swoich zwolenników, mówił, że „tam stoją zdrajcy".

Przerażała mnie dyspozycyjność policji, bezmyślnie wykonującej jego polecenia. Niektórzy funkcjonariusze byli skwapliwi, innym ewidentnie nie pasowało pacyfikowanie kontrmanifestantów z białymi różami w dłoniach. Nie chcieli tego robić, ale mundur wymusza posłuszeństwo.

Później obchody miesięcznicowe przeniosły się na plac Piłsudskiego, gdzie stanął pomnik Ofiar Tragedii Smoleńskiej, czyli słynne schody.
– Wtedy wyrosła inna grupa, zwana Lotną Brygadą Opozycji. Siedmioro wspaniałych: Marta Michalska, Stanisława Skłodowska, Julia Łowkis, Arkadiusz Szczurek, Karol Grabski, Piotr Łopaciuk i najmłodszy, jeszcze student, Tadeusz Kaczmarski. Działali według całkiem innych zasad, prześmiewczo. Przypominali Pomarańczową Alternatywę z czasów PRL-u. Przygotowywali stroje, wiersze, piosenki. Często improwizowali, ale zawsze byli przygotowani. Bywali ostrzy, ale jak dla mnie nie przekraczali granic dobrego smaku.

Ważną osobą był także autor jednoWażną osobą był także autor jednoosobowego protestu, Zbigniew Komosa, przedsiębiorca z Warszawy, który od kwietnia 2018, czyli od powstania „schodów smoleńskich" - Pomnika Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010, składa wieniec z napisem „Pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego, który ignorując wszelkie procedury nakazał pilotom (...)". W październiku ubiegłego roku Jarosław Kaczyński uderzył Komosę w twarz i próbował wyrwać mu wieniec z tym napisem.

W czasie rządów PiS podczas miesięcznic ulice Warszawy były obstawione policją. Andrzej Leder twierdzi, że militaryzowanie obrzędu miało pokazać, że wróg jest groźny.
– Ulice były pozamykane, czasami na plac Piłsudskiego nie wpuszczano nawet rodzin ofiar. Policja dbała o komfort Kaczyńskiego, który nie chciał, aby ktokolwiek zaburzał przebieg miesięcznic. Kiedyś prezes usłyszał protest członków Lotnej Brygady Opozycji, którzy wykrzykiwali takie hasła jak: „Balbina, kazałeś lądować bratu?", „Gdzie jest wrak?". Puściły mu nerwy. Opieprzył Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika; powiedział, że nie może tak być, że policja nic nie robi. Bo według niego obywatele nie mają prawa krzyczeć. Jak w Moskwie, Mińsku i innych równie miłych miejscach.

Podczas miesięcznic widzimy sprzężenie wartości katolickich i narodowych. Pojawiają się takie hasła jak: „Cześć i chwała bohaterom", które przecież są kojarzone z upamiętnianiem poległych na wojnie bohaterów narodowych, a nie ofiar katastrofy lotniczej. Kaczyński zaś na stałe wprowadził do swojego języka kategorię „nie-Polaków", czyli zdrajców narodu.
– Zamach smoleński, o którym mówią Jarosław Kaczyński i jego ekipa, to klasyczna teoria spiskowa. Andrzej Leder używa w tym kontekście określenia „nekropolityka". Innymi słowy: Kaczyński używa zmarłych do stworzenia mitu, który pozwolił mu przejąć i utrzymać władzę. Z nami są patrioci, przeciw nam zdrajcy Polski – tak można to streścić.

Jak w ciągu lat zmieniały się miesięcznice?
– W pierwszym okresie Obywatele RP gromadzili spore grupy kontrmanifestantów. Ludzie wierzyli w sens ulicznych protestów, słusznie widzieli w nich przejaw demokracji. Okazało się jednak, że dla populistów głos społeczeństwa nie ma znaczenia.

Drugi okres, bardziej kameralny, rozpoczął się w 2019 roku. Wpływ miała na to pandemia koronawirusa; ludzie nie mogli wychodzić na ulice. Protesty organizowała Lotna Brygada Opozycji i Przyjaciele, np. młodzieżowa grupa Cień Mgły, która powstała po słynnym rapie Andrzeja Dudy.

A kto wspierał miesięcznice?
– Nikt nie miał dostępu do PiS-owskiej wierchuszki. Kiedyś na obchody do kościoła na Krakowskim Przedmieściu przyszedł ledwo idący, na oko 90-letni staruszek, który posługiwał się „mową smoleńską". Mówił, że „chce uczcić poległych". Policjant nie pozwolił mu wejść do kościoła, wypchnął go. Staruszek był oburzony, zaczął śpiewać jakąś partyzancko-powstańczą pieśń.

W obchodach udział brało wyłącznie otoczenie Kaczyńskiego: Antoni Macierewicz, premier Mateusz Morawiecki, Elżbieta Witek, Jacek Sasin, Mariusz Błaszczak.

Wśród kobiet była rywalizacja o to, kto będzie „pierwszą damą"; kto będzie miał przywilej przejechania limuzyną 200-metrowej trasy między kościołem Seminaryjnym na Krakowskim Przedmieściu a placem Piłsudskiego. Wygrała Jadwiga Wiśniewska, europosłanka.

Podczas miesięcznic wyczuwalny był żenująco-lizusowski element bycia przy prezesie. Zwłaszcza przed wyborami. Coś w stylu: „A nuż mnie dostrzeże, zapamięta, przesunie piętro wyżej na liście wyborczej". Miesięcznica była dobrym momentem na załatwienie różnych spraw.

Kaczyński zmienił się przez te osiem lat?
– Tylko fizycznie. Byłem z kamerą na około 90 miesięcznicach i wyraźnie widać na zdjęciach upływ czasu. Ale młodość i życie tracimy wszyscy. Poza tym nie zauważyłem różnicy. Bo właściwie na czym ona miałaby polegać? Kaczyński jest przekonany, że jemu wolno więcej. A po miesięcznicy organizuje konferencję prasową, na której zawsze mówi to samo: „Jesteśmy coraz bliżej, znajdziemy i ukarzemy zdrajców".

Dostrzegam w nim niesterapeutyzowany żal po stracie brata doprowadzony przez niego samego do poziomu groteski. Kaczyński mnie jako obywatela wkurza. Przykro mi patrzeć na to, jak on się zachowuje. Jest mi wtedy głupio, niezręcznie.

Polityka Kaczyńskiego doprowadziła do ogromnych podziałów społecznych. Michał Bilewicz w książce „Traumaland" pisze o tym, że nastąpił podział na gruncie martyrologicznej przeszłości. W zamach smoleński uwierzyli zdecydowanie częściej ci, którzy są skoncentrowani na historycznych polskich traumach. Wiara w zamach jest więc ściśle powiązana ze sposobem myślenia o polskiej historii w ogóle.
– To powinno mocno wybrzmieć. Nawet ludzie, którzy są skłonni wierzyć w teorie spiskowe, powinni usłyszeć, że zamach smoleński jest fikcją. Teoria spiskowa to najprostszy, najbardziej wulgarny sposób wytłumaczenia złożoności świata. Niestety, truje ludzkie umysły, odbiera zdolność odróżniania prawdy od kłamstwa.

Andrzej Leder zauważył, że mit smoleński nie uruchomił wielu ludzi. Większość pozostała obojętna. Gdyby traktować oskarżenia i groźby dosłownie, to co my tu jeszcze robimy? Powinniśmy ruszyć na Moskwę, a Tuska wsadzić do więzienia za zdradę. Niektórzy sądzą, że przytakiwanie teorii spiskowej jest raczej przejawem lojalności wobec grupy czy obozu politycznego, który się wybrało, niż wiarą w ścisłym sensie.

Ktoś w pańskim filmie krzyczy: „Dyskusja z PiS-em to jak kopanie się z koniem!". Czy dialog pomiędzy dwiema stronami politycznego sporu jest niemożliwy?
– Na pewno jest trudny, ale nie niemożliwy. Grupa najżarliwszych osób, z których część chyba miała doświadczenia mistyczne, na początku przychodziła na miesięcznice z krzyżami i modlitwami. Dość szybko owi mistycy smoleńscy zaczęli prezesowi grać na nerwach. Byli nazbyt oryginalni, nie pasowali do obrazka. No i nie dało się nimi sterować. Byli więc – tak jak kontrdemonstranci – wypychani przez policję.

No i nastąpiło wówczas zaskakujące zbliżenie. Katoliccy radykałowie zobaczyli w Obywatelach RP rzeczywistych współobywateli, którzy mają skrajnie odmienne poglądy, ale są w swojej wierze uczciwi. Jeden z mistyków podał nawet Pawłowi Kasprzakowi krzyż do potrzymania podczas szarpaniny z policją, co było chyba najwyższym wyrazem uznania.

To tylko wyjątek potwierdzający regułę. Na co dzień widzimy, że podziały paraliżują dialog społeczny. Niedawno w kontekście sprzeczki między Radosławem Sikorskim i Elonem Muskiem, wspieranym przez polską prawicę, ktoś powiedział, że dla Polaków ważniejszymi ojczyznami stały się małe ojczyzny: prawica i liberalna lewica. Te dwie grupy nie są w stanie rozmawiać, wspierać się w międzynarodowych sporach.
– Zastanawiam się, czy umiałbym się dogadać z dziennikarzem z „Gazety Polskiej". Nie sądzę. Nastał chaos, wszystko się chwieje. Wydaje mi się, że jesteśmy w takim momencie świata, że – parafrazując Marksa – powiedziałbym: „Demokraci wszystkich krajów, łączcie się". To nas może uratować.

W czasach, gdy tuż za naszymi granicami jest wojna, społeczności narodowe są mniej ważne niż społeczności ideologiczne?
– Wojna wszystko zmienia. Od lutego 2022 roku jeżdżę tam z kamerą i śledzę losy jednego plutonu, który nazywa się „Szwedy". Nie tylko jestem świadkiem, ale i czytam o Ukrainie.

Kończę teraz książkę „Jak Ukraina traciła Donbas" dwojga ukraińskich dziennikarzy: Denysa Kazanskiego i Maryny Worotyncewej. Rzecz o tym, jak doszło do wydarzeń z 2014 roku. W Ukrainie, począwszy od Pomarańczowej Rewolucji, politycy z Donbasu z liderem Wiktorem Janukowiczem kolportowali teorie spiskowe mówiące o tym, że „zachód Ukrainy nas okrada" albo że „Zachód to faszyści". Po wybuchu wojny mnóstwo ludzi z Donbasu, którzy wierzyli w te teorie, wyjechało do Rosji. Ale wielu uratowała ukraińskość – historia, kultura, język.

Mam nadzieję, że nie czeka nas potworna chwila patriotycznej próby, jaka spadła na Ukrainę. Gdyby jednak coś takiego nastąpiło, to... jakoś jednak w nas, społeczeństwo polskie, wierzę. Że powiemy jak prezydent Zełenski: „My tut" (My jesteśmy tu). ●

eprasa.pl 8d168fc391

AFERA RARS

PŁACI NIE TEN, KTO POWINIEN

Komu szkodzą rewelacje Pawła Szopy i dlaczego TV Republika teraz je ujawnia?

• Deportowany z Dominikany Paweł Szopa, twórca marki Red is Bad, w Sądzie Rejonowym w Katowicach, 5.11.2024 r. W związku z aferą w RARS postawiono mu m.in. zarzut udziału w zorganizowanej grupie przestępczej. Został aresztowany na trzy miesiące. Wyszedł z aresztu 4 lutego br. Ma dozór policyjny i zakaz opuszczania kraju. FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dominika Wielowieyska

W obozie PiS walka frakcji nie ustaje. Wszyscy ustawiają się do wyścigu o schedę po Jarosławie Kaczyńskim. Teraz TV Republika i jej właściciel Tomasz Sakiewicz w wyrafinowany sposób uderzają w Mateusza Morawieckiego.

Telewizja Republika od kilku dni w odcinkach prezentuje fragmenty wyjaśnień, jakie składał w prokuraturze Paweł Szopa, twórca marki Red is Bad. Chodzi o aferę wokół Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych.

W tej historii występuje kilka osób z najbliższego otoczenia byłego szefa rządu PiS: szefowa biura premiera Anna W.; jej mąż Marek: Paweł K., właściciel firm PR, które zarabiały na zleceniach od rządu; były szef RARS Michał Kuczmierowski, oczekujący w Londynie na rozprawę ekstradycyjną; i grupa urzędników RARS, którzy mają status podejrzanych i składają wyjaśnienia.

Śledztwo wszczęto po operacji „Walet", przeprowadzonej przez CBA jeszcze za czasów rządu PiS, gdy ministrem spraw wewnętrznych i administracji był Mariusz Kamiński. W czasie tej operacji podsłuchiwano m.in. Annę W. i Pawła Szopę. Szopa dostawał z RARS lukratywne zamówienia bez przetargu. Chodziło o sprzęt związany z walką z pandemią oraz agregaty dla Ukrainy. Marże stosował gigantyczne. Biznesmen twierdzi, że wtedy takie ceny były na rynku.

Prokuratura uważa, że te zlecenia były ustawiane pod Szopę, który później odwdzięczał się ludziom z otoczenia premiera organizowaniem kampanii wyborczych na własny koszt, łapówkami i obietnicami łapówek.

•

TV Republika ujawniła zeznania Szopy, z których wynika, że propozycję korupcyjną usłyszał po realizacji dwóch-trzech kontraktów dla RARS. A złożył ją Paweł K. (w areszcie od stycznia), który powiedział, że to pieniądze dla niego oraz Kuczmierowskiego. Szopa zgodził się na propozycję, ale zebranych pieniędzy nie zdążył wypłacić, choć Paweł K. miał się ich domagać. Mowa o ponad 3 mln zł. Według Republiki w innym miejscu Szopa jednak zeznał, że wcześniej dał Pawłowi K. kilkaset tysięcy zł.

Według Onetu Paweł K. był również członkiem pierwszego nieoficjalnego zespołu, który zajmował się selekcją napływających do RARS ofert na dostawę sprzętu do walki z pandemią. Spółki Pawła K. – Świeża Bazylia i Ixodes – obsługiwały dzięki rządowi PiS m.in. Kongres 590 (organizowana przez ludzi rządzącej ówcześnie prawicy impreza wzorowana na Forum w Gospodarczym w Krynicy) i bank PKO BP, w których zatrudniony przez chwilę był Mariusz Chłopik, doradca Morawieckiego. Ixodes pracował też dla KGHM, PKP, PZU, Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości, Centralnego Portu Komunikacyjnego i PKO BP. To był cały układ w otoczeniu premiera, który dbał, by najlepsze zlecenia trafiały właśnie do tej agencji. – W ciągu ostatnich lat musieli zarobić na tym miliony – opowiadał Onetowi kolejny z informatorów, doskonale znający środowisko „harcerzy". Tak nazywano frakcję Morawieckiego.

Ixodes zarabiał również przy Narodowym Programie Szczepień, kampanii #StopRussiaNow, a nawet był zaangażowany budowę covidowego szpitala na Stadionie Narodowym.

•

Osobnym wątkiem w wyjaśnieniach Szopy są spotkania w kancelarii premiera, które organizowała Anna W. „Spotkanie będzie dotyczyć zakupu agregatów. Agregaty nie pojechały na Ukrainę i częściowo zostały w Polsce. Takie informacje miałem z RARS-u" – mówił biznesmen prokuratorom.

Jednocześnie Szopa zeznał, że został poproszony o pomoc w promowaniu hasztagów i grafik w kampanii wyborczej PiS. Anna W. poprosiła go o 5 mln zł. Otrzymała 3 mln 600 zł. Pieniądze od Szopy odbierał jej mąż Marek na działce Szopy w Nowym Prażmowie. Po jakimś czasie oddała 2,4-2,7 mln zł. Ile dokładnie, nie jest jasne. Natomiast wiadomo, że te pieniądze trafiły do depozytu adwokackiego mecenasa Krzysztofa Wąsowskiego, obrońcy wielu polityków i urzędników PiS. – Później ja te pieniądze likwidowałem, wydając je na prawników, agencje PR, na wakacje – miał powiedzieć Szopa.

Depozyt adwokacki jest rzeczą legalną, jednak podlega wnikliwej analizie, czy nie służy praniu pieniędzy. Przypomnę, że prokuratura pod kontrolą PiS postawiła zarzuty prof. Michałowi Królikowskiemu, doradcy prezydenta Andrzeja Dudy, bo przyjął duże sumy do depozytu od swego klienta. Inna sprawa, że zdarzyło się to niedługo po tym, gdy Duda w 2017 roku zawetował – ku wściekłości Zbigniewa Ziobry, ówczesnego prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości – dwie ustawy sądowe. Niemniej w przypadku mecenasa Wąsowskiego prokuratura także powinna się przyjrzeć temu układowi z Szopą.

•

Co się stało milionem zł, którego Anna W. nie oddała, tego nie wiadomo. Z wyjaśnień, które ujawniła TV Republika, wynika, że te pieniądze szły na kampanię wyborczą PiS, a w szczególności ludzi premiera. „Przekazywał korzyści, m.in. w postaci organizowania, koordynowania i finansowania kampanii wyborczej do Parlamentu RP prezesowi RARS Michałowi K. i innym kandydatom związanym z Kancelarią Prezesa Rady Ministrów, mającą bezpośredni nadzór na RARS" – pisali o Pawle Szopie w raporcie z operacji „Walet" agenci CBA, których cytował Onet. „Działania polegały na nagrywaniu i emisji materiałów promujących ww. kandydatów, prowadzenie tzw. »czarnego pijaru« w stosunku do kontrkandydatów w tym wykorzystywania w tym celu specjalistycznego oprogramowania tzw. »chat botów«, »farm trolli«".

Wszystko to Szopa – w świetle informacji Republiki – potwierdził prokuratorom.

„Te pięć milionów, które chciała Anka W., to była prośba, nie żądanie. Ona pierwsza zwróciła się do mnie o pieniądze. Na tym spotkaniu nie ustaliliśmy, w jakiej formie i kiedy dokładnie mam jej przekazać te pieniądze. Temat tych pieniędzy był palący, ona mówiła, że są jej potrzebne na już, za chwilę" – miał zeznawać. „Rozmowa o tych pięciu milionach na kampanię była krótka. Ona zapytała, ile zarobiłem na agregatach, po czym powiedziała, że potrzebuje 5 mln zł i ja się zgodziłem. Nie wnikałem w konkrety, na co to ma pójść (...). Wyglądało to tak, że był od niej telefon na WhatsAppie, że potrzebuje tyle i tyle, i przekazywałem pieniądze. Za każdym razem ona mówiła, podawała kwotę, ja wypłacałem pieniądze z banku i później przekazywałem jej mężowi. Tych wypłat było 4-5, łącznie to było chyba 3 mln 600 tys. Pieniądze odbierał jej mąż Marek, którego znałem wcześniej. Pieniądze przekazywałem mu zawsze na mojej działce w Nowym Prażmowie" – brzmią zeznania, których treść przekazała Republika.

Przedsiębiorca miał wyjaśnić także, dlaczego ostatecznie Anna W. nie otrzymała 5 mln, na które się umówili. „Po tym, jak wypłaciłem ostatnią kwotę, czyli łącznie 3,5 mln, ja zapytałem, co z kwotą, czyli 1,5 mln. Ona powiedziała, że to, co dotąd zostało wpłacone, jest już wystarczające. Zresztą było już po wyborach 2023 r. i nie było już rozmowy o przekazaniu żadnych pieniędzy. Anna nie mówiła, na co konkretnie poszły wypłacone środki, cały czas mówiła ogólnie o kampanii".

Republika ujawniła też wyjaśnienia, w których Szopa stwierdza, że premier Morawiecki uczestniczył w spotkaniach co najmniej dwa razy, choć przedsiębiorca nie pamięta, czy był obecny wtedy, gdy mówiono o pieniądzach na kampanię wyborczą i aktywności w serwisach społecznościowych.

Na tych spotkaniach rozmawiano także o zamówieniach dla RARS i warunkach dostaw.

•

Z akcji Republiki wynika kilka rzeczy.

Bardzo obszerne wyjaśnienia Szopy, które przedstawia stacja Tomasza Sakiewicza, są miażdżące dla otoczenia premiera. Autorem tych relacji jest Piotr Nisztor, pracownik Republiki i „Gazety Polskiej", który był uczestnikiem słynnej podsłuchanej rozmowy w gabinecie prezesa Orlenu Daniela Obajtka.

Nisztor załatwiał u Obajtka pracę dla ojca i żony. W zamian Obajtek chciał dostać od Nisztora nagrania, które mogłyby zaszkodzić Morawieckiemu. Onet opublikował stenogramy tych rozmów. – My o nią zadbamy i się zaopiekujemy. Tak samo z ojcem – powiedział Obajtek. A Nisztor podzielił się z nim ustaleniami w sprawie afery GetBack – powiedział o nagraniu, które świadczy, że o sprawie wiedzieli wcześniej politycy prawicy, w tym ojciec Morawieckiego.

Zdaniem prokuratury i Komisji Nadzoru Finansowego spółka GetBack, która zarządzała wierzytelnościami, oszukiwała inwe-

eprasa.pl 8d168fc391

storów przy sprzedaży obligacji korporacyjnych. Poszkodowani to ponad 9 tys. obligatariuszy spółki, którzy stracili prawie 3 mld zł. Bohaterowie tej afery twierdzili, że mają nagranie rozmowy z ojcem premiera, charyzmatycznym przywódcą podziemnej „Solidarności” u schyłku PRL, w III RP wpływową postacią wrocławskiej prawicy, Kornelem Morawieckim, który obiecywał im pomoc w przekonywaniu rządu, że upadek GetBack może zatrząść finansami publicznymi i państwo powinno tę spółkę ratować.

Obajtek poprosił o udostępnienie mu nagrania, „by tych sk***ów w końcu na smycze pozawiązywać”.

Sojusz Nisztora z Obajtkiem przeciwko Morawieckiemu jest symptomatyczny. Ujawniając teraz wyjaśnienia Szopy ze wszystkimi szczegółami, Nisztor tworzy jednocześnie zasłonę dymną, by nikt nie oskarżył go o złe intencje. Tłumaczy, że Szopa jest niewiarygodny, wytyka nieścisłości w jego relacjach i przekonuje, że na Morawieckiego nic nie ma. Jednak w istocie człowiek Sakiewicza prezentuje zwolennikom PiS obraz totalnej degrengolady w kancelarii premiera. Poziom moralny i pazerność tego towarzystwa są porażające – takie wrażenie można odnieść po serii programów Nisztora.

Anna W. miała załatwiać pieniądze na kampanię, a Paweł K. chciał pieniędzy dla siebie. Kodeks karny nie rozróżnia jednak korupcji na rzecz partii i korupcji prywatnej. Prawo karze za branie łapówek dla siebie lub osób trzecich. Lecz te osoby będzie można nazwać przestępcami dopiero wtedy, gdy skaże je prawomocnie sąd: teraz są w świetle prawa niewinne. Jednak na wyobraźnię widzów musiała podziałać barwnie przedstawiona historia z infografikami i mapami ilustrującymi, jak to mąż Anny W. w ratach brał pieniądze od Szopy na działce w Prażmowie.

Niewykluczone oczywiście, że Nisztor od informatorów dostał tylko część materiału z prokuratury. Nie ma w nich jednoznacznych dowodów przeciwko Morawieckiemu, choć były premier musi się liczyć z zarzutami pomocnictwa, sprawstwa kierowniczego czy nakłaniania do przestępstwa. Prokuratura zresztą uważa, że śledztwo jest rozwojowe i z moich informacji wynika, że żadna tego typu opcja nadal nie jest wykluczona.

Ale nawet jeśli Morawiecki nie otrzyma zarzutów, to jego odpowiedzialność polityczna i kompromitacja w oczach wyborców PiS jest bezsporna. I to Nisztor w całej rozciągłości pokazał.

W PiS trwa walka buldogów pod dywanem, Sakiewicz, właściciel Republiki i „Gazety Polskiej”, bierze w niej aktywny udział, a były premier, który przecież nie porzucił myśli o władzy – jeśli nie w państwie, to na prawicy – ma wielu wrogów w partii, przede wszystkim w środowisku Ziobry. Jest też szersze tło. Takie, że dziś PiS przymierza się do sojuszu z Konfederacją, Morawiecki zaś nie pasuje do tej układanki, bo konfederaci pomstowali na jego rząd od dawna.

Panowie z otoczenia premiera zapewne pożywili się pieniędzmi od Szopy, ktoś za nich odwalił brudną robotę, narażał się. Wystawili panią Annę i jej męża, a teraz sobie chodzą na wolności i zamieszczają płaczliwe wpisy. Dość to wszystko obrzydliwe

Morawiecki usiłuje aferę RARS przedstawiać w kategoriach prześladowań „reżimu Tuska”. Ważnym elementem tej narracji był areszt Anny W., na który na początku roku zgodził się sąd. Jednak w środę prokurator wypuścił ją na wolność ze względu na problemy rozwojowe jej syna. Prokurator postąpił słusznie, podjął decyzję po zamówieniu opinii biegłych wkrótce po tym, jak urzędniczka przedstawiła swoje problemy rodzinne.

Wcześniej Morawiecki i jego ludzie bardzo się litowali nad Anną W., że jest tak prześladowana. „Urzędniczka Ania już na wolności z chorym synkiem. Ale to nie koniec, zbrodniarze zostaną osądzeni, nie zapomnimy o tym” – napisał europoseł Waldemar Buda.

Pytanie, jakich zbrodniarzy ma na myśli, bo Anna W. była nagrywana w ramach operacji Walet przez CBA za czasów rządu PiS, Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, czyli kolegów Budy z Parlamentu Europejskiego. A biorąc pod uwagę fakt, że materiały wówczas zebrane pokrywają się z wyjaśnieniami Szopy, można przyjąć, że proceder wyprowadzania pieniędzy na kampanię jest dobrze udokumentowany.

To zresztą oznacza, że byłoby bardzo dziwne, gdyby jakikolwiek uczciwy sąd uznał, że w PiS nie było przekrętów finansowych w kampanii i że faktycznie należy im się subwencja z budżetu. Kolejne śledztwa, tak jak to w sprawie RARS, pokazują, że decyzja Państwowej Komisji Wyborczej o odrzuceniu sprawozdania komitetu PiS była słuszna.

Jest jeszcze jedna refleksja w tej sprawie: panowie z otoczenia premiera zapewne pożywili się pieniędzmi od Szopy, ktoś za nich odwalił brudną robotę, załatwiał środki na kampanię dla nich, narażał się. A oni sobie teraz chodzą na wolności i zamieszczają płaczliwe wpisy, ale sami rączek nie chcieli brudzić. Wystawili panią Annę i jej męża, który jeździł do Prażmowa po kasę. Dość to wszystko obrzydliwe. Nie chodzi o to, by usprawiedliwiać urzędniczkę, ale by pokazać zakłamanie tych ludzi.

To samo było z wyprowadzaniem pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości. Urzędniczki ministerstwa sprawiedliwości odsiedziały swoje w areszcie, a jeden z głównych organizatorów procederu, wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski uciekł na Węgry. Z kolei szef tego resortu Zbigniew Ziobro nie ma żadnych zarzutów (na razie). I też wylewa krokodyle łzy na losem byłych podwładnych, choć jest współautorem ich problemów.

Gdy 20 lat temu wybuchła afera orlenowska, wyszło na jaw, że na prezesa Orlenu Andrzeja Modrzejewskiego nasłano służby specjalne, aby przyspieszyć zmiany personalne w spółce. Karę za to nadużycie władzy ze znanych polityków SLD poniósł tylko Zbigniew Siemiątkowski, który został prawomocnie skazany. Siemiątkowski odszedł z polityki. Ale czy to on był mózgiem tej operacji? Nie, inni zamawiali wykwintne dania i drogi alkohol, a on musiał zapłacić rachunek. Podobnie może być z Anną W., którą poświęcono w imię szczytnych – z punktu widzenia wierchuszki PiS – celów.

Urzędniczka wyszła z aresztu za kaucją 400 tys. zł. Tomasz Sakiewicz poinformował, że wpłaciła ją jego Fundacja Niezależne Media. Jeżeli to prawda, to konkluzja jest taka: nawet tego Morawiecki – milioner, były prezes banku, który jakiś czas temu przepisał na żonę nieruchomości warte dziesiątki milionów złotych – nie wziął na siebie. Ani jego ludzie, którzy z wysokimi dietami i apanażami umościli się w Parlamencie Europejskim.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354613

eprasa.pl 8d168fc391

NIE STAĆ NAS NA PŁATNE STUDIA

Jeśli Mentzen zostanie prezydentem, Maria nie zostanie lekarką.

Kamil Fejfer

Gdyby nie to, że dostałam się na bezpłatną publiczną uczelnię, nie byłabym w stanie studiować. A akurat mój przyszły zawód to nie żadna fanaberia. Owszem, samorealizacja, ale bardzo potrzebna społecznie" – mówi Maria, studentka kierunku lekarskiego na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym.

Dziewczyna pochodzi z niewielkiego, wielkopolskiego miasta. Jej rodzice to tamtejsza klasa średnia: ojciec pracuje jako informatyk w administracji publicznej, mama jako kontroler finansowy. Zarabiają nieźle, zwłaszcza jak na warunki małej miejscowości, więc pomagają córce utrzymać się w stolicy. Ale z pewnością nie byłoby ich stać na czesne. Na kierunku Marii w przypadku studiów niestacjonarnych to ponad 50 tys. zł rocznie. Jej sytuacja pokazuje, co dla mnóstwa młodych ludzi oznaczałoby spełnienie postulatu Sławomira Mentzena.

„W moim idealnym świecie studia byłyby płatne" – powiedział kandydat Konfederacji w Kanale Zero. „Czy nie uważasz, że odcinasz możliwość edukacji i że pewne nierówności społeczne będą narastać, jeśli ludziom z biedniejszych domów dofasolisz?" – dopytywał Krzysztof Stanowski. „Nie chcę nikomu dofasolić. Oni już teraz płacą czesne w różnego rodzaju prywatnych szkołach oraz na studiach zaocznych" – odparł Mentzen.

Natalia, studentka piątego roku stosunków międzynarodowych twierdzi, że gdyby nie to, że dostała się na państwową uczelnię, od razu po technikum poszłaby do pracy. Prawdopodobnie do lokalnej drukarni, może do jakiegoś wydawnictwa.

Dziewczyna pochodzi z okolic Opola, studiuje w Krakowie. Gros jej miesięcznych wydatków pochłania wynajem pokoju – w zależności od rachunków na zakwaterowanie wydaje od niespełna 1000 do 1200 zł. Środki pochodzą od rodziców, jak również około 700 zł na pozostałe wydatki. Czasami zdarzają się zastrzyki gotówki od babci. Budżet łata, dorabiając w studenckich pracach. – Ale z uwagi na moje problemy zdrowotne łączenie pracy na pełen etat i studiów odpada.

•

Według danych sytemu RAD-on – największej bazy informacji o polskim szkolnictwie wyższym – w w 2023 r. studiowało około 1,2 mln osób. Bezpłatna nauka jest domeną, po pierwsze, uczelni publicznych, a po drugie, studiów stacjonarnych. Żaków uczęszczających na takie zajęcia we wspomnianym roku było niecałe 640 tys.

Połowa studentów w naszym kraju więc nie płaci czesnego. To w nich uderzyłaby reforma Mentzena. Część po prostu zaczęłaby płacić za studia na publicznych uczelniach, ale głównie byłyby to osoby z okolic ośrodków uniwersyteckich, czyli dużych miast i metropolii – bo one nie muszą wydawać pieniędzy na stancję. Pozostali w większości porzuciliby sen o awansie, bo kiedy bowiem sumujemy opłaty za czesne i za utrzymanie z dala od domu rodzinnego, to rachunki wzrastają do poziomów nierzadko przekraczających średnią krajową.

Marię wynajem pokoju kosztuje 1800 zł. W sumie jej miesięczne wydatki to około 3 tys. Gdyby studia były płatne, musiałaby wysupłać ponad 7 tys. Mogłaby dorabiać, co zresztą robi – ale praca zarobkowa nawet w mocno niepełnym wymiarze odbija się na ocenach. – Czas przeznaczany na robotę w gastro to czas, którego nie poświęciłam na siedzenie w bibliotece – mówi.

Łączenie wymagających studiów medycznych z pracą pełnoetatową – a taką musiałaby wykonywać – praktycznie jest niemożliwe. Ambitne, przyszłościowe studia byłyby więc poza jej zasięgiem – są drogie bez względu, czy mówimy o uczelniach państwowych, czy prywatnych.

Przykładowe czesne uczelni niepublicznych: pielęgniarstwo w Wyższej Szkole Medycznej w Białymstoku to od 8 tys. do 9,5 tys. zł za rok; psychologia w tym samym mieście na Akademii Podlaskiej – 6800 zł rocznie; zarządzanie na WSB Merito w Opolu to koszt roczny rzędu 5,7 tys. – 6,7 tys.

„Kilkaset złotych miesięcznie? O co ta awantura? Netflix i parę wyjść na piwo. To do udźwignięcia" – powie ktoś. Ale publiczne uniwersytety, zwłaszcza te z pierwszej dziesiątki, byłyby znacznie, ale to znacznie droższe. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego przestawiło wyliczenia na swoim Instagramie. „Zakładając wycofanie środków przyznawanych w drodze subwencji i dotacji, brak dodatkowych form finansowania publicznego (np. bonów edukacyjnych), utrzymanie finansowania nauki w drodze grantów, utrzymanie aktualnej oferty kształcenia to kształcenie na studiach mogłoby kosztować nawet 75 tys. zł rocznie".

Na najlepszych uczelniach objętych programem IBUD (jego celem jest wyłonienie i wsparcie uczelni dążących do osiągnięcia statusu uniwersytetu badawczego) najtańsze byłyby niezbyt przydatne – w potocznym wyobrażeniu – na rynku pracy kierunki humanistyczne. Za te należałoby zapłacić – średnio – ok. 23 tys. zł rocznie. Na kierunkach medycznych czesne wynosiłoby nawet 75 tys. zł. W przypadku pozostałych uczelni publicznych mówimy o kosztach od 16 tys. zł (humanistyka) do 53 tys. zł (kierunki medyczne).

Mentzen w rozmowie ze Stanowskim wspomniał – nie przedstawiając dowodów – że poziom edukacji byłby wyższy, gdyby studia były płatne. Wychodzi na to, że byłoby odwrotnie. To bezpłatne publiczne uczelnie mają znacznie wyższy poziom. Jeżeli więc znieślibyśmy bezpłatne studia, osoby takie jak Maria zostałyby wessane przez prywatną – i gorszą merytorycznie – część systemu. A osoby takie jak Natalia prawdopodobnie nie studiowałaby w ogóle.

•

Współczesny, masowy system szkolnictwa narodził się w latach 90. O ile do 1993 r. w Polsce rocznie studiowało mniej niż 500 tys. osób, tak niecałą dekadę później żaków było już niemal 2 miliony. Proces ten był spowodowany kilkoma innymi, które w artykule „Młodzież wiejska na polskich uniwersytetach – dynamika zmian w latach 2006–2018" opisuje socjolog Krzysztof Wasilewski. „Po pierwsze, wynikało to z istnienia w społeczeństwie wielkiego rezerwuaru osób, które chciały uzupełnić wykształcenie, a w latach 80. nie miały możliwości studiowania. Po transformacji ustrojowej okazało się, że w wielu miejscach prywatyzowanej gospodarki (zdominowanej do tej pory przez sektor państwowy) do awansu zawodowego potrzebny był dyplom wyższej uczelni" – stwierdza badacz.

Po drugie, mieliśmy do czynienia ze wzrostem aspiracji edukacyjnych wśród młodzieży, która chciała zdobyć wyższe wykształcenie, aby dostosować się do nowych warunków na rynku. Do tego dochodziła presja demograficzna. Kolejne roczniki były coraz liczniejsze, również coraz więcej osób zdawało maturę. Wykształcenie wyższe dawało premię w CV. „Ekspansja szkolnictwa wyższego w tym okresie (1990–2005) miała charakter spontaniczny i nieskoordynowany, a jego konsekwencją była ewolucja systemu z poziomu dostępu elitarnego do powszechnego" – stwierdza socjolog.

W roku akademickim 1991/92 znaczna większość studentów – około 300 tys. – uczęszczała na studia stacjonarne, a około 100 tys. na niestacjonarne. Potem proporcje uległy odwróceniu – więcej młodych ludzi pobierało nauki na studiach niestacjonarnych. W szczytowym, jeśli chodzi o liczebność studentów, roczniku 2005/2006 ponad milion osób studiowało niestacjonarnie, a stacjonarnie około 900 tys. Dla porównania, w roczniku 2023/2024 około 450 tys. osób studiowało niestacjonarnie, a 780 tys. stacjonarnie.

•

Przypomnijmy, że studia stacjonarne to „studia dzienne". Naukę w takiej formie można pobierać i na uczelniach publicznych (tu jest bezpłatna), i na prywatnych (w większości płatnych). Oznacza to, że część osób, które wpadają do przegródki „studia stacjonarne" to osoby, które za edukacje płacą. Niestety, dane z początku lat 90 nie pozwalają na precyzyjne odsianie jednych od drugich.

Paradoksalnie, trend demokratyzacji szkolnictwa wyższego był wynikiem częściowej prywatyzacji i utowarowienia edukacji. Widać to po rosnącej w latach 90. liczbie uczelni niepublicznych. O ile do 1993 r. liczba niepaństwowych szkół wyższych nie

75

TYS. ZŁ

• **Nawet tyle rocznie mogłoby wynieść czesne na publicznym uniwersytecie po likwidacji darmowych studiów**

2 RP

eprasa.pl 8d168fc391

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

przekraczała kilkudziesięciu, tak w 2003 roku było ich już ponad 300. Obecnie tego typu placówek jest ponad 260. Jednocześnie od początku lat 90. liczba uczelni publicznych utrzymuje się na poziomie nieco ponad 100 (obecnie około 130; wśród nich znajdują się uczelnie akademickie, czyli prowadzące badania, oraz uczelnie zawodowe).

Obecnie w Polsce około 46 proc. osób w wieku 25-34 lata ma wyższe wykształcenie. To więcej niż średnia unijna: 43 proc. Co ważne, w naszym kraju jest spora różnica między płciami. Ponad połowa młodych kobiet i zaledwie 30 proc. mężczyzn ma dyplom licencjata lub magistra.

Krzysztof Wasilewski zwraca uwagę, że w ostatnich 3 dekadach nieco zmienił się status samego studiowania. Z „przywileju” wynikającego z urodzenia, jakim był w PRL, przez „prawo” tych, którzy mieli określone kwalifikacje (początek lat 90.) do pewnego rodzaju „obowiązku” dzieci wywodzącej się z klasy średniej obecnie.

Demokratyzacja dyplomów szła jednak w parze ze spadkiem jakości kształcenia – i wyrastające jak grzyby po deszczu uczelnie prywatne, i kierunki płatne na uczelniach państwowych z jednej strony miały niższy próg wejścia (czyli mniej wymagające egzaminy), z drugiej strony oferowały niższy poziom nauczania. Już samo to przeczy intuicji Mentzena – odpłatne studia zazwyczaj są gorszej jakości.

•

Ale to, że prywatne uczelnie kształcą na nieco niższym poziomie, nie oznacza, że ich dyplom jest nic niewart. Według badania Ekonomicznych Losów Absolwentów z 2014 r. premię w zarobkach z edukacji wyższej uzyskiwały zarówno osoby, które ukończyły studia państwowe, jak i te po uczelniach niepublicznych. I – uwaga – ci drudzy zarabiali nieco więcej. Jak to możliwe? Przecież państwowe akademie mają wyższy poziom!

Otóż osoby studiujące na uczelniach prywatnych wcześniej zaczynają karierę. Ale kiedy usuniemy zmienną „moment rozpoczęcia zarobkowania”, okazuje się, że koniec końców to absolwenci szkół publicznych zarabiają więcej.

Związek między zarobkami a studiami jest dość złożony. To jasne, że jeżeli po

• **Uroczysta inauguracja roku akademickiego 2023/2024 na Uniwersytecie Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie (23.10.2023)**

46

PROC.

• **osób w wieku 25-34 lata ma wyższe wykształcenie. Średnia unijna to 43 proc.**

szkole średniej pójdzie się od razu do pracy na pełen etat zamiast na studia, to zarobi się więcej, niż pracując weekendami w gastro. Studia są jednak rodzajem inwestycji – dają premię do wysokości zarobków, tylko że dyskontuje się ją na dalszym etapie kariery. Zazwyczaj ta premia rekompensuje „niezarobkowe” lub „nisko zarobkowe” lata studenckie. Statystyczny absolwent zarabia więc w ciągu życia więcej niż osoba, która zakończyła edukację na poziomie szkoły średniej, mimo że ta druga poszła szybciej do pracy.

Również miesięczna różnica w zarobkach rośnie wraz ze wzrostem liczby przepracowanych lat. Z zestawienia płac z Ogólnopolskiego Badania Wynagrodzeń tworzonego przez firmę Sedlak&Sedlak wynika, że mediana wynagrodzeń osób z dwu-trzyletnim stażem, które zakończyły edukację na szkole średniej, wynosiła w 2023 roku 5262 zł. Dla osób z wykształceniem wyższym magisterskim mediana była zaczepiona na poziomie 6200 zł. Lepiej wykształceni zarabiali więc 18 proc. więcej. Ale u magistrów z dziesięcioletnią karierą premia z edukacji rośnie do ponad 1/3 względem osób z wykształceniem średnim.

Jeszcze większe różnice – i zamęt – pojawiają się, kiedy przyłożymy miarkę z napisem „kierunek studiów”. Informatyka skończona na prywatnej uczelni o umiarkowanej renomie może dać absolwentowi większy zysk niż bezpłatny kierunek społeczny na dobrej publicznej uczelni.

Ale mimo tylu zmiennych wyłania się jednoznaczny wniosek: studiować warto, nawet w niezbyt prestiżowej Szkole Wyższej Tego i Tamtego. Bo wciąż, mimo przenoszenia prostszych stanowisk administracyjnych czy księgowych poza Unię Europejską, na wschód i do Azji, oraz mimo zastępowania powtarzalnych prac algorytmami AI, progiem wejścia na wiele stanowisk klasy średniej jest uzyskanie dyplomu. Jakiegokolwiek.

•

I tu dochodzimy do kwestii nierówności w dostępie do edukacji. Mentzen stwierdził, że osoby mniej zamożne i tak płacą za studia. W pewnym sensie to prawda. Krzysztof Wasilewski badał obecność na publicznych uczelniach osób o pochodzeniu wiejskim. „Im lepszy uniwersytet, tym mniejszy odsetek wśród studentów stanowi młodzież wiejska.

Na najbardziej prestiżowym uniwersytecie A obecnie (2018 rok) studiuje na wszystkich typach studiów (z pominięciem studiów III stopnia) zaledwie 18,1 proc. młodzieży wiejskiej; na uniwersytecie B (o średnim prestiżu naukowym, ulokowanym w średniej wielkości miejscowości) odsetek młodzieży wiejskiej wśród studentów jest wyraźnie wyższy i wynosi 33,4 proc.; na uniwersytecie o najniższym prestiżu, zlokalizowanym w mniejszej miejscowości studiuje najwięcej, bo 36,1 proc. młodzieży wiejskiej” – stwierdza. Jednocześnie młodzież wiejska w roku 2017 stanowiła 47 proc. ogółu młodzieży w wieku studenckim. A realna przepaść może być jeszcze większa. Bo na skromną reprezentację młodzieży ze wsi na prestiżowych uniwersytetach składa się w jakieś części młodzież wiejska tylko meldunkowo – od lat przecież klasa średnia i wyższa migruje spoza miasta.

Podobny efekt widać, jeśli spojrzymy na status społeczno-ekonomiczny rozumiany jako wykształcenie rodziców. Badanie na ten temat przeprowadził Krzysztof Czarnecki z Katedry Pracy i Polityki Społecznej Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. Okazuje się, że im wyższy prestiż uczelni, tym większy odsetek studentów z klasy średniej wyższej i niższy dzieci z rodzin z klasy robotniczej.

Paradoksalna sytuacja: osoby z domów o niższym statusie społeczno-ekonomicznym częściej płacą za studia, a osoby z uprzywilejowanego otoczenia częściej trafiają na uczelnie publiczne i na darmowe studia dzienne. Mało tego – statystycznie te ostatnie dają wyższą premię edukacyjną w postaci większych zarobków podczas całej kariery. Jeśli nie jest to jeden z najlepszych przykładów klasowej reprodukcji, to nie wiem, co mogłoby nim być.

Powodów takiego stanu rzeczy jest sporo – różny etos nauki w różnych klasach społecznych, różne nabywane w trakcie socjalizacji kompetencje kulturowe, różnice w kompetencjach intelektualnych – jednak jednym z głównych są bariery finansowe oraz odległość od dobrych ośrodków akademickich. Dzieci z wyższych rewirów klasy średniej mają nie tylko rodziców, którzy wspomogą finansowo, ale też mają po prostu blisko na porządną uczelnię.

•

Przyjrzyjmy się znów sytuacji finansowej studentów. Według stworzonego przez Warszawski Instytutu Bankowości we współpracy ze Związkiem Banków Polskich raportu „Portfel Studenta 2024” w zeszłym roku średnie miesięczny wydatki żaka wynosiły niemal 4 tys. zł. A co pochłaniało największą część wydatków? Bingo. Wynajem mieszkania – przeciętnie 1450 zł. Drugą pozycją było czesne – 600 zł.

Sytuację mieszkaniową studentów – a więc dostępność samego studiowania – można poprawić przez upowszechnienie akademików, które oferują godny i tani dach nad głową. Przypomnijmy, że w Polsce studiuje około 1,2 mln osób. Miejsc w akademikach jest nieco ponad 100 tys. Nic dziwnego, że jedynie ok. 10 proc. studentów mieszka w akademikach, a 30 proc. wynajmuje mieszkania; reszta mieszka albo u rodziny, albo u znajomych, albo ma własną nieruchomość. Trudno sobie wyobrazić, że te plus minus 1500 zł – startowe, za byle jaki pokój – dla części osób nie jest poważną barierą w spełnieniu pożytecznych marzeń. Mentzen chciałby dorzucić kolejną – czesne.

Zmienił się status studiowania. Z „przywileju” wynikającego z urodzenia, jakim był w PRL, stał się rodzajem „obowiązku dzieci z klasy średniej

„Marzenia” w darwinistycznym świecie wyborców Mentzena to synonim fanaberii. Ale nieprzypadkowo używam słowa „pożyteczne”. Otóż większy odsetek osób studiujących w społeczeństwie to wyższe PKB. Na przestrzeni dekad dowiodło tego mnóstwo badań, ale aby nie być gołosłownym, przywołajmy względnie świeże. Praca „How popularising higher education affects economic growth and poverty alleviation: empirical evidence from 38 countries” opublikowanej w „Humanities and Social Sciences Communications” podaje, że analiza przeprowadzona w Unii Europejskiej na danych za lata 1997-2016 wskazuje istotną korelację między rozwojem szkolnictwa wyższego a wzrostem gospodarczym. Gdzie rosła liczba studentów, tam poprawiały się wyniki gospodarcze.

•

Podsumujmy: lepszy dostęp do wyższej edukacji daje premię indywidualną w zarobkach dla samych absolwentów i zwiększa PKB potrzebne do tworzenia lepszej jakości państwa. Wprowadzenie odpłatności za studia zmniejszy liczbę studentów, ponieważ niektóre osoby – takie jak Natalia, studentka stosunków międzynarodowych – poszłyby od razu do pracy. Inna część żaków – tych studiujących dziś bezpłatnie na prestiżowych i potencjalnie drogich kierunkach – z mniej zamożnych rodzin byłaby zmuszona ograniczyć swoje ambicje edukacyjne. Ludzie tacy jak Maria trafiliby na gorsze studia bliżej domów. Na najdroższych – obecnie darmowych – kierunkach studiowaliby w dużej mierze albo absolutnie najzdolniejsi (którzy otrzymali stypendia), albo dzieci zamożnych rodzin, które stać, żeby płacić kilkadziesiąt tysięcy rocznie tylko za samo czesne.

Odpłatność wszystkich studiów ograniczy więc możliwość studiowania potencjalnie niezłym i zdolnym studentom, ale nie tak dobrym i nie tak zdolnym, żeby załapali się na stypendia.

Czyli wolnorynkowy prezydent Mentzen ograniczy zasób wysokiej jakości siły roboczej, która ma budować polski dobrobyt i bezpieczeństwo. Bo wytnie z puli talentów te, których rodziców nie stać na podnoszenie kwalifikacji niekoniecznie genialnych, ale zdolnych dzieciaków. A wypromuje kadry odległe od jego wyobrażeń o nowoczesnej, efektywnej gospodarce – niekoniecznie o najwyższym potencjale, za to już dysponujące zasobami, więc niekoniecznie zmotywowane do pracy. ●

eprasa.pl 8d168fc391

Czym jest polityka perwersji

NIE UMYĆ RĄK PO WYJŚCIU Z TOALETY

A potem się tym chwalić – to metoda ludzi takich jak Trump. Również w Polsce. Czy możemy jeszcze coś zrobić?

Marcin Napiórkowski
Bartłomiej Sienkiewicz

Granica szoku przesuwa się odrobinę każdego dnia. Budzimy się rano i odczuwamy przemożną potrzebę, by sprawdzić, co nowego się wydarzyło, gdy spaliśmy. Co znowu powiedział Trump, co zrobił Musk, gdzie dziś znalazły się Stany Zjednoczone?

W stosunku do rzeczywistości po roku 1989 jest to świat na opak. Dziwaczne odwrócenie porządku, który pamiętamy z czasu, gdy Polska wchodziła do NATO. Z Zachodu płynęła wtedy obietnica stabilności. Chaos był gdzieś daleko, na wschodzie, i nie wpływał na nasze codzienne życie. Rano informacje z dziwnej, lecz wypełnionej nadzieją normalności Rosji Jelcyna trafiały do Polski. Był jeszcze czas, by je przetłumaczyć i dodać kontekst, nim obudzą się Amerykanie, którym wyjaśnialiśmy postsowiecki świat.

Tym razem różnica czasu działa na naszą niekorzyść. Budzimy się szokowani przez niewiarygodne. A może własne zdziwienie powinno nas dziwić? Przecież to co oglądamy powinna była nas przygotować nie tylko poprzednia kadencja Trumpa, lecz także ostatnie półtorej dekady w wykonaniu wielu europejskich polityków, także w Polsce.

•

Bo Trump wbrew temu, co nam sufluje, nie jest wyjątkiem, lecz ucieleśnieniem nowej reguły w zachodnim świecie. Oto na naszych oczach wykrystalizował się międzynarodowy ruch połączony nie treścią wspólnych idei, diagnoz czy celów, lecz polegający na ostentacyjnym łamaniu wszelkich zasad. Proponujemy go nazwać polityką perwersji.

Ruch nie ma formalnej struktury, a jednak w podobny sposób funkcjonuje w wielu krajach europejskich i w USA. Nie ma centrum, żadnej międzynarodówki, która kodyfikowałyby jego zasady. Skąd zatem jego przedstawiciele wiedzą, jak mają się zachowywać? Owszem, bywa, że przepływają między nimi inspiracje. W polityce tego czy owego kraju można dostrzec wierne kopiowanie konkretnych rozwiązań, które sprawdziły się gdzie indziej. Lecz choć można skopiować na Facebooku czy X film Trumpa, nikt dziś nie próbuje być „polskim Trumpem", tak jak wcześniej próbowano być „polskim Obamą" czy „polskim Macronem".

Wydaje się, że obserwujemy nie ruch zsynchronizowany wspólnym ośrodkiem decyzyjnym czy sieciowo powiązany, lecz raczej zespół podobnych reakcji na wspólną przyczynę. Rodzaj psychicznej dyspozycji ludzi z różnych kontynentów i krajów, zdumiewająco podobnych w zachowaniach.

•

Źródłem polityki perwersji jest potężna negatywna emocja wymierzona przeciw elitom i istniejącemu porządkowi. Jej cel stanowi podważenie wszelkich norm i instytucji, które ten ruch uznaje za emblematyczne dla tego, co było.

Politykę perwersji tworzą powtarzające się mechanizmy. Jej istotą jest przekraczanie granic w każdym aspekcie. Odbywa się w sposób ostentacyjny, zwielokrotniony komunikacyjnie, nastawiony na wywołanie szoku. W tym sensie polityka perwersji ma charakter performansu. Dopiero oburzenie zszokowanej publiczności nadaje ramę interpretacyjną działaniom. Perwersja jest więc prowokacją prowadzoną w myśl hasła „słychać wycie – znakomicie".

W tym celu polityka perwersji stosuje metodę manifestacyjnej bezczelności. Może to być strój ostentacyjnie niepasujący do okoliczności, a jednocześnie krytykowanie czyjegoś stroju. Wypowiedzi niesamowicie obraźliwe, a jednocześnie bycie obrażalskim. Kłamanie i oskarżanie o kłamstwo. Dyskryminowanie i cenzurowanie przy jednoczesnym snuciu masochistycznych fantazji o byciu represjonowanym. Te sprzeczności to nie błąd, lecz bezczelność. Nie towarzyszy im próba zatajenia czy odwrócenia kota ogonem. W perwersyjnej polityce prawda nie jest ukryta za fasadą propagandy, lecz staje się nieistotna w zderzeniu z pozbawionym pozorów prawdopodobieństwa kłamstwem. Perwersyjni politycy chwalą słońce, otwierając parasol.

Język perwersji neguje wszelkie dotychczasowe relacje i sposoby komunikacji. W szczególności reguły społeczne nakazujące powściągnięcie nagiej siły. Politycy tego nurtu bez ograniczeń wykorzystują wszelką przewagę w danej sytuacji. Symptomatyczne dla ich języka są ataki ad personam wykluczone dawniej z reguł politycznej debaty, a przynajmniej niemile w niej widziane. Perwersyjny polityk to bully – silniejszy eksponujący własną siłę, a jednocześnie tchórzliwie pogardzający wszystkimi, którzy są w czymś lepsi. Oto kolejny paradoks perwersji, która nagą siłę łączy z krytyką silnych.

Te paradoksy są możliwe, ponieważ polityka perwersji tworzy czysty dyskurs, oderwany od Realnego. Opiera się na hiperaktywnej komunikacji, nieustannym generowaniu symbolicznego i wyobrażonego w odpowiedzi na wymyślone przez siebie problemy. Polityka perwersji tworzy symbole wrogów i natychmiast odpowiada im symbolicznym kontratakiem. Jest skrajnie antagonistycznym monologiem, dla którego wrogowie mają wyłącznie charakter pretekstu. Polityka perwersji stanowi fenomen czysto komunikacyjny – nie diagnozuje rzeczywistych problemów i nie rozwiązuje ich.

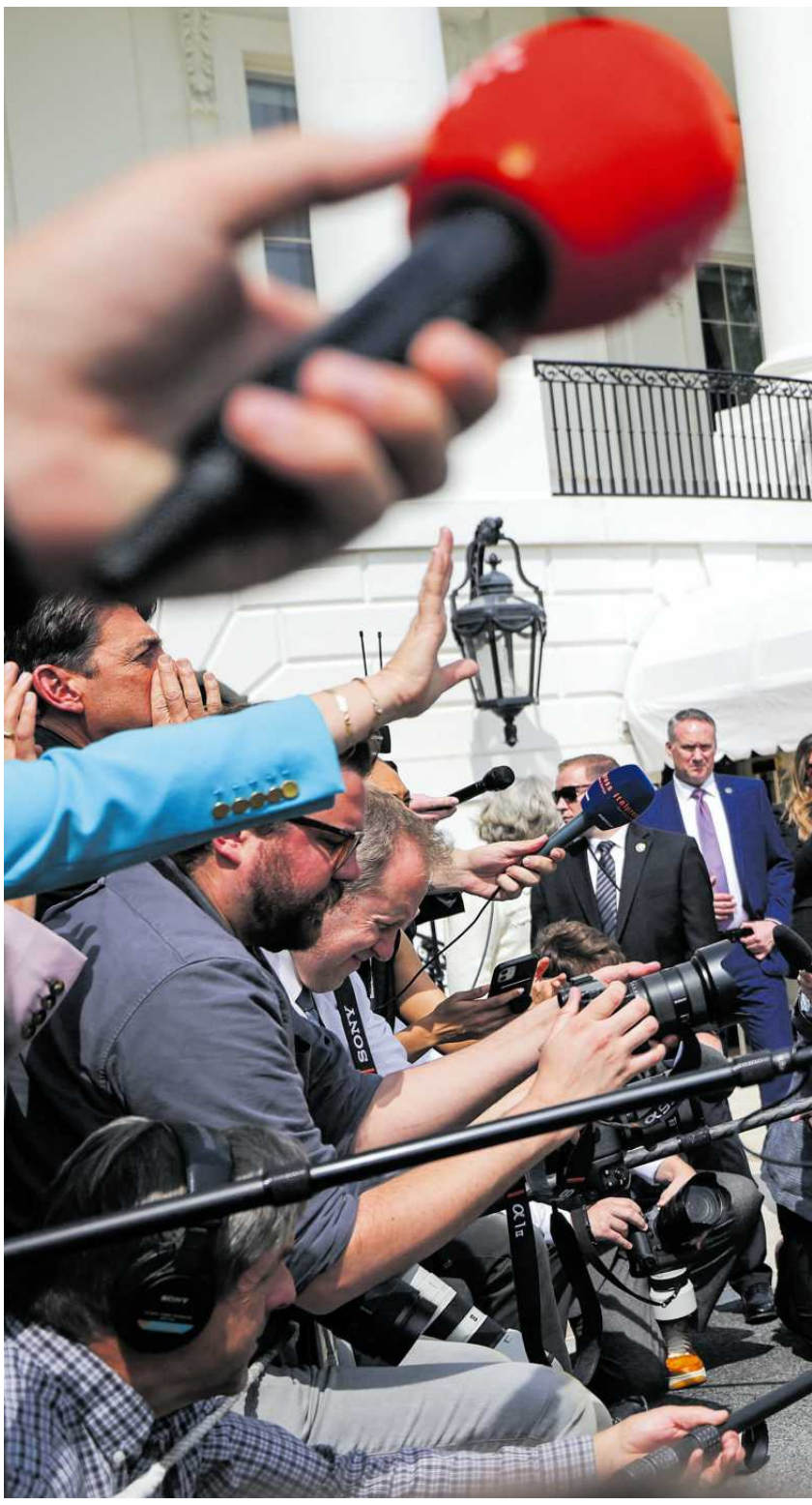

• Czy polityka lekceważenia w stylu Trumpa, to będzie nowy standard w zachodnim świecie? Na zdj. prezydent USA mija dziennikarzy w drodze do helikoptera Marine One, którym poleci na rezydencji na Florydzie. (Biały Dom, 3.04.2025 r.)
FOT. REUTERS/ CARLOS BARRIA

To oznacza, że perwersja nie ma politycznej tożsamości. Może używać retoryki prawicowej, lewicowej czy liberalnej, łączyć je, przeplatać oraz etykietować wrogów dowolnymi barwami. za jej słowami nie kryją się żadne konkretne projekty, a wartości pozostają w sferze deklaratywnej.

•

Nastał czas perwersji. Jest reakcją na poczucie nieszczęścia z niezwykle silnym instynktem rekompensaty. Widać to dobrze w polityce pamięci, gdzie wymiar restytucyjny wygrywa z dialogicznym, koncyliacyjnym. Świat porozumienia i przezwyciężenia traum przez pójście do przodu ustępuje światowi zemsty. Poszukiwanie rozmowy z historycznym wrogiem postrzega się jako rezygnację z własnych praw, a nie potencjalny sposób ich dochodzenia.

Perwersja poszukuje rozkoszy rozumianej jako powrót do stanu sprzed traumy. Sama trauma pozostaje jednak wyparta, zastąpiona kalejdoskopem symboli, w którym wciąż pojawiają się nowe zagrożenia. Perwersja za metodę zemsty obiera szok, a jej nagrodą jest rozkosz płynąca z działania przeciw regułom. Przekroczenia te nie mają jednak charakteru sekretów skrywanych przed spojrzeniem Innego (prawa, dobrego obyczaju, mediów i autorytetów). Przeciwnie! Istotą perwersji jest nie umyć rąk po wyjściu z toalety, a potem się tym chwalić.

Ostatecznie jednostka działająca z pozycji perwersji potrafi już odnaleźć przyjemność wyłącznie w szokowaniu. Rozkosz ze zgrozy malującej się na twarzy Innego staje się dla niej najwyższą rekompensatą za wszelkie wyobrażone krzywdy.

•

Nie jesteśmy klinicystami, nie chodzi o diagnozowanie poszczególnych polityków ani ich wyborców. Język psychoanalizy (w tym wypadku zapożyczonej od Jacques'a Lacana) przyjmujemy tu jako metodę opisu rzeczywistości. Nie jest to pomysł nowy. W ten sposób perwersyjną degenerację języka III Rzeszy opisywali Klaus Theweleit („Męskie fantazje") i Jonathan Littel („Suche i wilgotne"). O „politycznej perwersji" pierwszej kadencji Trumpa pisał natomiast Joshua Gunn („Political Perversion"), analizujący ją jako politykę przesytu i przemocy skutecznie zarządzającą zbiorowymi afektami.

Nas interesuje raczej masowość politycznej perwersji niż jej wyjątkowość. Perwersja, tak jak ją tu rozumiemy, stanowi chwyt retoryczny. Jeśli jednak globalna polityka staje się czystą retoryką, to chwyty retoryczne mogą decydować o przyszłości planety. Liczymy, że uchwycenie tej głębokiej zasady organizacji dyskursu politycznego pozwoli nam lepiej zrozumieć otaczającą nas rzeczywistość polityczną, a nawet przeciwdziałać grożącej nam katastrofie.

Bo właśnie ku katastrofie prowadzi nas światowa dominacja perwersji. To rodzaj nowotworu trawiącego politykę. Rozprzestrzenia się na kolejne kraje, partie i grupy społeczne, obezwładnia język i czyni nas ostentacyjnie niewrażliwymi na rzeczywiste problemy. Te problemy – nierozwiązywane, a wręcz niewypowiedziane – narastają w ukryciu, więc poczucie frustracji wzrasta. Wraz z nim zwiększa się potrzeba, by zna-

2 RP

eprasa.pl 8d168fc391

leźć winnego, zszokować świadków, podeptać zasady i wykrzyczeć swój gniew. Widzimy to nie tylko w polityce, ale też w otaczającej nas codzienności – na portalach społecznościowych, popularnych w sieci filmach, w brutalizacji języka i postaw, mających szokować i wywoływać oburzenie ku rozkoszy autorów.

●

Polityka perwersji sama siebie chętnie określa mianem „antysystemowej”. W rzeczywistości jej istotą jest wypowiedzenie hobbesowskiego paktu Lewiatana. Mówiący o wielkości narodu zwolennicy polityki perwersji są grabarzami państwa narodowego. Krok po kroku rozmontowują jego instytucje. Wypowiadają umowę społeczną, głosząc powrót czystej siły, co fałszywie określają „realizmem”. To powrót do opisywanego przez Hobbesa 400 lat temu stanu natury – wojny wszystkich ze wszystkimi, bez żadnych zasad i z zapomnieniem, o co w ogóle w tej wojnie chodziło.

Rozkoszą perwersji jest zemsta za wyobrażone krzywdy. Tymczasem krzywdy rzeczywiste perwersja zaskakująco skutecznie zamiata pod dywan. W ten sposób faktyczne finansowe elity – miliarderzy Trump czy Musk – stają się figurami mścicieli za krzywdy zwykłego człowieka. Dyktator Putin walczący z „polityczną poprawnością” jawi się jako bardziej wolnościowy niż Joe Biden.

Polityka perwersji jest karykaturą polityki solidarności. Wspólną troskę zastępuje wspólną zemstą. Zaufanie, ów podstawowy budulec nowoczesności, zastępuje cyniczne oświadczenie, że wszystko, w co wierzyliśmy, było tylko wielkim oszustwem („wszyscy politycy są siebie warci!”). To sprawia, że perwersyjni politycy cieszą się bezwarunkowym poparciem, choć wcale nie muszą być postrzegani jako moralnie lepsi od pozostałych.

Przyłapanie na kłamstwie czy nawet przestępstwie w ogóle im nie szkodzi. Bo każde przekroczenie norm czyni ich silniejszymi, a próba ich opanowania przez wprowadzanie norm sprawia, że stają się męczennikami prześladowanymi przez „system”. Oto tajemnica niesłabnącego poparcia perwersyjnych populistów.

To bezwarunkowe poparcie opiera się na utożsamieniu z nimi i zastępczym przeżywaniu per procura rozkoszy poniżania Innych. Wyborcy wybaczą perwersyjnym politykom wszystko, jeśli tylko dostarczą im poczucia słodkiej zemsty. Ale za co w zasadzie mszczą się perwersyjni politycy i ich wyborcy? Jaka trauma leży u źródeł tej globalnej fali?

●

Dlaczego znacząca część mieszkańców Zachodu – najszczęśliwszej, najspokojniejszej, najbogatszej części globu – postanowiła tak radykalnie wypowiedzieć istniejący porządek i podtrzymującą go umowę społeczną?

Jako pierwszą przyczynę wskazać można kryzys finansowy z 2008 roku. Miliony ludzi żyły w strachu przed zubożeniem, z dnia na dzień traciły oszczędności czy, domy. Ci sami ludzie obserwowali w telewizji, jak winni katastrofy odchodzą wolno, nierzadko pobierając milionowe odprawy. To wtedy załamała się wiara w merytokrację i poczucie upadku klasy średniej. Rok 2008 wyznacza zmierzch zaufania, które było kluczowym tworzywem liberalno-demokratycznej tkanki społecznej – a teraz jest głównym celem ataków perwersyjnej polityki.

Drugą przyczyną są migracje. Granice stają się płynne, kontakt z Innymi jest naszą codziennością. Problem z obcymi nie polega na tym, że przychodzą do naszych domów; problem jest taki, że kazano nam ich kochać. To był niepisany wymóg demokratycznego świata ufundowanego na zasadach solidarności i uniwersalnych prawach człowieka. Dlatego tak ożywczy wydaje się głos Trumpa, gdy przekonuje nas, że empatia jest samobójstwem cywilizacji. Perwersyjna polityka proponuje świat bez litości.

Trzecim komponentem traumy jest załamanie się wiary w możliwości państwa. Państwo narodowe okazuje się nieprzygotowane do globalnych problemów ponowoczesności. Nie wiadomo, jak miałoby działać wobec AI, kryzysu klimatycznego, przepływów kapitału. Jednocześnie nowe narzędzia technologiczne sprawiają, że to słabe państwo wydaje się ultaopresywne – zdolne do śledzenia każdego ruchu obywateli i bezprecedensowej ingerencji w ich życie. Państwo coraz więcej o nas wie, a jednocześnie coraz mniej sensownego może z tą wiedzą zrobić.

Finansowe elity – Trump czy Musk – stają się figurami mścicieli za krzywdy zwykłego człowieka. Dyktator Putin walczący z „polityczną poprawnością” jawi się jako bardziej wolnościowy niż Biden

Ten paradoks niemocy państwa obnażyła pandemia. COVID-19 zerwał zasłonę doskonałej racjonalności, którą liberalna polityka rozsnuła po roku 1989 r. Wirus ponownie skonfrontował nas z zasadą przypadkowości. Znów nie wiadomo było, co się jutro wydarzy. Po kogo zapuka śmierć.

Dziś sfera niepewności jest szersza niż kiedykolwiek od upadku muru berlińskiego. Wojna znów wydaje nam się możliwością całkiem rzeczywistą. Załamała się obliczalność świata i chłodna kwantyfikacja ryzyka, nad którym mieliśmy zapanować pieniądzem, empatią i wiedzą ekspertów. Zbiorowa perwersja szuka więc rekompensaty za świat, który odszedł do przeszłości, a zarazem wcale nie istniał. Żąda zemsty za niespełnioną nigdy, bo z gruntu fałszywą, liberalną obietnicę końca historii.

●

Te zjawiska należałoby traktować jako przyczyny, gdyby perwersja była zjawiskiem racjonalnym i nastawionym na rzeczywistość. Ponieważ jednak jest zjawiskiem czysto dyskursywnym, lepiej mówić o pretekstach.

Niektórzy zwolennicy polityki perwersji będą rozprawiać o kryzysie finansowym, migracjach czy pandemii, gdy inni podstawią jako źródło frustracji zupełnie inne zjawiska czy innych wrogów. Błędem jest poszukiwanie w tym racjonalności. Perwersja bowiem nie proponuje remedium. Nie chce nam dać więcej kontroli nad globalnymi przepływami finansów, nie chce rozwiązać problemów migracyjnych (działania w tym zakresie są pozorne, obliczone na spektakl). Nie chce ani faktycznie zmniejszyć zakresu działania państwa, ani dać mu nowych narzędzi wybijających je z marazmu i bezsiły. Jedynym, co proponuje, jest zemsta. Kieruje nią logika zniszczenia złego świata, a nie jego naprawy.

Polityka perwersji jest więc nastawiona przeciw nierównościom, lecz zarazem radykalnie je utrwala. (Warto o tym przypominać ludziom lewicy uwiedzionym przez perwersję!). Perwersja jest więc odwrotnością polityki, jest wręcz apolityczna. Nie szuka rozwiązań, by je potem żmudnie wdrażać, nie buduje możliwie najszerszego kompromisu, nie przekonuje sceptyków. Perwersja nie zna strategii ani planowania, nie szuka trwałości – wszystko, co dziś bierze na sztandary, jutro zmyć może nowa fala złowrogich emocji, przynosząca kolejnych wrogów i nowe tematy dnia.

Mimo tych niepolitycznych metod i płynnego operowania kolejnymi warstwami wyobrażeń i symboli skutki perwersji są jednak jak najbardziej polityczne i rzeczywiste. Czujemy to przez skórę. Dlatego z takim niepokojem myślimy o końcu wojny w Ukrainie – w świecie perwersji cała deklarowana solidarność może się okazać kolejną chwilową zabawką. Trump może porzucić Ukrainę, jak wcześniej porzucił próby zdobycia klubu w NFL czy niezliczone inne projekty.

Polityka perwersji jest radykalnym powrotem do przeszłości, ale przeszłości zmyślonej. Opiera się na tęsknocie za światem, którego nigdy nie było. Przeciwstawia liniowemu czasowi postępu czy wręcz końca historii swój czas kolisty. Słowo „again” jest kluczem do zrozumienia hasła „Make America Great Again”.

Nie przypadkiem to zawołanie bliźniaczo podobne do haseł fundamentalistów religijnych. Środki mogą być nieco inne, lecz cel perwersyjnej polityki jest taki sam jak cel terroryzmu: wywołać chaos, który zburzy obowiązujący porządek świata. Siać zgorszenie u tych, których postrzegamy jako stojących na straży gorszącego porządku. I czynić to w imię powrotu do nieistniejącej idyllicznej krainy z przeszłości.

●

Świat pozbawiony zasad, rządzony przez zmieniające się z dnia na dzień kaprysy i for-

eprasa.pl 8d168fc391

mowane ad hoc sojusze. To wizja, przed którą politolog Robert D. Kaplan przestrzegał już w roku 1994 w głośnym artykule „Nadchodząca anarchia". Przez lata stabilność zachodnich demokracji sprawiała jednak, że jego mroczne proroctwo nastania stref chaosu materializowało się wyłącznie w tzw. państwach upadłych oraz w deklaracjach fanatyków, którzy – jak Abu Bakr Naji, strateg i ideolog Al-Kaidy, autor broszury „Zarządzanie chaosem" – widzieli burzenie wszelkiego porządku jako strategię prowadzącą do upadku obowiązującego ładu.

Bo perwersja brzydzi się współczesnym światem i uważa go za perwersyjny. Sama przyjmuje perwersyjną pozycję, żeby zniszczyć, ośmieszyć, zohydzić to, czego nienawidzi. Jeśli nawet kryje się za tym pragnienie powrotu do jakichś „dawniejszych zasad", to nigdy przez realizowanie tych zasad. Polityka perwersji przekonuje nas bowiem, że gra jest ustawiona, a wszelkie zasady będą służyły elitom. Jedyną strategią jest w tej sytuacji wywrócenie szachownicy. Polityka perwersji jest więc nastawiona na przeszłość, lecz zarazem radykalnie przeciwna konserwatyzmowi. (Warto o tym przypominać konserwatystom uwiedzionym przez perwersję!). To polityka rewolucyjna, nieuznająca żadnych świętości. Religie są dla niej takim samym środkiem do celu co wszystko inne, byleby okazały się skutecznym narzędziem obalenia niesprawiedliwego porządku albo przynajmniej drażnienia wyobrażonych elit.

Perwersyjni politycy i ich wyborcy chcą widzieć, jak świat płonie. Stąd też zwolennicy perwersji nie widzą żadnej sprzeczności w tym, że powrót do przeszłości jest firmowany przez liderów wielkich korporacji technologicznych przedstawiających się jako kapłani przyszłości i działających w myśl zasady „move fast and break things".

Polityka perwersji jest, przynajmniej w tej skali, zjawiskiem nowym, splecionym ze zmianami społecznymi ostatnich lat i rozwojem serwisów społecznościowych. Stąd pokusa, by oswoić ją przez wpisanie w to, co już znane. Przerażeni komentatorzy od tygodni snują historyczne analogie do Jałty lub Weimaru, ale takie myślenie to pułapka. Historia się nie powtarza, choć polityka perwersji chciałaby nas przekonać, że jest zupełnie inaczej. Do zrozumienia tego, co się dzieje, potrzebujemy nowego języka.

•

„Być może fali perwersji nie da się powstrzymać? Może stary świat musi wypalić się w konwulsjach..." – narzucenie nam wiary w ten scenariusz byłoby ostatecznym zwycięstwem perwersji, która sama siebie przedstawia jako nieuniknioną siłę historii. Jak zatem pokonać perwersję? Na pewno nie można jej akceptować i normalizować. Akceptacja perwersji oznacza współudział. Perwersja ma charakter performatywny, jest odgrywana dla publiczności. Bycie wierną publicznością – nawet oburzoną – to rola, którą perwersja wyznaczyła nam w swoim show.

Perwersja proponuje swoim zwolennikom trzy główne strategie obronne.

Po pierwsze, można łudzić się wiarą w to, że za perwersją stoi jakiś wielki plan. Donald Trump gra w czterowymiarowe szachy, jego szalona fasada okazuje się tylko pozorem, a to, co mówi – przebiegłym blefem.

Po drugie, można perwersję zaakceptować w całej jej rozciągłości. Jej kłamstwa uznać za wyraz głębszej prawdy. Oto nareszcie ktoś mówi, wykrzykuje wręcz, prawdę o moim bólu, ktoś dowala tym, którzy dotychczas byli zwycięzcami (lub są jako zwycięzcy postrzegani).

Po trzecie, jest jeszcze strategia radykalnego cynizmu. Jeśli wierzymy, że nie zostało już nic wartego ocalenia, to nawet gardząc perwersją, można przejść na jej stronę, żeby przyspieszyć koniec.

Każda z tych strategii wzmacnia perwersję. Każda próbuje argumentu racjonalności jako usprawiedliwienia, choć perwersja jest z gruntu poza racjonalnością. Jest czystą emocją chcącą działać bez ograniczeń. Zamiast racjonalizować perwersję, należy

• **Sala posiedzeń Sejmu, dzień po ogłoszeniu wygranej Donalda Trumpa w wyborach. Szczęśliwi posłowie PiS (z lewej) Dariusz Matecki (jeszcze na wolności) i Mariusz Gosek w czapce „Make America Great Again" (6.11.2024)** FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

jej stawiać granicę. Naszym obowiązkiem jest z uporem działać w myśl zasady, że nie wszystko wolno. Powtarzać: „Nie będziemy tacy jak oni, nawet za najwyższą cenę". Ale czy to prawda? Wszak w USA i w Europie ci, którzy stają przeciw siłom perwersji, grają już na polu przemieszczonym bardzo daleko od dawnych norm.

Bo największą siłą perwersji jest przesuwanie granic, dzień za dniem, które niepostrzeżenie dotyka wszystkich.

•

Jak więc się upewnić, że sami nie działamy już w perwersyjnym świecie, w którym nasz cel uświęca wszelkie środki, a zasady nie obowiązują, ponieważ służyłyby naszym przeciwnikom? To tym ważniejsze, że perwersja radykalizuje się w wyniku odrzucenia. Jej siłą napędową jest resentyment, jak w tej bajce, w której lis, nie mogąc dosięgnąć winogron, stwierdził, że na pewno są ohydne. Więc za każdym razem, gdy odsuwamy

Polityka perwersji nie chce nam dać więcej kontroli nad globalnymi przepływami finansów czy rozwiązać problemów migracyjnych. Kieruje nią logika zniszczenia złego świata

perwersyjnych polityków od władzy, wracają silniejsi. A gdy oni pokonują nas, to my przez czas spędzony na wygnaniu stajemy się bardziej zgorzkniali, cyniczni i perwersyjni. Dlatego odpowiedzią na politykę perwersji musi być przerwanie cyklu zemsty. Ale na jakim polu się spotkać?

Nie na fałszywym polu zgody narodowej. Społeczeństwo bez podziałów to niebezpieczna fantazja, możliwa do zrealizowania wyłącznie w reżimach totalitarnych.

Nie na polu bezwzględnego wybaczenia win – nie wybaczajmy w nie swoim imieniu, jak przestrzegał Herbert.

Jedynym, co może nas ocalić, jest przeniesienie debaty na pole nieperwersyjnej polityki wobec Realnego. Politycznych mścicieli może z dominujących pozycji przegnać wyłącznie zemsta Realnego, przed którym nie można już dłużej zamykać oczu.

Tym przerażającym Realnym jest dziś możliwość perwersyjnego sojuszu Rosji i Ameryki, ponad naszymi głowami ustalających nowy porządek w naszym zakątku świata. Realna stała się groźba wojny, i to wojny prowadzonej w świecie chaotycznym, pozbawionym stabilnych sojuszy, na których przez lata budowaliśmy nasze poczucie bezpieczeństwa. Po 30 latach proroctwo Kaplana o anarchii może się spełnić – w skali globalnej.

Najważniejsza granica w polskiej polityce nie przebiega więc dziś między tą czy inną partią. Przebiega między tymi, którzy uznają politykę za narzędzie zemsty, a tymi, którzy wbrew wszystkiemu są w stanie podjąć politycznie realne działania przeciw ostatecznemu zagrożeniu. Oto bowiem ku naszym domom znów zbliża się nasze odwieczne przekleństwo jak powracający pod Legnicę Mongołowie. Po nich zostaje tylko „niebo a ziemia", jak pisał Henryk Sienkiewicz, chcąc oddać pustkowie po najazdach. Historia się nie powtarza, więc byłby to zapewne zupełnie nowy rodzaj wojny. Ale niósłby ze sobą wszystkie stare nieszczęścia.

•

Trend, który opisujemy, ma charakter globalny, lecz jego oddziaływanie, a przez to również potencjalne drogi naprawy są rozproszone i lokalne. I dlatego fali perwersji nie musimy się poddawać z tragicznym fatalizmem. Jako politycy, komentatorzy rzeczywistości i poszczególni obywatele wciąż mamy wpływ na przyszłość naszą i naszych dzieci. Przede wszystkim musimy zdefiniować pole naszej polskiej polityki – jej główne tematy i osie sporu. Za punkt wyjścia proponujemy trzy nowe wymiary oparte na paradoksach, w które wpędziła nas globalna polityka perwersji.

Po pierwsze, musimy nauczyć się radzić sobie bez Ameryki, również po to, by w przyszłości Amerykę odzyskać. Realne jest takie, że Waszyngtonowi w zakresie retoryki i krótkoterminowych interesów jest dziś bliżej do Moskwy niż do Warszawy, Paryża, o Kijowie już nie wspominając. Istnieje poważne ryzyko, że Ameryka chwilowo opuści Zachód, a naszym obowiązkiem jest, niezależnie od lęku i rachub politycznych, nadal bronić zachodnich interesów i wartości. Także po to, by USA miały dokąd wracać.

Po drugie, jeśli chcemy ocalić naszą normalność, musimy wyjść poza normalną politykę. W czasach przełomów udawanie normalności jest zgubne. Nie możemy nadal myśleć o państwie, jak myśleliśmy przez ostatnie dekady niepodległości. To nie ciepła woda w kranie i spór o to, kto wybudował więcej dróg, powinny być osią naszej dysputy. Sama tylko aspiracja cywilizacyjna przestaje być wyznacznikiem sukcesu państwa. Trudna do zaakceptowania prawda jest taka, że w obliczu grożącego nam Realnego to liczba schronów dla ludności, efektywność masowej armii (z rezerwami) i umiejętność zbiorowego przetrwania odróżniają dobre państwo od złego, a skuteczną politykę od nieskutecznej. Nie dlatego, że ciepła woda nie jest ważna, ale przeciwnie – dlatego, że w świecie chaosu nie będzie ani ciepłej, ani zimnej.

Po trzecie, musimy przestać kwestionować europejskie sojusze, a zarazem przestać traktować je jako dane w gotowej formie. Każdy głos skłaniający Polaków do izolacjonizmu i autarkii w kwestiach międzynarodowego bezpieczeństwa jest głosem za nieistnieniem Polski.

Związki z państwami, które jeszcze są Zachodem, są na wagę złota i nie można ich deptać w imię partyjnej polityki i dla wywołania spektaklu oburzenia. Samotni będziemy skazani na klęskę. Zarazem jednak warto dostrzec, że od początku lat 90., od których rozpoczęliśmy tę opowieść, nasza pozycja w Europie uległa radykalnej zmianie. Nie jesteśmy już klientem aspirującym do sojuszy i struktur, lecz ich współgospodarzami. Ciąży na nas obowiązek budowania partnerskich relacji i proponowania nowych wspólnych strategii, w tym tych dotyczących europejskiej samowystarczalności.

Bo także europejska woda w kranie wymaga dziś przemyślenia. Nasze położenie geograficzne sprawia, że widzimy więcej. Z perspektywy Polski ekonomia cyrkularna, przemyślenie europejskiego rolnictwa czy samowystarczalność energetyczna nie są dziś tylko imperatywami ekologicznymi i społecznymi, lecz priorytetami z zakresu bezpieczeństwa – i tak właśnie powinny być przeformułowane.

Wszyscy, którzy nie chcą doświadczyć skutków perwersji jako katastrofy pokoleniowej, muszą sobie zdać sprawę z tych trzech kluczowych wymiarów bieżącej sytuacji. Szczególny ciężar odpowiedzialności ciąży jednak na mediach i dziennikarzach. Oni na równi z politykami ponoszą odpowiedzialność, z jaką do tej pory nie musieli się zmagać. Muszą ograniczyć ekspresję. Okiełznać – w treściach, jakie podsuwają czytelnikom i widzom, a więc i w samych sobie – perwersję dzień po dniu zjadającą nasze mózgi.

Tego ograniczenia musimy dokonać w imię odpowiedzialności za kraj, w którym żyjemy i działamy. To jest trudne nawet nie z powodu plemiennej przynależności do obozów politycznych, której ulegamy. Jest trudne, bo perwersja jest atrakcyjna medialnie. Nic lepiej się nie klika niż oburzenie, które perwersja serwuje nam każdego dnia. Mimo rosnącej presji ekonomicznej i tektonicznych zmian na rynku mediów dziennikarze i ich wydawcy muszą przemyśleć swoje działania. Gdyż dając perwersji platformę, tylko przyspieszają przemianę polityki w igrzyska walk w klatkach.

Czy wojna u bram bez wsparcia, jakie obiecywał nam sojusznik z Waszyngtonu, okaże się naszym Realnym? Czy spowoduje powrót zasad do serca polityki i odesłanie perwersji z powrotem na jej margines?

Zróbmy wszystko, by się tak stało.

Alternatywą jest katastrofa. ●

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bartłomiej Sienkiewicz

• ur. w 1961 r., historyk, publicysta, urzędnik państwowy, polityk. W 1990 r. współtworzył UOP, a później Ośrodek Studiów Wschodnich. W latach 2013-14 szef MSW i koordynator służb specjalnych. Autor m.in. książek „Państwo teoretyczne" i „Sienkiewicz z nami" (o swoim pradziadku Henryku). Po październikowych wyborach w 2023 r. został ministrem kultury w nowym rządzie Tuska z zadaniem odbicia mediów publicznych z rąk polityków PiS i odbudowania TVP oraz Polskiego Radia. Obecnie jest europosłem KO.

Dr hab. Marcin Napiórkowski

• ur. w 1985 r., semiotyk, kulturoznawca, profesor w Instytucie Kultury Polskiej UW. Publicysta, eseista, publikował m.in. w „Tygodniku Powszechnym", „Krytyce Politycznej", „Wyborczej", autor książek „Kod kapitalizmu", „Mitologia współczesna", „Władza wyobraźni", „Powstanie umarłych", „Turbopatriotyzm" i „Naprawić przyszłość. Dlaczego potrzebujemy lepszych opowieści, żeby uratować świat". Współautor głośnego musicalu „1989". Od września 2024 kieruje jedną z flagowych placówek muzealnych, niedawno otwartym Muzeum Historii Polski.

2 RP

eprasa.pl 8d168fc391

ŚWIAT

FOT. MICHAEL M. SANTIAGO/GETTY IMAGES

• Reglamentacja jaj w Nowym Jorku: jedna osoba może kupić tylko tuzin jaj (jeden karton), 13.02. br.

Eggflacja, eggzystencjalny dramat Ameryki

Ani jajko, ani kura

Trump oburza się na plastikowe jajka, staruszkowie wspominają wojenne wyrzeczenia, **a zwykli Amerykanie malują ziemniaki na Wielkanoc.**

Alek Korab

eprasa.pl 8d168fc391

Sąsiad przemówił! Zapytał, po ile kupiłam jajka.

Jest piątkowy ranek, Magda wraca z psem ze spaceru. Po drodze wstąpiła do Trader Joe's, naszych delikatesów, gdzie dziesiątki lokalnych hipsterów posłusznie ustawiają się w kolejce wijącej się pomiędzy półkami od kasy aż do ruchomych schodów przy wejściu. Magda ma dobrą karmę, gwiazdy ustawiły się jej pomyślnie. Pusty regał, ale na najwyższej półce w głębi ukryły się ostatnie cztery! Włożyła karton jaj do koszyka obok humusu, jogurtu i granoli dla Stefci.

– Od kiedy tu mieszkam, od 12 lat, się do mnie nie odezwał poza „hello", nawet kiedy ich pies mnie ugryzł w nogę w windzie. Teraz nagle mnie pyta, po ile jajka!

– Czekaj… kupiłaś jajka? – pytam z uznaniem i odrobią zawiści. – Wczoraj ich nie było… Po chwili podnoszę głowę znad komputera i pytam: – Po ile w ogóle są jajka?

Magda mieszka w Nowym Jorku od 20 lat, ja od 11 i nigdy nie zastanawialiśmy się, ile kosztują jajka. Szczerze mówiąc, nie za bardzo wiemy, ile cokolwiek z tak zwanego koszyka, czyli podstawowych produktów, kosztuje w Ameryce. Czy raczej do tej pory nie wiedzieliśmy.

Następnego dnia rano spotykam Czerstwego Staruszka – emeryta, który gra codziennie w tenisa w McCarren Park. Jest wielkim fanem innego amatora tenisa, Donalda Trumpa, i też, jak on, jest parafizykoterapeutą, który ukończył Uniwersytet YouTube. Codziennie w korytarzu dzieli się radami z blokowymi kalekami („Panie Alku, ile ja tutaj postawiłem ludzi na nogi z bloku! A na skręcone kolano to wiadomo: kolagen i takie maszynki z prądem z Amazona, tylko 30 dolarów") i w piątek wieczorem ma więcej energii niż reszta bloku w poniedziałek rano. Czerstwy Staruszek jest lekiem na całe zło i nadzieją na przyszłe kontuzje.

Zwykle zamieniamy parę słów w windzie, więc kiedy chwalę się, że wczoraj udało nam się kupić jaja, w odpowiedzi pokazuje w uśmiechu bielutkie zęby: – Panie! Ja mam jaja! Rano trzeba kupować! Ja mam zapas! Ja panu odstąpię!

Dzień wcześniej późnym popołudniem w sklepie zastałem pustą półkę. W Ameryce nic nie może być puste, więc zanim wyszedłem, na regałach, gdzie zwykle stoją jaja, postawiono pojemniki z zupami, ale było za późno. Już przypomniały mi się sklepy w PRL-u i te tutejsze podczas początków pandemii.

Innego dnia specjalnie zmieniam trasę i zaglądam do burżujskiego supermarketu Whole Foods, którego właścicielem jest Amazon, a konkretnie miliarder Jeff Bezos. Myślę sobie: po pierwsze, jego gładko ogolona głowa, która przypomina wielkie strusie jajo, to dobry omen, a po drugie i ważniejsze, skoro Bezos wysyła ludzi w kosmos, to jaja w jego sklepie będą na bank. Wracam do domu i prezentuję dumnie Magdzie kosmiczne jaja, 12 sztuk za 10,99 dolara. Wydaje mi się, że to dużo, Whole Foods słynie z astronomicznych cen. Ale rano lokalna stacja radiowa WNYC donosi, że jaja w Washington Heights, północnej części Manhattanu, są po 18 dolarów. Wykonuję taniec zwycięstwa.

•

Ale bądźmy poważni i wróćmy do jaj.

Wielki Amerykański Kryzys Jajeczny rozpoczął się w 2022 roku, a jego głównym winowajcą jest epidemia H5N1, wysoce zaraźliwego szczepu ptasiej grypy, który zaraził około 168 milionów ptaków. W momencie wykrycia ogniska choroby producenci jaj likwidują całe stada. Jak wszystko w Ameryce, tutejsze farmy są dużo większe niż w innych krajach, często trzymają ponad milion kur, co mocno potęguje problem.

116

• PROC.
wzrósł wykrywany przemyt jaj. Fentanylu zmalał o 32 proc.

Kiedy jest mniej jaj, na które jest stały popyt, wiadomo, ceny rosną – i tutaj do gry wchodzą sklepy. Oferowały jajka poniżej kosztów – nawet po 0,99 dolara za tuzin – żeby przyciągnąć klientów, aby wydawali pieniądze na droższe produkty. W czasie kryzysu niskie ceny jaj oznaczają dla sklepów szybkie wyczerpanie zapasów, puste półki i frustrację klientów. To w połączeniu z rosnącymi cenami energii, transportu i pasz spowodowało gwałtowny wzrost cen.

Poza tym nowa administracja Trumpa zaczęła rządy od nagonek na nielegalnych imigrantów, często pracujących na farmach, a zwolnienia w administracji federalnej dotknęły inspektorów odpowiedzialnych za wykrywanie wirusów i eliminacje zakażonych stad. Jeśli dodać, że szefem służby zdrowia został główny antyszczepionkowiec kraju Robert F. Kennedy Jr. (syn Roberta, brata sławnego JFK, prezydenta Johna F. Kennedy'ego), znany tutaj jako RFK, to sytuacja osiągnęła poziom „perfect storm". Kiedy skończyłem pisać to zdanie, RFK zasugerował właśnie zaprzestanie prewencji, żeby wyselekcjonować odporne ptaki, co spowodowało panikę wśród naukowców.

To jeszcze nie wszystko. W Waszyngtonie zaczęły się pojawiać oskarżenia, że duzi producenci jaj – a innych praktycznie nie ma – zmówili się i wykorzystują kryzys do cichego podniesienia zysków. Departament Sprawiedliwości rozpoczął nawet dochodzenie, ale tajemnicą poliszynela jest, że priorytetem Elona Muska i doradców Trumpa jest rozmontowanie instytucji monitorujących wielki biznes, więc nie wiadomo, jak daleko posunie się śledztwo.

OK, to po ile w końcu są tutaj jaja? Przed lutym 2022 roku średni krajowy koszt tuzina jaj rzadko przekraczał 2 dolary. Taki poziom utrzymywał się od 2016 roku. W hurcie jeszcze w marcu zeszłego roku dostawcy za tuzin winszowali sobie nie więcej niż 1,70 dolara. Wtedy rozkręciła się ptasia grypa i w 2024 roku średnia cena detaliczna skoczyła do 4,15. Teraz w dużych miastach takich jak Chicago, Nowy Jork i San Francisco dobija do 8-10. Nic dziwnego, bo hurtownicy w styczniu brali już 6,55 dolara za tuzin.

Drożyzna najbardziej popularnego produktu spożywczego w Ameryce obnażyła paradoks niedawnych wyborów. Sukces Trumpa wziął się głównie z gniewu Amerykanów na rosnące ceny w sklepach. Kiedy ekonomiści bili brawo Bidenomics i demokraci wręczali sobie laurki za malejące bezrobocie, ceny akcji wyskakujące jak srebrne karpie z wody i historyczne zyski wielu korporacji, statystyczny Amerykanin wychodził z supermarketu z rachunkiem, który gotował w nim krew. Trump, który niczym wariograf potrafi czytać nastroje socjalne, obiecywał na wiecach: „Kiedy wygram, natychmiastowo zbiję ceny, zaczynając od pierwszego dnia w Białym Domu". A w czasie debat niczym Kaszpirowski powtarzał monotonnie, wykorzystując każdą dostępną sekundę włączonego mikrofonu, często bez kontekstu: „Jajka, bekon, płatki śniadaniowe…".

Po zwycięstwie, zamiast zbijać ceny, Trump zajął się swoim hobby: negocjowaniem przez zastraszanie. Biorąc za przykład swojego ulubionego prezydenta Williama McKinleya, znanego jako Król Taryf, skupił się na negocjowaniu ceł, co łączyło się z werbalnymi groźbami wobec Kanady, Meksyku, Danii i, ogólnie mówiąc, każdego kraju oprócz tego, którego nazwa zaczyna się na „R" i który prowadzi operacje militarne w sąsiednim państwie (nie, to nie jest Rwanda, jej akurat Trump nie pobłaża, zupełnie bez związku z tym, że sąsiednie Kongo śpi na surowcach i rzadkich metalach, a rządzi nim prezydent o stosunku do świata, władzy i reguł podobnym co The Don. Próbujcie dalej).

•

Demokraci, choć są partią z geriatrycznym, odciętym od rzeczywistości kierownictwem i z rekordowo niskim poparciem, dostrzegli jajeczną okazję i próbowali jakoś zareagować.

Senator Elizabeth Warren oskarżyła Trumpa o skupianie się na wszystkim innym – czyli na masowych deportacjach, rozmontowywaniu aparatu państwa i systemu opieki socjalnej, demolowaniu amerykańskiej i globalnej gospodarki za pomocą ceł oraz planowaniu aneksji Kanady i Grenlandii oraz zmianie nazwy Zatoki Meksykańskiej na Zatokę Amerykańską – zamiast na rzeczy najważniejszej dla Amerykanów. „Jedynym działaniem w sprawie kosztów życia było rozporządzenie wykonawcze, które zawierało minimalną wzmiankę o cenach żywności, a nie konkretną taktykę w celu ich obniżenia. Amerykanie oczekują taniej żywności" – napisała. Jej list do prezydenta podpisało 19 demokratycznych ustawodawców.

FOT. SELCUK ACAR/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

• **Jaja to najbardziej poszukiwany produkt w sklepach, Nowy Jork 21 .03. br.**

O drożyźnie wspominał senator Cory Booker w rekordowym 25-godzinnym przemówieniu wspierającym weekendowe masowe protesty przeciwko działaniom administracji Trumpa, a przy okazji mającym tchnąć ducha walki w Demokratów w Kongresie.

Natomiast same jaja stały się – jak drwią tabloidy – obsesją jego koleżanki, senator Amy Kloubachar, która nawiązuje do ich cen w praktycznie każdym wystąpieniu. Typowy cytat: „A teraz mam sugestię dla członków administracji Trumpa, którzy chcieliby po tym żarcie z prezydenta ze złości rzucić we mnie jajkiem: nie możecie, ponieważ są zbyt drogie".

Na pierwszą falę krytyki Trump zareagował, powielając na swoich kontach społecznościowych felieton Charliego Kirka zatytułowany „Zamknijcie się na temat cen jaj", w którym konserwatywny aktywista zwraca uwagę na rolę inflacji i epidemii ptasiej grypy. Sam prezydent naturalnie winą obarcza Bidena i żartuje z określenia „artykuły spożywcze", „groceries". „To taka torba z różnymi rzeczami w środku" – tłumaczył z szerokim uśmiechem reporterom.

W równie nieśmieszny i niezrozumiały żart usiłował obrócić sprawę John Kennedy (niepowiązany rodzinnie z RFK), 73-letni senator Republikanów z Luizjany, który w Fox News perorował: „Lubię omlety. Naprawdę lubię omlety! Mógłbym jeść omlet przy każdym posiłku. Wolę omlety bardziej

Popularne dania jajeczne w USA

• Przede wszystkim i mało oryginalnie: **omlety, jajka sadzone i jajecznica** – z tą istotną różnicą, że amerykańska jest smażona dużo szybciej niż u nas.

• **Devilled eggs:** Klasyczne danie, szczególnie popularne na Południu: jajka na twardo faszerowane mieszanką żółtek, majonezu, musztardy i przypraw.

• **Sałatka jajeczna:** Przyrządzana z posiekanych jajek na twardo, majonezu, musztardy i przypraw, często używana jako nadzienie do kanapek.

• **Jajka po benedyktyńsku** (Nowy Jork): Klasyka brunchowa składająca się z angielskich muffinów, kanadyjskiego bekonu, jajek na miękko i sosu holenderskiego. Podobno wymyślona w nowojorskim hotelu w XIX wieku jako lekarstwo na kaca.

FOT. SHUTTERSTOCK (2), ISTOCK (3), ALEXANDER SPATARI/GETTY IMAGES, JOHN HERSCHELL/WIKIPEDIA, FIREFLY

eprasa.pl 8d168fc391

2 • DOL. **kosztował tuzin jaj przed 2022 r.**

4,15 • DOL. **przeciętnie kosztował tuzin jaj w 2024 r.**

6,55 • DOL. **kosztował w hurcie tuzin jaj w styczniu**

Dziennikarka „The Atlantic” zainwestowała 1273 dolary w kurnik z cedru i w pisklęta, aby czekać siedem miesięcy na swoje pierwsze jajko

niż seks! Niezupełnie, ale rozumiesz, o co chodzi. Lubię omlety. Ale nie można zrobić omletu, nie rozbijając jajek”. Republikańscy komentatorzy później wyjaśniali, że chodzi mu o cały gospodarczy wymiar rewolucji MAGA i poświęcenia, jakie wszyscy patrioci muszą ponieść, aby się powiodła.

Konserwatywny influencer Benny Johnson o swoich intymnych preferencjach mówi mniej, ale przyznaje, że jego żona narzeka na paragony z codziennych zakupów. Ale choć „ceny jaj wzrastają i spadają”, to musi być „trochę zamieszania, trochę wzlotów i upadków, kiedy wypędzamy demony z tej gospodarki. Ale panie i panowie, myślę, że sprawy zmierzają bardzo, bardzo dobrze w kierunku tego, czego chce większość ludzi” – pociesza Johnson. Który robi za jednego z etatowych trumpistowskich optymistów w serwisach społecznościowych. Kiedy wskutek histerycznej reakcji giełd na wojnę celną, jaką Trump wypowiedział całemu światu, w dwa dni wyparował spory procent (od 6,8 do 58 tys. dolarów na osobę, w zależności od wieku i rodzaju planu) oszczędności emerytalnych Amerykanów, Johson na X tłumaczył: „Utrata pieniędzy nic nie znaczy. Cyfrowe jedynki i zera. Na koniec nie będziecie za tym tęsknić”.

•

Republikańscy propagandyści pokpiwają i odwracają kota ogonem, bo od tego są, ale w Białym Domu dostrzeżono rewolucyjny potencjał jajflacji. Bo Waszyngton zrobił coś, co Trumpa mierzi wyjątkowo – w końcu poprosił o pomoc. Inne kraje, które jaja mają, odpowiedziały: „pomożemy”, i ceny hurtowe spadły pod koniec marca do 3 dolarów. Więc w tweetach republikańskich polityków, alt-rightowych influencerów i w analizach trumpistowskich mediów powiało optymizmem, choć to wciąż sporo powyżej stawek sprzed zeszłorocznego szoku. I choć Departament Rolnictwa ostrzega, że minie kilka tygodni, zanim klienci zauważą te ceny w sklepach.

Albo i nie zauważą, bo spadki cen jaj Trump ogłosił razem z informacją o wprowadzeniu wysokich taryf na produkty importowane z innych krajów, łącznie z tymi, które zaoferowały Ameryce pomoc. I tak towary z Turcji i Korei Południowej, które pierwsze przybyły z jajeczną odsieczą, będą obłożone odpowiednio 10- i 25-proc. cłem.

Więc ceny jajek przyturlały się do punktu zeszłorocznego punktu wyjścia, a kryzys może się pogłębić, bo ten sam Departament Rolnictwa prognozuje, że jaja mogą zdrożeć o kolejne 20 proc. do końca roku.

•

Jak na ten kogel-mogel zareagowali Amerykanie? Sieci handlowe wprowadziły limity zakupu. W niektórych klienci, którzy nie mogli sobie pozwolić na kupno drogiego tuzina, łamali kartony na pół. Sieci zabroniły i tego. W odpowiedzi lokalne sklepiki, które w Nowym Jorku nazywamy bodegami (coś jak nasz klasyczny sklep na rogu, tylko z kotem śpiącym na ladzie i Jemeńczykiem za kasą, który na telefonie ogląda arabski serial na cały regulator), zaczęły sprzedawać jaja jak papierosy – na sztuki.

Zaczęły się skargi, że sprzedawcy trzymają dla ulubionych klientów jaja pod ladą, nasiliły się również kradzieże jaj. Właściciel jednego ze sklepów na Manhattanie w wywiadzie przyznał się, że obserwując kamery, zauważył człowieka chowającego towar pod kurtkę. Złodziej okazał się bliskim znajomym rodziny. Nie mając ochoty na konfrontację, na jego widok właściciel udał radość i mocno go uściskał. Na tyle mocno, że przyjaciel nigdy już jajka pod kurtkę nie schowa.

Na granicach celnicy zaczęli zatrzymywać przemytników, którzy przestawili się z fentanylu na jaja. Wykryty przemyt jaj wzrósł o 116 proc., a zabójczego narkotyku zmalał o 32 proc. Popularny komik Stephen Colbert obwieścił, że Ameryka zmaga się z „egg-zystencjalnym kryzysem”.

•

W sobotę idziemy spotkać się z Annie Hauck, prezeską Stowarzyszenia do Badań nad Żywnością i Społeczeństwem. Annie jest także emerytowaną profesorką żywienia i żywności w Brooklyn College i autorką popularnej książki „Gastropolis”. Po drodze mijamy mobilną budkę z przekąskami postawioną tutaj na czas budowy pobliskiego bloku. Podczas przerwy na lunch robotnicy zamawiają tam kanapki z jajami, które zjadają, siedząc na chodniku. Kanapka z jajem i różnymi dodatkami oraz jaja na bekonie to najpopularniejsze śniadania w Stanach.

Umówiliśmy się z Annie w Domino Park, gdzie jej mama, która przypłynęła na „Batorym” do Nowego Jorku spod Mielca, pracowała przy pakowaniu cukru w kostkach. Rozmawiamy chwilę o polskiej kiszce i o zimnych nóżkach, które niedawno Annie przyrządziła. Pytam ją w końcu, kiedy jajka stały się częścią DNA Amerykanów.

Naturalnie chodziło o kasę. – To efekt kampanii marketingowej z lat 20. XX wieku. Siostrzeniec Freuda Edward Bernays został poproszony przez firmę Beech-Nut Packing Company o znalezienie sposobu na zwiększenie sprzedaży bekonu. To, co zrobił, było genialne. Wtedy Amerykanie jedli głównie lżejsze śniadania podobne do kontynentalnych: chleb lub bułkę, kawę i popijali to sokiem pomarańczowym. Bernays zapytał jednego lekarza, czy uważa cięższe śniadanie za korzystne. Lekarz potwierdził, ponieważ w tych czasach ludzie praktycznie pościli od wczesnej kolacji aż do popołudnia. Bernays wziął tę opinię i napisał do 5 tys. lekarzy z prośbą o potwierdzenie. 4,5 tys. odpowiedziało twierdząco.

Ale to nie wszystko. – Żeby wypełnić kontrakt, Bernays połączył bekon i jajka jako idealną kombinację i opublikował to badanie w największych amerykańskich gazetach. Śniadanie szybko się przyjęło i stało się standardową opcją w każdym miejscu serwującym jedzenie, zwykle podawaną z tostami lub ziemniakami – opowiada Haucke.

Przez dekady ten zwyczaj wyewoluował w prawdziwy romans Amerykanów z jajkami, szczególnie podczas weekendowych brunchów traktowanych jako wydarzenie towarzyskie. Dania jajeczne są podawane z sosami, często z holenderskim, i z dodatkiem wędzonych mięs, serów i warzyw. Statystyczny Amerykanin zjada 280 jajek

• **Śniadaniowe tacos (Teksas):** Tortilla z jajkami i różnymi dodatkami, bardzo popularna w Stanie Samotnej Gwiazdy.

• **Hangtown fry (Kalifornia):** Omlet zawierający smażone ostrygi i bekon, którego tradycje sięgają epoki gorączki złota.

• **Kanapka Taylor Ham albo Pork Roll (New Jersey):** Kanapka jajeczna z szynką Taylor lub wieprzową bułką, w zależności od regionu.

• **Loco moco (Hawaje):** Danie z ryżem i kotletem hamburgerowym, sosem i jajkiem sadzonym, często z dodatkami, na przykład słynną mielonką konserwową Spam.

• **Bodega cheese sandwich (Nowy Jork):** Kanapka z jajecznicą, roztopionym serem i aioli na tostowanym „białym” (rodzaj bajgla przywiezionego przez Żydów z Polski, który otrzymał nazwę od Białegostoku). W opcji – chrupiące pastrami lub rozgniecione awokado.

eprasa.pl 8d168fc391

w ciągu roku. Więcej jedzą tylko Argentyńczycy, Japończycy i Paragwajczycy. Pytam Annie, skąd aż taka miłość.

– Przez długie lata swoje robiła przystępność cenowa. 99 centów za tuzin – a takie promocje były normą – oznaczało wysoką wartość odżywczą za symboliczną cenę.

– Ewenement w kraju taniej, wysoko przetworzonej żywności oraz bardzo drogich modnych produktów naturalnych – wtrącam.

– Bierzesz dwa, trzy jajka, podsmażasz warzywa, dosypujesz tarty ser, wrzucasz na patelnię i w masz kompletny posiłek w mniej niż 10 minut. W cenie i czasie zbliżonym do gotowego dania z pudełka, ale naturalny – kontynuuje Annie. – Jajko zawiera wszystko, czego pisklę potrzebuje do życia, więc jest niesamowicie odżywcze. Doradzam swoim zabieganym studentom, którzy pomijali posiłki, aby gotowali na twardo tuzin jajek, trzymali je w lodówce i brali kilka z kawałkiem owocu i chleba, gdy wychodzą z domu. Przenośna bomba odżywcza, zdrowa i przystępna cenowo.

•

W niedzielę idziemy ze Stefcią i jej kuzynką na brunch, czyli na bardzo późne śniadanie albo wczesny lunch, koncept wymyślony przez klasę próżniaczą w Wielkiej Brytanii i chętnie zaadoptowany przez brooklińskich hipsterów. Kierujemy się do ulubionej restauracji Stefci Egg, czyli Jajo, serwującej potrawy wyłącznie na bazie jaj. Restauracja pęka w szwach. W karcie do wyboru 19 dań głównych, nie mówiąc o dodatkach. Okoliczne restauracje nie mają jaj w nazwie, ale ich brunchowe menu jest podobne.

Dziewczyny zamawiają jaja po turecku, czyli z jogurtem, do tego klasyczną jajecznicę i burrito z jajkami, a ja wędzonego łososia, który naturalnie pojawia się na stole z jajkiem smażonym. Kelnerka mówi nam, że ceny jajek nie wpłynęły na ruch w restauracji, ale szefowie musieli podnieść ceny dań. Okoliczne bodegi wywiesiły ogłoszenia, że doliczają 0,5-1 dolara na pokrycie dodatkowych kosztów i nowa cena nie oznacza, że zarabiają więcej.

Eggflacja! Nie zmienia to faktu, że jajeczne kanapki schodzą w bodegach na pniu. To poranny posiłek uczniów, którym rodzice nie mają czasu zrobić śniadań. I wszystkich spieszących się do pracy. I wszystkich wybiegających z pracy na lunch. Bułka z jajkiem, z jajkiem i żółtym serem lub z jajkiem, serem i bekonem. Jajko w wersji podobnej do naszej jajecznicy. Jajko sadzone, ale smażone z dwóch stron. Ścięte słabo, średnio lub bardzo. W bułce, na chlebie białym, ciemnym lub żytnim, tostowanym lub nie. Z masłem, bez masła, ale prawie zawsze z ketchupem albo ostrym sosem. Wszyscy kochają kanapkę, którą można zjeść w metrze, chowając się pod ławką w czasie lekcji lub na Zoomie, z wyłączoną kamerą.

No i najbardziej znany omlet amerykański – dziś dostępny w każdym oldschoolowym menu, Western lub Denver Omlet, z szynką, papryką i cebulą, został wymyślony przez chińskich pracowników, którzy budowali kolej przez Dziki Zachód, naturalnie jako łatwa do zjedzenia w biegu kanapka.

•

Tydzień wcześniej wybraliśmy się na spotkanie rodzinne. Choć wyjątkowo nie było jajek z majonezem, i tak rozmowa szybko schodzi na ich ceny.

Kuzyn, który z rodziną kupił dom i przeniósł się na północ stanu Nowy Jork, uśmiecha się pod nosem i obwieszcza: „My mamy własne jajka".

Jego żona nabyła 6 kur (mniej kupić nie można) i gotowy kurnik w sklepie ze sprzętem rolniczym. Kurnik wybrała nieco droższy, bo z dachem, gdyż czasami zagląda do nich żyjący po sąsiedzku lis. Rodzinnie słuchamy opowieści o sześciu kurach, ich zadaszonym wybiegu, częstotliwości wypraw do sklepu rolnego po organiczną karmę w workach i o codziennie świeżych jajkach.

Coraz więcej Amerykanów idzie w tym kierunku. Tove Danovich, dziennikarka magazynu „The Atlantic", opisuje swoje doświadczenia: zainwestowała 1200 dolarów w kurnik z cedru, 73 dolary w pisklęta plus koszty wysyłki i materiałów. Tylko po to, aby czekać siedem miesięcy na pierwsze jajko. Bo okazało się, że kury nie znoszą jaj od listopada do marca. W dodatku nie zawsze zdąży zebrać urobek, bo ma angażującą pracę, a kury szybko zaczynają wysiadywać jaja. Nie mówiąc o tym, że je przed nią chowają. Tove wrzuciła wszystko w Excela, potrząsnęła i wyszło jej, że jedno jajko z podwórka kosztuje sporo ponad dolara, czyli znacznie więcej niż jajka kupione w sklepie. Nawet te z modnych sklepów w drogich dzielnicach, o supermarketowych – przypomnijmy, niespełna 5 dolarów za 12 sztuk – nie mówiąc. A tymczasem mimo ptasiej grypy kury w megafarmach produkują dziś 300 jaj rocznie – dwa razy więcej niż 150 w nieodległej przeszłości, do tego przez okrągłe 12 miesięcy, bo hodowcy oszukują je co do pory roku, wykorzystując sztuczne światło.

Można powiedzieć, że to w kurnikach wielkomiejskich liberałów realizuje się Make America Great Again, obietnica Trumpa i marzenie jego wyborców o powrocie do dawnej, swojskiej Ameryki. Bo na początku XX wieku robotnice rolne sprzedawały podarowane przez pryncypała farmera nadwyżki jaj za mniej więcej 42 centy za tuzin, czyli dzisiejsze 7,5 dolara.

– Ale – mówi nam żona kuzyna – oni już przestali przeliczać jajka na dolary. Bo kury z inwestycji stały się domowymi pupilami. Każda ma imię – poznajcie: Batmana, Oreo, Easter, Chicka, Queeny i Goldie – własną osobowość i zachowuje się bardziej jak pies niż jak ptak. Nioski chodzą za nią i na pewno nigdy rosołu z nich nie będzie.

Kiwamy aprobująco głowami, bo te sześć rodzinnych kur może być naszą jedyną szansą na wielkanocne jajko.

•

W mieście naturalnie nie każdy może sobie pozwolić na trzymanie kur w domu, ale można się dogadać z sąsiadami i zacząć hodowlę w bardzo popularnych tutaj miejskich ogrodach społecznych, zazwyczaj zakładanych w plombach pomiędzy domami. W tych ogrodach coraz częściej pojawiają się kurniki, a lokalne kury stają się osiedlowymi celebrytkami.

Innym sposobem na kryzys jest sprowadzanie jaj bezpośrednio od producenta, zazwyczaj z jakiejś farmy na północy stanu Nowy Jork. Jak grzyby po deszczu wyrastają start-upy takie jak Farm to People, które oferują regularną dostawę pudełek z organicznymi jajami, mięsem i warzywami, albo jak Misfit sprzedające produkty z odrzutu, czyli te, które nie spełniły estetycznych standardów sieci supermarketów. To nie jest tania rzecz, ale się opłaca. Słuchacz dzwoniący do radia opowiada, że kiedy kilka lat temu mówił znajomym, że zamawia jajka z farmy, śmiali się z niego – 5 dolarów?! – a teraz są zszokowani tak okazyjną ceną.

A media oprócz krzyczących nagłówków o kolejnych rekordach cenowych bombardują odbiorców całymi seriami porad. „New York Times" doradza kupienie kilku kartonów w dobrej cenie i schowanie do lodówki, bo są w stanie wytrzymać 3-5 tygodni. Znany szef kuchni doradza, żeby po odseparowaniu żółtek mrozić białka. Dietetyczka podsuwa, że ubite jajka można włożyć w foremki na kostki lodu, kostki włożyć do plastikowej torebki strunowej, zamrozić i bez żadnego ryzyka rozmrozić do wypieków lub jajecznicy. Influencer kulinarny woli upiec frittaty w foremkach na muffiny i również je zamrozić na czarną godzinę.

Magda mówi, że czarna godzina już nadeszła, więc w domu już nic nie mrozimy. Zresztą po co, skoro wszyscy – telewizje, gazety, portale, rozgłośnie radiowe – z sukcesem poszukują zamienników.

Z uwagi na jaflację sporo rodzin i firm organizujących imprezy przestawia się na jajka z plastiku. „Powiedziałem, im że nie powinniśmy tego robić" – oburzony Trump nalega, żeby używać prawdziwych jaj

280

• JAJEK
rocznie zjada przeciętny Amerykanin

Eksperci sugerują, że w ciastach i wypiekach świetnie sprawdza się żel lniany (1 łyżka stołowa mączki lnianej zmieszana z 3 łyżkami stołowymi wody), aquafarba (płyn z ciecierzycy w puszce) oraz opcje na bazie owoców (rozgnieciony banan lub mus jabłkowy, 1/4 szklanki na jajko). W posiłkach – twarde tofu jako zamiennik i jajecznicy, i jajek gotowanych, tofu jedwabiste do kremowych sosów w miejsce żółtek. Mają sposób nawet na klopsiki i panierki – puree ziemniaczane, ubite słodkie ziemniaki lub purée z dyni (1/4 szklanki na jajko).

A za historyczny ozdobnik robią emeryci wspominający erzace jaj z czasów II wojny światowej.

•

Oprócz przeciwników Trumpa – „Widzicie? Obiecywał, że ukróci drożyznę, a jak wyszło?" – podnieśli głowy weganie. Na billboardach pojawiły się reklamy zachęcające: zastąp jaja wegańską przekąską.

Świętują też hejterzy jaj. „New York Times" zrobił na ich temat cały materiał, zaczynając od światowej sławy ovofoba Alfreda Hitchcocka. „Ta biała, okrągła rzecz bez żadnych dziur, a gdy ją rozbijesz, w środku jest ta żółta rzecz, okrągła, bez żadnych dziur... brr! Czy kiedykolwiek widziałeś coś bardziej odrażającego niż żółtko jajka pękające i rozlewające swój żółty płyn?" – pytał reżyser. Trudno się dziwić, że ptaki nie są pozytywnymi bohaterami jego klasyka.

Żyjący celebryta Guy Fieri, 57-letni szef kuchni, porównał jajecznicę do „płynnego kurczaka". „Nienawidzę ich" – mówi Sandra Felix, 37-letnia szefowa kuchni w modnej restauracji w Los Angeles. I zwierza się, że nawet rozmawiała o tym ze swoim terapeutą.

Ale zdecydowana większość Amerykanów nie potrafi wyobrazić sobie bez „tej białej, okrągłej, ohydnej rzeczy" życia. Wyborcy Trumpa i demokraci, „bidoki" z Appalachów i programiści z Doliny Krzemowej, futbolowe mamy z przedmieść i czarne kasjerki z WalMartu, legalni i nielegalni – jedzą je codziennie. Upodobanie do jaj oraz związane z nimi tradycje to jedna z niewielu rzeczy, która wciąż łączy ludzi wciśniętych przez algorytmy serwisów społecznościowych w przeciwstawne bańki.

•

Jednym z amerykańskich wielkanocnych zwyczajów jest egg hunt, zabawa dla dzieci, które uganiają się za ukrytymi czekoladowymi jajkami i zajączkami. Polowanie na jajka wywodzi się od niemieckich imigrantów z XVIII wieku i symbolizuje radość z odkrycia – tę, którą przeżywały Maria Magdalena z innymi uczennicami i krewnymi Jezusa, zastawszy pusty grób Mesjasza. Wiele dzieci bardzo długo wierzy, że to zające znoszą jaja – tak popularne jest egg hunt. Bardziej nawet od turlania gotowanych jajek po trawie, choć to tradycja prezydencka – najsłynniejsze turlanie odbywa się od 1878 roku na trawniku Białego Domu.

I dlatego w tym roku w easter egg roll wturlała się wielka polityka z jeszcze większym biznesem.

Bo żeby turlać, trzeba mieć co turlać. „The New York Times" donosi, że z uwagi na jajflację sporo rodzin i firm organizujących duże imprezy przestawia się na jajka plastikowe. Influencerzy na TikToku doradzają, jak łatwo i oczywiście bezpiecznie pomalować zamienniki jajek.

Najbardziej praktyczną, choć najmniej seksowną opcją są ziemniaki. Co prawda, nie można użyć dowolnej farbki, trzeba je na zimno zafarbować barwnikiem bezpiecznym dla żywności – za to po zabawie można je podać jako pieczone ziemniaki na kolacje. Inne kreatywne opcje to cukrowe pianki marshmallow oraz cebula.

Trump, który jako tradycjonalista chce, żeby wszystko było „jak dawniej" (przy czym „dawniej" obejmuje, w zależności od wspomnień, skojarzeń i nastroju, jakie ma z danym tematem, przedział od lat 70., przez 80., po nawet późne 90.), nalega, żeby jednak używać prawdziwych jaj. „Niektórzy mówią, żeby nie używać jajek, żeby w zamian używać plastikowych jajek. Powiedziałem im, że nie powinniśmy tego robić".

Prezydent zamierza turlać przykładem, ale jemu jest łatwiej – Biały Dom eggflacją nie musi się trapić, bo w tym roku administracja Trumpa wprowadziła nowinkę: ogłosiła zbiórkę ofert od wielkich korporacji na sponsoring tego wydarzenia. Datki wahają się od 75 do 200 tys. dolarów. W zamian korporacje – czyli ich szefowie oraz wielcy udziałowcy – będą mogli pokazać się podczas wydarzenia, w którym uczestniczą najważniejsze osoby w kraju. I zamienić słowo z tą jedną, najważniejszą. Dlatego półżartem (ale jednak większe pół serio) wśród najbardziej zainteresowanych ofertą wymienia się koncern Lockheed Martin, który wskutek nowej linii polityki zagranicznej może utracić wiele lukratywnych kontraktów na samoloty bojowe w Europie.

Komercjalizacja świąt nikogo już nie dziwi, w końcu u Trumpa wszystko jest na sprzedaż. Na tym samym trawniku tydzień wcześniej z zapałem lokalnego dilera promował przed kamerami samochody swojego ulubionego oligarchy Elona Muska. Po tym wydarzeniu akcje Tesli poleciały na łeb na szyję. Być może turlanie jajek po trawie przez dzieci sponsorowane przez producenta myśliwca F-35 podobnie wpłynie na ceny jaj? ●

2 RP

eprasa.pl 8d168fc391

Starość prezydenta

Objaśniamy ruchy Trumpa brakiem wiedzy, przekorą i narcyzmem. **Ale jest gorsza możliwość**

Bartosz T. Wieliński

Podczas kryzysu kubańskiego, gdy w każdej chwili mogła wybuchnąć wojna jądrowa między Ameryką i Rosją, John F. Kennedy spał ledwie parę godzin dziennie. Czy gdyby świat znowu stanął na krawędzi, Trump da radę?

Pytanie wcale nie jest niestosowne. Rok temu zadawano je powszechnie – i nie tylko w USA – w stosunku do Joe Bidena, który ukończył 80 lat. Z raportu medycznego opublikowanego na początku 2024 r. wynikało, że Biden jest neurologicznie zdrowy, motorycznie sprawny i w ogóle pełen energii. Ale media przypominały o piętnie wieku: choć zdrowy i pełen energii, prezydent wyłączał się albo przysypiał podczas rozmów, mówił zbyt cicho, gubił wątek. Trump z niego szydził, nazywając rywala „Sleepy Joe”. Gdy pod czerwca stanęli do debaty, stało się jasne, że obawy co do stanu zdrowia Bidena są uzasadnione. Człowiek, od którego zależały losy mocarstwa, wojny w Ukrainie, NATO i zachodnich demokracji, nie radził sobie z formułowaniem myśli. Katastrofę świat oglądał na żywo, trzy tygodnie później „Śpiący Joe” zrezygnował ze startu.

•

Teraz uwaga świata skupiona jest na zdrowiu 78-letniego Trumpa. Najświeższe dane pochodzą z czerwca 2020 r. Trump cierpiał wówczas na otyłość, miał zbyt wysoki poziom cholesterolu, ale morfologia krwi nie budziła zastrzeżeń, a serce i inne organy pracowały prawidłowo, więc lekarz Białego Domu orzekł, że prezydent jest zdrowy. Dokument liczył dwie strony, co i tak było postępem. Raport lekarski sprzed wyborów w 2016 r. zawierał jedynie zdanie, że Trump jest „najbardziej zdrowym” kandydatem na prezydenta w historii. Tę formułkę lekarzowi podyktował sam kandydat.

W październiku 2020 r. Trump złapał Covid. Zakażenie miało poważny przebieg. Konieczna była hospitalizacja, a gdy spadła saturacja krwi, założenie aparatu tlenowego. Medycznych szczegółów opinia publiczna nigdy nie poznała, przed wyborami w 2024 r. Trump nie ujawnił też żadnych wyników badań, nawet po postrzeleniu przez zamachowca. Niczego o jego kondycji obywatele USA nie dowiedzieli się też po objęciu przezeń urzędu.

Tymczasem pogłosek o złym stanie zdrowia Trumpa przybywa. Jest tak, jak było z Bidenem, gdy rezydował w Białym Domu: znowu mówi się o problemach z koncentracją i gubieniu wątków. Wiek, nadwaga, zła dieta – to nie są dobre prognostyki. Jest też inna kwestia: ojciec Trumpa u kresu życia cierpiał na chorobę Alzheimera. To oznacza większe prawdopodobieństwo, że prezydent też zapadnie na to schorzenie. A w przypadku prezydenta USA zdolność do jasnego myślenia i odporność na stres to kluczowe kwestie.

Tymczasem zachowanie Trumpa budzi zdziwienie. Jednego dnia nakładał cła, drugiego je zawieszał, jednego dnia groził Ukrainie, drugiego Rosji. Przymykał oczy na dewastację służby cywilnej, jaką dokonuje Elon Musk, by potem się od miliardera dystansować. Od kilku miesięcy szukamy w posunięciach prezydenta USA jakiejś logiki. Zostajemy z niczym. Tłumaczymy je jego niedojrzałością, kapryśnym charakterem, ignorancją połączoną z miłością własną, infantylizmem i przyjmowaniem zdania ostatniego rozmówcy. A co, jeśli Trump po prostu jest schorowany i gwałtownie się starzeje?

•

Chaotyczne wypowiedzi i posunięcia Trumpa mają miejsce w czasach, które ciągle możemy nazywać stabilnymi. Wojna w Ukrainie, mimo gróźb Kremla nie eskaluje. W Pekinie nie zapadła decyzja, by spełnić groźby wobec Tajwanu. Izrael niezwykle krwawo, ale skutecznie rozprawił się z Hamasem i Hezbollahem. Bombardowania irańskich instalacji jądrowych USA ciągle odkładają. Na linii demarkacyjnej między Północną a Południową Koreą panuje spokój, problem nadmiarem żołnierzy i palącą potrzebą dewiz Kim Dzong Un rozwiązuje na froncie w Ukrainie. Przywykliśmy, że morze, po którym płyniemy, jest wzburzone, polityczni liderzy nawet już nauczyli się na nim nawigować. Ale co będzie, gdy na horyzoncie pojawi się jakaś olbrzymia fala?

FOT. REUTERS/KEVIN LAMARQUE

• **Donald Trump wysiada ze swojego prezydenckiego Air Force One w West Palm Beach na Florydzie (28.03.2025).**

Dlatego warto przypominać wydarzenia z października 1963 r. gdy amerykański wywiad odkrył, że na rządzonej od kilku lat przez komunistów Kubie ZSRR rozmieszcza wyrzutnie rakiet średniego zasięgu, dzięki którym pociski z głowicami jądrowymi mógłby w ciągu kilku minut spaść na najważniejsze miasta w USA. Odkrycie planu Chruszczowa oznaczało początek trwającej dwa tygodnie wojny nerwów. III wojna światowa wisiała na włosku.

Pogłosek o złym stanie zdrowia Trumpa przybywa. Jest tak, jak było z Bidenem, gdy rezydował w Białym Domu: mówi się o problemach z koncentracją i gubieniu wątków

45-letni Kennedy nie był okazem zdrowia, choć problemy nie dotyczyły jasności umysłu. Podczas studiów grał w futbol i nabawił się poważnej kontuzji kręgosłupa, która dawała mu się potem we znaki. Codziennie, by funkcjonować mimo bólu, brał mnóstwo lekarstw. Już po jego śmierci lekarze doszukiwali się celiakli (genetycznej nietolerancji glutenu, co objawia się zaburzeniem prac jelit) i choroby Addisona, zaburzeń pracy nadnerczy, która manifestuje się m.in. brakiem apetytu.

Nie wiadomo, czy Chruszczow wiedział o jego problemach, ale uważał JFK za mięczaka. No i się przeliczył.

Z relacji świadków wynika, że październikowe dni, gdy Amerykanie szykowali się do inwazji na Kubę i starcia z ZSRR, były koszmarem. Kennedy zadawał sobie sprawę, że regularna wojna szybko przerodzi się w starcie jądrowe. Prezydent i jego sztab spędzał długie godziny na rozmowach z doradcami, wojskowymi, dyplomatami. – Wyglądał, jakby nie spał kilka dni. Powiedział nam, że przez tydzień nie był w domu – tak wrażenia z rozmowy z bratem prezydenta, Robertem, relacjonował radziecki ambasador w Waszyngtonie. Prezydent spał góra po parę godzin, a jego żona Jackie Kennedy wspominała później, że wskutek niewyspania zdarzało mu się nie rozróżniać, co jest jawą, a snem.

Mimo tak trudnych okoliczności Kennedy nie pękł i podjął właściwe decyzje. Ogłosił blokadę Kuby i wysłał Chruszczowowi ultimatum. Sowiecki gensek też nie chciał wojny, zgodził się wstrzymać dostawy rakiet na wyspę i zdemontować już rozmieszczone pociski w zamian za wycofanie amerykańskich z Turcji oraz gwarancje, że USA nie zaatakują Kuby.

Kennedy mógł wreszcie odespać.

•

Mogę sobie wyobrazić podobną sytuację w 2025 albo 2026 roku. Rosja – to nie tylko medialna emocji, taki scenariusz biorą pod uwagę najlepsi eksperci – może zechcieć przetestować, czy artykuł 5 Traktatu Waszyngtońskiego działa i czy ważne kraje NATO na czele z USA uznają atak na któregoś z najmłodszych i najmniejszych członków sojuszu w rodzaju Estonii albo Litwy za atak na cały Zachód i udzielą ofierze pomocy.

Zanim Putin napadł na Ukrainę, miesiącami budował napięcie. Amerykańskiemu wywiadowi udało się zdobyć nie tylko dowody na przygotowywanie inwazji, ale nawet jej plan. Amerykanie podzielili się nimi z sojusznikami, zaalarmowali prezydenta Zełenskiego, przekazali też Rosji, że mają pełną wiedzę, co knuje i będą na to reagować. Przełom 2021 i 2022 r. musiał w Białym Domu być bardzo nerwowy, a ryzyko przerodzenia się wojny w Ukrainie w III wojnę światową było realne. Biden musiał przekonywać sojuszników, że inwazja jest nieunikniona, mobilizować świat do pomocy, a jednocześnie baczyć, by wsparcie dla Ukraińców nie sprowokowało Rosji do odwetu.

Mimo wieku i już wtedy ujawniających się problemów neurologicznych poradził sobie.

•

Gdyby teraz Rosja szykowała się do ataku na któreś z państw bałtyckich, na pewno nie uderzyłaby z zaskoczenia. To nie w rosyjskim stylu. Najpierw przygotowywałaby grunt, prowadziła operacje hybrydowe, przedstawiała dowody estońskich czy litewskich zbrodni na rosyjskiej mniejszości, zażądała denazyfikacji kraju, wysyłała NATO groźby. Jak Trump wytrzymałby to wielodniowe napięcie, brak możliwości odpoczynku, świadomość, że nadchodzi być może nieunikniona wojna? Jak na sygnały wysyłane przez prezydenta, który potrafi w ciągu 24 godzin całkowicie zmienić stanowisko albo zaprzeczyć temu, co wcześniej powiedział, reagowaliby sojusznicy? Przeciwnik?

To są pytania zasadne i bez odpowiedzi. Jednak oprócz zdrowia prezydenta istotne jest też to, z kim prezydent pracuje i kto mu doradza. Kennedy miał doradców, którzy potrafili przedstawiać odmienne stanowiska. Generał Curtis LeMay, szef sztabu sił powietrznych, który podczas II wojny realizował koncepcję bezlitosnego bombardowania japońskich miast, tak jak większość wojskowych optował za atakiem na rosyjskie wyrzutnie na Kubie. Sekretarz obrony Robert McNamara optował za blokadą wyspy i dyplomacją.

Trumpowi rady doświadczonych dyplomatów i wojskowych nie były w smak. Za pierwszej kadencji zmieniał doradców ds. bezpieczeństwa i szefów dyplomacji, w drugiej postawił na potakiwaczy bez doświadczenia w wojsku, dyplomacji, wywiadzie. Przedsmak ich kompetencji mieliśmy przy okazji afery signalowej, gdy okazało się, że informacje o ataku na Jemen otoczenie Trumpa wysyłało sobie za pomocą komunikatora, a do czatu doproszono dziennikarza „The Atlantic”. Co jeszcze może pójść nie tak – pytali pół żartem, pół serio komentatorzy. No i doczekali się.

W środę 2 kwietnia Trump nałożył cła na cały świat, łącznie z zamieszkanymi jedynie przez pingwiny wyspami na Oceanie Indyjskim. Nad metodą, wedle której obliczono nowe taryfy, do tej pory głowią się eksperci. Cła nałożono na Wyspy Zielonego Przylądka, nie nałożono ich na Rosję i Białoruś. Trump tydzień później nałożył dodatkowe cła na Chiny – wyniosły 104 proc. Potem podniósł je jeszcze bardziej, a cła na inne kraje zawiesił. Najpierw zapewniał Amerykanów, że zaostrzenie polityki handlowej zapewni im dobrobyt, potem – gdy giełda zaczęła się sypać, a oszczędności obywateli znikać – wzywał ich do cierpliwości. 8 kwietnia zapewniał, że dziesiątki przywódców państw świata stoi w kolejce, by „pocałować go w dupę”. Dzień później całować go nie musieli, bo z ceł się wycofał.

Może jest w tym jakaś strategia. Być może ktoś na tym chaosie zarabia. Ale nieracjonalne zachowanie prezydenta niepokoi i każe pytać, czy z Trumpem wszystko w porządku.

Bo skoro jest w stanie wywołać gospodarcze trzęsienie ziemi i w parę dni roztrwonić bogactwo – i to dosłowne, i niemierzalne, czyli jej wiarygodność oraz *soft power* – Ameryki, to jak zachowa się, gdy dojdzie do kryzysu, który zagrozi fizycznemu bezpieczeństwu USA? A ma na podorędziu ponad 1,7 tys. głowic jądrowych. ●

eprasa.pl 8d168fc391

Napalm zamiast latte

DLACZEGO AMERYKANIE NIE LUBIĄ EUROPY

Od dawna wiadomo, że oni są z Marsa, a my z Wenus. Egzystencjalnym problemem stało się to dopiero wtedy, kiedy aktualny Mars w osobie Donalda Trumpa odłożył włócznię i chwycił za młotek.

Robert Stefanicki

• **Nowy zestaw wrogów Europy według ulicznego plakacisty z Londynu, 17 marca.** FOT. LEON NEAL/GETTY IMAGES

JESTEŚMY ŹLI. Jesteśmy najbardziej zajebistymi skurwysynami, jacy kiedykolwiek biegali w Reebokach. Jesteśmy w trzech czwartych niedźwiedziami grizzly. Weź swoje Niemcy, Francję i Hiszpanię, złóż je wszystkie razem, a nie da nam to miejsca na zaparkowanie naszych samochodów. Jesteśmy dużymi chłopcami, gigantycznymi i ulepszonymi kopaczami tyłków wszech czasów. Kiedy wciągamy kokainę w Houston, ludziom zwiewa czapki w Cap d'Antibes. I mamy limit kredytowy karty American Express wyższy niż twoje żałosne liczby metryczne. Mówisz, że nasz kraj nigdy nie został najechany? Masz rację, mały kolego. Bo chciałbym zobaczyć obcokrajowców, którzy mieliby jaja, żeby spróbować. Pijemy napalm, żeby nasze serca zaczęły bić rano. Gwałt i napad to nasz sposób na powitanie. Piekło nie utrzyma naszych podskoków. Chodzimy wyprostowani, mówimy głośniej, plujemy dalej, pieprzymy się dłużej i kupujemy więcej rzeczy, niż ty możesz nazwać. Wolałbym być ćpunem w więzieniu w Nowym Jorku niż królem, królową i waletem wszystkich Europejczyków. Jemy takie małe kraje na śniadanie i sramy nimi przed lunchem".

To mógłby być cytat z J.D. Vance'a albo Elona Muska, gdyby już 13 lat temu powyższego monologu „prawdziwego Amerykanina" nie napisał satyryk P.J. O'Rourke. Sięgnięcie do źródeł poprzedzających erę Donalda Trumpa pozwala zrozumieć, że wrogość wobec Europy jest cechą formacji, z której wyrośli ludzie rządzący obecnie Ameryką, a nie tylko wynika z ich indywidualnej mentalności.

Jesteś hipokrytką, Europo

„Jeśli chodzi o najważniejsze współczesne kwestie strategiczne i międzynarodowe, Amerykanie są z Marsa, a Europejczycy z Wenus. W niewielu kwestiach się zgadzają, a jeszcze mniej się rozumieją", napisał w 2002 roku neokonserwatywny publicysta Robert Kagan, prywatnie mąż późniejszej zastępczyni sekretarza stanu Victorii Nuland. W 2014 r. Nuland zasłynęła frazą „Fuck the EU!", wygłoszoną przez telefon w Kijowie, podsłuchaną i wpuszczoną do internetu przez Rosjan. Kontekst jest ważny: Amerykanka była zirytowana wahaniem Europy wobec prodemokratycznych protestów na Ukrainie.

Teraz kontekst bon motu Kagana. Po atakach Al-Kaidy na USA prezydent George W. Bush montował koalicję do walki w Afganistanie; Europa mocno się w tej kwestii podzieliła. Znamienne, że dziś Europejczycy uważają, iż znacząco pomogli Amerykanom w ich ekspedycjach do Afganistanu i Iraku, a ci nie okazują im za to wdzięczności. Tymczasem Amerykanie uważają, że to wsparcie było zbyt małe. W ferworze dyskusji potrafią wypomnieć i dalszą przeszłość: wojnę Wietnamie, którą Europejczycy skreślili jako antykomunistyczną paranoję i amerykański imperializm. Oraz przyszłość: w razie wojny z Chinami Amerykanie na Europę nie mają co liczyć.

Kagan trafnie zauważył, że rozziew między sojusznikami po obu stronach Atlantyku ma charakter fundamentalny. Unia Europejska broni idei świata, w którym rządy prawa stoją ponad siłą, dlatego popiera inicjatywy takie jak walka z globalnym ociepleniem, Międzynarodowy Trybunał Karny i globalny system handlu. Zaś USA „postrzegają świat jako miejsce z natury anarchistyczne i pełne przemocy, w którym czasami jedynym sposobem rozwiązania problemów międzynarodowych jest pokazanie, kto tu rządzi, a w razie potrzeby nawet użycie siły militarnej".

Zarazem Kagan wytyka Europejczykom hipokryzję. „Odrzucenie polityki siły przez Europę ostatecznie zależy od gotowości Ameryki do użycia siły na całym świecie przeciwko tym, którzy wciąż jednak wierzą w politykę siły". Dlatego Waszyngton często uważa państwa europejskie za „irytujące, nieistotne, naiwne i niewdzięczne", podczas gdy Unia widzi w USA „agresywnego kolosa".

Minęły ponad dwie dekady i podział ról – wojowniczy Mars i łagodna Wenus – przyjmuje nowe oblicze. Do niedawna Mars był gotowy uderzać wrogów w odległych zakątkach świata, nie miał skrupułów przed wspieraniem niedemokratycznych reżimów, jeśli służyło to jego interesowi, ale też potrafił stawać w obronie sojuszników, demokracji i praw człowieka. Wenus – w mitologii kochanka Marsa – czuła się bezpieczna pod jego parasolem. Po rosyjskiej inwazji to USA pod kierownictwem Joego Bidena wystąpiły w obronie Ukrainy, Europa poszła w ariergardzie. Lecz dzisiejszy Mars w osobie Donalda Trumpa odłożył włócznię i chwycił za młotek. Demoluje własny kraj, grozi sojusznikom, układa się z Moskwą. Przerażona Wenus usiłuje przywdziać pancerz niczym dojrzała kobieta sukienkę z młodości, z podobnym skutkiem.

Vance'a wyznanie nienawiści

Irytacja niskimi wydatkami Europy na obronę jest w polityce USA ponadpartyjną tradycją. Prezydent John F. Kennedy poruszył ten problem już w latach 60. W 2011 r. Robert Gates, sekretarz obrony u Baracka Obamy, ostrzegał przed „mroczną, jeśli nie ponurą przyszłością", jeśli sojusznicy Waszyngtonu z NATO się nie obudzą. Przed listopadowymi wyborami prezydenckimi eksperci ds. obronności ostrzegali, że Kamala Harris, jeśli wygra, będzie równie zirytowana nierównowagą w budżetach wojskowych, jak Trump.

Jednak nowa ekipa Trumpa wykracza daleko poza ten konsensus. W nienawiści wobec Europy przoduje wiceprezydent J.D. Vance, który, biorąc pod uwagę zaawansowany wiek prezydenta, może go w każdej chwili zastąpić – a wtedy zatęsknimy za Trumpem. W niebywałym przemówieniu na lutowej na konferencji w Monachium Vance stwierdził, że bardziej niż Rosja i Chiny Europie zagraża odejście od „najbardziej podstawowych wartości" dzielonych ze Stanami Zjednoczonymi – mając na myśli jej walkę ze skrajnie prawicową mową nienawiści.

> *„Nienawidzę myśli, że ponownie ratujemy Europę", mówi wiceprezydent. „W pełni podzielam twoją niechęć do pasożytnictwa europejskiego. To ŻAŁOSNE", przytakuje sekretarz obrony. Skąd ten wielki wstręt?*

Z kolei ujawniony zapis czatu na Signalu pokazał, że zdaniem Vance'a nie warto udrożnić szlaku żeglugowego przez Morze Czerwone, bo korzysta z niego głównie Europa. „Nienawidzę myśli, że ponownie ratujemy Europę", mówi wiceprezydent. „W pełni podzielam twoją niechęć do pasożytnictwa europejskiego. To ŻAŁOSNE", przytakuje sekretarz obrony. A doradca ds. bezpieczeństwa narodowego obiecuje, że spróbują obciążyć Europejczyków kosztami.

Jeśli druga osoba w hierarchii władzy w USA nie chce przeprowadzić stosunkowo prostego ataku powietrznego na jemeńskich rebeliantów, aby poprawić globalne przepływy handlowe, trudno sobie wyobrazić, że stanie za członkami NATO, takimi jak np. Litwa, gdyby zostały zaatakowane przez Rosję. A jeśli celem Waszyngtonu jest osłabienie Europy, to wyobrażalna staje się realizacja gróźb aneksji części terytorium sojusznika.

Do Europejczyków chyba zaczęło to docierać, że niechęć wobec nich podziela znaczna część Amerykanów, zwłaszcza z interioru. – Oni wierzą, że Europa robi sobie z nich żarty od 60 lat – powiedział Nigel Farage, lider brytyjskiej Partii Reform i (coraz mniej entuzjastyczny) wielbiciel Trumpa.

UE jako eksporter skrupułów

Według Jeremiego Shapiro z Europejskiej Rady Stosunków Za-

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

granicznych, Republikanie gardzą Europą, bo uważają ją za nieistotną. Dlatego nie zaprosili jej do rozmów z Rosją o Ukrainie. Owszem, Europa może udzielić gwarancji bezpieczeństwa Ukrainie, może nałożyć lub zdjąć sankcje na Rosję, ma pieniądze na odbudowę, a Londyn i Paryż nawet mają wojska, które mogłyby pilnować zawieszenia broni. Ale – argumentuje ten były doradca Departamentu Stanu – same aktywa nie tworzą geopolitycznej siły, kiedy nie ma przekonania, że zostaną użyte.

Inni podkreślają biznesową mentalność ludzi Trumpa. Europę widzą oni jako rynek, na którym wyczerpały się możliwości zarobku. Steve Witkoff, biznesmen i wysłannik Białego Domu na Bliski Wschód (oraz do Moskwy), przedstawił właśnie taki argument, zapytany o możliwe korzyści z izraelsko-arabskiego porozumienia pokojowego. „Wybrzeże Zatoki Perskiej może być jedną z najbardziej niedocenianych okazji, jeśli osiągniemy pokój, stabilizację i współpracę w całym regionie. Jeśli rozwiążemy problem Iranu i będzie można inwestować na rynku, który może być znacznie większy niż Europa. Europa jest dziś dysfunkcyjna" – oznajmił Witkoff. Prowadzący wywiad Tucker Carlson zgodził się: „Byłoby to dobre dla świata, ponieważ Europa umiera".

Można sobie wyobrazić inne powody, dlaczego Europa tak złości Trumpa. UE hołduje idei, że rządy powinny służyć obywatelom, przywódca narodu ma działać w zgodzie z prawem, a jeśli tego nie robi, musi odpowiedzieć za swoje czyny. Trump tymczasem uważa, że stoi ponad prawem.

UE działa na zasadzie konsensusu, nawet najmniejsze narody mają coś do powiedzenia, co dla Trumpa jest absurdem. W jego uniwersum władzy nie zdobywa się poprzez kompetencje i nie sprawuje poprzez negocjacje – zdobywa się ją sprytem, a potem używa bez pardonu do pognębienia wewnętrznego wroga. Trump „nienawidzi nas za eksport skrupułów, które – jako kapitalistyczny cwaniakowaty przedsiębiorca – uważa w najlepszym razie za słabość. A w najgorszym – za głupotę" – pisał niedawno na łamach „Wyborczej" Michał Tabaczyński.

Trump czuje respekt przed siłą, bogactwem i niczym więcej. Uważa, że istnieją tylko dwie pozycje: dominująca i uległa; albo się bije, albo jest się bitym. Nie rozumie, dlaczego miałby płacić za bezpieczeństwo Europy, skoro ten, kogo my wskazujemy jako wroga, podziela jego nieliberalne wartości. Przywódcy europejscy – poza Viktorem Orbanem – nie płaszczą się przed nim, więc woli zadawać się z autokratami pokroju Władimira Putina i Kim Dżong Una, którzy szybko się nauczyli, jak podejść Trumpa.

Państwo zamiast Boga

„Nie nienawidzimy Europy. To wspaniałe miejsce do odwiedzenia i piękne, bogate w historię, krajobrazy. Ale jest też inkubatorem najgorszych idei w historii ludzkości: marksizmu, komunizmu, nazizmu, faszyzmu. Ponadto, co pokolenie toczy wojnę z samą sobą i morduje swoich mieszkańców, chyba że niańczy ją armia USA" – ten wygrzebany w czeluściach internetu wpis autorstwa jakiegoś konserwatywnego Amerykanina dobrze ilustruje emocje, jakie budzi nasz kontynent na amerykańskiej prawicy.

Vance w swoim bestsellerze „Elegia dla bidoków" wielokrotnie wraca do wątku „pasożytnictwa", znienawidzonego przez ciężko pracujących Amerykanów z Apalachów. I żali się: „Dlaczego Ameryka miałaby dbać o świat, skoro nie umie dbać o Amerykanów?".

Andrew Sabl, politolog z Uniwersytetu Yale, w 2011 r. na łamach „Washington Monthly" tłumaczył, że obsesja konserwatystów na punkcie Europy jest przede wszystkim kulturowa. W ich wyobrażeniu ten kontynent z definicji jest w nieustannym upadku, ponieważ nie jest wystarczająco chrześcijański. Porzucił Boga na rzecz wiary w państwo opiekuńcze, w globalne ocieplenie, w prawa gejów.

O tym, że konserwatywnym Amerykanom nie podoba się europejskie upodobanie do świadczeń socjalnych, pisze też Rod Liddle w brytyjskim magazynie „The Spectator". „Nienawidzą nas, ponieważ wydajemy im się, a może faktycznie tacy jesteśmy, zniewieściali, tchórzliwi, bezwładni, afektowani, rozwiąźli, zarozumiali i, ostatnio, nieistotni. Co ważniejsze, wydaje się, że reprezentujemy wszystko, co jest antytezą amerykańskiego snu, którego wielu z nich nadal się trzyma. Nie wierzymy, że znajdziemy zbawienie w ciężkiej pracy, duchu przedsiębiorczości i kapitalizmie – jako kontynent uważamy, że ten pogląd jest chimeryczny i zwodniczy, i wierzymy, że kapitalizmowi nie można ufać... Jesteśmy ponadto bezbożni".

Trump z Muskiem: postawmy na skrajną prawicę w UE

Nadzieją na uzdrowienie Europy jawią się trumpistom partie skrajnie prawicowe. Próbują je wspierać, ale jak na razie awanturnik w Białym Domu bardziej im szkodzi niż pomaga.

Obawy przed wojną handlową i prawdziwą wojną wyssały tlen z wojen kulturowych, które są jedyną wspólną pożywką dla patoprawicowej międzynarodówki, do której zalicza się także Rosja. Etykietka zwolennika Trumpa zaczęła być w Europie kompromitująca, tak jak już nie wypada popierać Putina. W ostatnich wyborach niemiecka AfD nic nie zarobiła na poparciu przez Elona Muska. Dwie najważniejsze klakierki Trumpa w UE – Georgia Meloni i Marine Le Pen – nabrały doń dystansu, pomne nastrojów elektoratu. Jak wynika ze świeżego sondażu przeprowadzonego w dziewięciu krajach UE, ponad połowa Europejczyków ma prezydenta USA za „wroga Europy", a 39 proc. uważa, że „zachowuje się jak dyktator".

Na obrazach renesansowych mistrzów Wenus pokonuje Marsa miłością. W wizji Botticellego mężczyzna zasnął wyczerpany, karłowaci satyrowie zwinęli mu broń, a kobieta patrzy spokojnie i trzeźwo. Miękka siła zwycięża twardą. Obraz pokazuje tylko pewien moment, nie wiadomo co będzie dalej – ale w optymistycznym scenariuszu po przebudzeniu bóg wojny wraca do zmysłów i kieruje ostrze w stronę wrogów, nie przyjaciół. ●

1 RP

Nowy globalny trend

Seksowny jak czytający mężczyzna

Użytkownicy aplikacji randkowych na potęgę chwalą się swoimi osiągnięciami czytelniczymi, kwitną dyskusyjne kluby książkowe, a na portalach społecznościowych coraz łatwiej o wizerunek młodego mężczyzny z książką w ręku. Dlaczego chwalenie się czytaniem pomaga we flircie?

Marita Alonso

EL PAÍS

Zdecydowany, w dobrze skrojonym garniturze i zamożny – taki model idealnego mężczyzny dominował jeszcze do niedawna na Tinderze, ale w 2025 roku najbardziej poszukiwany mężczyzna będzie trzymał książkę zamiast portfela (inwestycyjnego). Zapowiada to prasa zajmująca się trendami: „Najgorętszą rzeczą, jaką może robić mężczyzna, jest czytanie", orzekła wyrocznia w kwestii trendów, magazyn „Dazed & Confused". Tinder potwierdza, że na profilach męskich użytkowników wzmianek o czytaniu jest o 16 proc. więcej, niż rok temu.

Co więcej, rośnie zasięg innej aplikacji, Klerb, w której do dopasowania użytkowników służą gusta literackie użytkowników. „Poszukiwanie potencjalnego partnera na podstawie wspólnych lektur może okazać się strategią skuteczniejszą" – mówi seksuolożka Lucía Jiménez.

Algorytm stosowany przez Klerb lokalizuje osoby o podobnych gustach czytelniczych lub które niedawno przeczytały tę samą książkę i podsuwa im wydarzenia związane z tymi zainteresowaniami. Innymi słowy, coś w rodzaju klubu książki z opcją randki w ciemno.

Jest to rozwiązanie oryginalne, ale nie rewolucyjne. Łączenie czytania z innymi zainteresowaniami, w tym seksualnymi, nie jest niczym nowym. Jeden z promotorów klubów książki pod szyldem Bookake przyznaje, że powodem stworzenia tych literackich spotkań było „dzielenie się czymś więcej niż tylko czytaniem". „Naiwnością byłoby sądzić, że ktoś dołącza do grupy tylko ze względu na samą jej statutową aktywność, a nie dlatego, że ma nadzieję na stworzenie cennych relacji z innymi ludźmi, niekoniecznie romantycznych" – mówi.

Sapioseksualni

Zwykle zakładamy, że człowiek, która czyta, ceni uważność i potrafi wyhamować w coraz szybszym i wymuszającym hiperaktywność świecie, a do tego lubi i potrafi wykorzystywać wyobraźnię zamiast poprzestawać na biernym odbiorze. Ponadto wskaźniki czytelnictwa wskazują, że czyta znacznie więcej kobiet niż mężczyzn i być może z tego powodu czytający mężczyzna zyskuje.

W Hiszpanii czytanie jako sposób spędzania wolnego czasu dotyczy 69 proc. kobiet, mężczyzn – 59 proc. Na tle wielu innych krajów to i tak niewielka różnica.

Seksuolożka Lucia Jiménez dodaje, że chociaż czytanie jest czynnością, która wymaga zastosowania wyższych funkcji poznawczych, niekoniecznie oznacza, że czytelnik jest z definicji inteligentniejszy. „Sapioseksualizm to orientacja seksualna, w której główną cechą wywołującą pociąg do danej osoby jest jej inteligencja, nawet niezależnie od jej płci" – mówi. Czytanie wymaga faktycznie utrzymywania koncentracji przez dłuższy czas, umiejętności „odraczania nagrody", gdy fabuła nie jest od razu zbyt stymulująca – to są obecnie coraz bardziej deficytowe zalety.

Profil @hotguysreading na Instagramie ma ponad milion obserwujących, którzy wymieniają się zdjęciami czytających, zarówno celebrytów, jak i całkiem anonimowych osób w transporcie publicznym.

„Spójrzmy prawdzie w oczy: facet czytający literacką klasykę w metrze jest niewiarygodnie bardziej seksowny niż ktoś wgapiony w swój smartfon. To samo w sobie obiecuje punkt połączenia, początek ciekawej rozmowy", mówi M. Àngels Jover, menedżerka z branży kreatywnej w Barcelonie, wierna obserwatorka profilu.

Już sama nazwa klubów czytelniczych Bookake, będąca połączeniem angielskiego słowa „book" z japońskim terminem opisującym pewną perwersyjną, zbiorową praktyką seksualną, sugeruje, że chodzi o coś więcej niż tylko czytanie. Jedna z osób odpowiedzialnych za projekt wyjaśnia: „Pomysł pierwotnie zakładał stuprocentowo gejowski klub książki, ale to się szybko zdywersyfikowało, połowa uczestników to teraz kobiety. Heteroseksualni mężczyźni? Byli, ale niewielu. Chociaż nigdy nie otwarcie nie deklarowaliśmy, że jesteśmy klubem książki LGTB".

Leti Rodríguez, twórczyni podcastu Cinco Puntos, mówi jasno: „Mężczyzna, który czyta, to mężczyzna, który rozumie, że istnieje więcej światów niż jego własny. Jest zainteresowany, wie, jak słuchać, potrafi rozmawiać. A nie ma nic bardziej seksownego niż dobra rozmowa. Nie wygłaszanie pretensjonalnych monologów, ale prawdziwa wymiana pomysłów i inspiracji. Najlepszymi rozmówcami są zazwyczaj ci, którzy dużo czytają, podróżują i wychodzą do innych ludzi – czyli gromadzą wiele doświadczeń. Jak powiedział klasyk transgresyjnego kina John Waters: jeśli ktoś nie ma w domu książek, lepiej nie iść z nim do łóżka".

Ma znaczenie CO czytasz

Z opublikowanych w 2023 r. wyników pewnego akademickiego badania wynika, że 95 proc. kobiet kojarzy wizerunek czytającego mężczyzny z większą inteligencją emocjonalną. Czy jednak ma znaczenie, co dokładnie jest czytane?

„Jeśli gość pochłania wyłącznie poradniki, jak zostać milionerem w 24 godziny, to zdecydowanie się nie liczy. To dotyczy także wszystkich publikacji typu „Jedz, módl się i rozwijaj osobowość" czy „Mnich, który sprzedał swoje ferrari" – zaznacza Leti Rodríguez. Ale na tym nie poprzestaje.

„Niepokój powinni budzić także ci, którzy czytają tylko 'oficjalną listę wykształconych heteroseksualnych mężczyzn': Borgesa, Bolano, Fostera Wallace'a, Houellebecqa. To znaczy nie jest problemem, że to czytają, problem pojawia się wtedy, gdy nie wychodzą poza tak sformułowany kanon. Jeśli jego domowa biblioteka wygląda jak pakiet startowy 'jestem intelektualistą, przysięgam', ale nie dotknął ani jednej książki napisanej po 2000 roku, to mamy problem", zapewnia bez wahania.

Na pytanie, czy jest jakiś temat, który natychmiast zapala czerwoną lampkę, jeden z liderów klubów Bookake odpowiada przekornie: „Widok mojego chłopaka czytającego 'Historię Hiszpanii dla małych dziewczynek' autorstwa Maríi Bastarós jest jedną z najseksowniejszych rzeczy, jaką pamiętam" – mówi.

Rodriguez wskazuje jednak na grupę „czytelników na pokaz", zwłaszcza jeśli chodzi o literaturę feministyczną. „Plagą są faceci, którzy wrzucają na konto przypadkowe zdanie z książki, która jest ważna dla kobiet, ale szybko się okazuje, że w ogóle jej nie czytali. Wolę uczciwość niż deklaracje, że czytanie Chimamandy Ngozi Adichie czyni danego gościa istotą wyższą" – mówi.

Użytkowniczka TikToka, którą znalazłam na profilu @hotdudesreading, podczas podróży do Nowego Jorku sfotografowała mężczyznę czytającego w księgarni 'Mój rok odpoczynku i relaksu' Ottessy Moshfegh. Ostrzegam: jeśli widzisz mężczyzn czytających feministyczne książki lub książki, które rzekomo są skierowane do kobiet, uważaj, bo mogą to robić tylko po to, aby zwrócić twoją uwagę".

W amerykańskim serialu „You" główny bohater, zagorzały czytelnik, zamienia księgarnię, w której pracuje, w idealne miejsce do poszukiwania miłości (był także psychopatą, ale poprzestańmy tu na anegdocie o czytaniu). Być może w związku z tym madryckie wydawnictwo Maeva opublikowało w zeszłym roku poradnik flirtowania w księgarni. Zalecano w nim m.in. udanie się do księgarni między piątą a siódmą wieczorem („to idealny czas na poznanie innych czytelników"), wytropienie kogoś z lubianą także przez siebie książką w ręku i zagajenie typu: „Doskonały wybór".

Tak czy inaczej, wygląda na to, że 2025 roku książki są na propsie. Dobra wiadomość dla księgarzy. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

eprasa.pl 8d168fc391

ADAM MICHNIK POLECA

Polska polityka wschodnia od Tuska do Tuska

WYZNANIA RESETCZYŃCY

Nasza aktywność wobec Rosji i Niemiec na Zachodzie awansowała Polskę do rangi rozgrywającego na Wschodzie.

Jarosław Bratkiewicz*

Alem ponawyczyniał z tym resetem z Rosją! Jako „cichy, skromny urzędnik" – jak mnie otaksował Sławomir Cenckiewicz, demonolog patentowany – niechybnie musiałem spisać cyrograf z biesem (prawosławnym), by przymusić Donalda Tuska do spotkań z Władimirem Putinem, a Radosława Sikorskiego do rozmów z Siergiejem Ławrowem. Toć już wtedy Kaczyński, Macierewicz, Cenckiewicz et consortes wywąchali, że milowymi krokami zbliża się pożoga europejska, kiedy to Putin pójdzie z wojną na Ukrainę, może na Polskę i kraje bałtyckie. Albo i dalej.

Pisowscy demonolodzy polityczni kierują się aksjomatem o przedwiecznej nieprawości, którą ucieleśnia Rosja, i podpierają się sądami swych kultowych polityków, jak Piłsudski („Rosja jest zaciekle imperialistyczna") czy Reagan („imperium zła"). I plwają na to, że sam proces historyczny jako przemienność i rozwój zaprzecza wiekuistości bytów i zjawisk w dziejach.

Zgodzić się zarazem wypada, że niektóre cywilizacje i kraje opierają się zmianom dzięki swemu mechanizmowi homeostazy, który w obliczu wyzwań systemowych przywraca przez kryzysowe przesilenie stary porządek ustrojowy. Dotyczy to zwłaszcza wielosetletnich despocji Orientu, ale także Rosji – państw i społeczeństw tradycjonalistycznych. Tyle że pierwsza fala globalizacji, w formie kolonializmu, zachwiała homeostazą pozaeuropejskich skamielin cywilizacyjnych i wymusiła na nich, aby wykaraskały się z najbardziej paraliżujących pułapek tradycjonalizmu.

●

Z uznania zmienności i niepowtarzalności procesu historycznego wypływała pierwsza zasada polityki zagranicznej RP za rządów PO-PSL: Polska nie ma odwiecznych wrogów i jest otwarta na przyjazne ułożenie relacji ze swym otoczeniem międzynarodowym. Odnosiło się to także do Rosji, którą oceniała, podobnie klasyfikując też inne kraje sąsiedztwa, pod kątem miarodajności demokratycznej i wiarygodności gospodarczej.

Rzecz jasna, widzieliśmy bezsporne ułomności porządku ustrojowego Rosji i jej polityki w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku. Jednak sprawy te, w wypadku krajów spoza ekumeny zachodniej, postrzegaliśmy procesualnie i porównawczo: jakie tendencje napędzają dziś ruch dziejowy tych krajów, dokąd one zmierzają na tle poprzedniego rozwoju (lub inwolucji)?

Zasadnie można twierdzić, że pierwsza dekada putinowskich rządów przypominała „konstytucyjne samodzierżawie" w Rosji lat 1905-14. Kiedy trajektoria ewolucji rosyjskiej najwyżej wzniosła się wedle wskaźników modernizacji, praworządności i rządów przedstawicielskich, choć nie brakowało też nadużyć i przemocy.

Jeżeli przypisujemy priorytetową wagę zasadzie otwartości i aktywizmu w polskiej polityce zagranicznej, to zasadzie tej przeczy – i zdrowemu rozsądkowi bluźni – traktowanie Rosji jako „beznadziejnego przypadku", zamykanie się przed nią i zamurowywanie jej w bezterminowej kwarantannie. Zresztą znaczyłoby to, że Polska jako członek Unii Europejskiej wierzga wobec unijnej logiki czynnego przeobrażania środowiska międzynarodowego w duchu wartości i celów UE, czemu służą unijna polityka sąsiedztwa i partnerstwa strategiczne.

Jeszcze gorzej, gdyby Polska skrzykiwała przy tym nierosyjskie państwa poradzieckie pod biało-czerwone sztandary krucjaty przeciw Rosji, uzasadniając to „doktryną Giedroycia". Skądinąd tak sprymitywizowany odczyt tej doktryny przez ostatnie dziesięciolecia – wiem to z autopsji – hulał wśród polityków i ekspertów zajmujących się Wschodem.

Ja zaś, „cichy, skromny urzędnik", przygotowując w 2008 r. i później propozycje działań wobec Rosji, kierowałem się także myślą Juliusza Mieroszewskiego, który utreściowił „doktrynę Giedroycia". Ten najwybitniejszy bodaj myśliciel strategiczny w sprawach wschodnich pisał:

„Rosja, a nie Ameryka jest naszym potężnym sąsiadem, od którego postawy i polityki w znacznej mierze zależy nasze bezpieczeństwo. Nie możemy Rosji pobić i nie chcemy przed nią kapitulować. Jedynym rozwiązaniem jest tchnąć nową treść w naszą »misję wschodnią« i dążyć do takich przemian w Rosji, które umożliwiałyby nam zapoczątkowanie nowego rozdziału w dziejach polsko-rosyjskich".

Uzasadniał to historyczną porażką Polski: „W wielowiekowej walce o przywództwo na Wschodzie w sensie terytorialnym zostaliśmy pokonani. W konsekwencji, jeżeli przez »ideę jagiellońską« rozumieć ekspansję terytorialną – wypada obiektywnie stwierdzić, że idea »jagiellońska« stała się anachronizmem" („Tysiąc lat i co dalej?", „Kultura" nr 7-8/1966).

Druga zasada, którą kierowała się polityka zagraniczna RP, wynikała z członkostwa Polski w UE. Unia prowadzi wspólną politykę zagraniczną wobec bliższego i dalszego sąsiedztwa, toteż niepodobna było nie uwzględniać interesów i racji partnerów unijnych wobec Rosji. Należało działać tak, aby polskie argumenty w sprawie Rosji i całej Europy Wschodniej wnikały w świadomość zachodnioeuropejską dzięki racjonalnemu zdiagnozowaniu spraw przez Polskę i jej rzeczowym poczynaniom dyktowanym dobrą wolą.

Wymagało to aktywizacji polityki wobec Rosji, aby urzetelnić nasze stanowisko sądami o niej podbudowanymi doświadczeniem z bieżących kontaktów i współpracy z Rosjanami, a nie wyimkami z pism markiza de Custine'a.

Trzecią wreszcie zasadę wygenerowała refleksja poniekąd historiozoficzna. Czy Polacy i Rosjanie, dwa największe narody słowiańskie o tysiącletniej historii i wielosetletnim funkcjonowaniu własnych państwowości, bezustannie dźwigać muszą brzemię wzajemnej nieprzyjaźni i konfliktów? Upadek imperium sowieckiego i koniec układu dwubiegunowego i zimnej wojny tworzyły, zdawałoby się, aurę podatną na nowy początek w relacjach polsko-rosyjskich. Uznanie, że to człowiek tworzy i zmienia swoje dzieje, niweczyłoby fatalistyczne przyklęki przed tradycją nieprzezwyciężonych ponoć antagonizmów oraz ponaglało do łamania tabu „odwiecznej" wrogości.

I świętokradztwo owo się powiodło, skutkując inicjatywami na wielką skalę, jak udział Putina w obchodach 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej w Gdańsku czy złożony przezeń wspólnie z premierem Donaldem Tuskiem hołd na grobach katyńskich. Każdy, kto zna rozdrażnienie i opory rosyjskie wobec wydarzeń historycznych o wymowie po-

eprasa.pl 8d168fc391

litycznie kontrowersyjnej, zrozumie, ile rubikonów mentalno-politycznych Rosjanie musieli tu przekroczyć.

●

Jakich korzyści upatrywała Polska w resecie z Rosją? Abstrahując już od dobrosąsiedzkiej współpracy i korzyści ekonomicznych, poważnie wydźwignęłaby swoją rangę polityczną. Rosja należy do tych nielicznych potęg (może jeszcze poza Niemcami), których elity wykazują elementarne zainteresowanie naszym krajem. Świat anglo- i francuskojęzyczny odnosi się do niego raczej obojętnie.

Partnerska aktywność Polski wobec Rosji i Niemiec – a taką możliwość stworzył Trójkąt Królewiecki, wzmacniając nas w relacjach z Rosją unijnym i atlantyckim światopoglądem RFN – w krajach i instytucjach Zachodu awansowała Polskę do rangi kluczowego podmiotu rozgrywającego na Wschodzie. Który potrafi grać w porozumieniu z innymi partnerami zachodnimi, co się ceni najwyżej w strukturach integracyjnych.

Polskę i Rosję zbliżały też kwestie unowocześnienia państwa, społeczeństwa i gospodarki. Rosjanie chłonęli polskie doświadczenia, do czego walnie przyczyniło się Polsko-Rosyjskie Forum Regionów, któremu z naszej strony współprzewodniczył Bogdan Borusewicz. Ten wymiar współpracy polsko-rosyjskiej miał sprzyjać także wywikłaniu się z matni własnych tradycjonalizmów, które judziły do ustawicznych waśni.

Atoli sprawy potoczyły się opacznie. Proces zbliżenia rosyjsko-polskiego wykoleiły liczne przeciwności. Nade wszystko ze wszczęciem modernizacji Rosji Putinowi musiały się asocjować nadludzki ogrom prac i horrendalne ryzyko polityczne. Zniechęcała go antyreformatorska inercja biurokracji, na której zamierzał się oprzeć w kwestii unowocześnienia, i wyzywająca opozycyjność części elit.

Więdło też, zanim rozkwitło, partnerstwo strategiczne między UE a Rosją dezaktywowane po stronie unijnej półśrodkami w postaci praktycznych, ale politycznie miałkich projektów. – Same nudy – tak w rozmowie ze mną określił przebieg szczytu UE - Rosja w 2013 r. rosyjski wiceszef MSZ Władimir Titow.

●

Fatalnie na ewolucję stosunków polsko-rosyjskich wpłynęła katastrofa smoleńska. Zwykli Rosjanie w odruchu współczucia pospieszyli do ambasady RP w Moskwie z kwiatami i świecami, skądinąd inspirowani pozytywnym przekazem o Polsce w rosyjskich mediach oficjalnych w owym okresie.

Zrazu lirycznie do przejawów rosyjskiej empatii odniósł się Jarosław Kaczyński, publikując 9 maja 2010 r. swoje przesłanie do Rosjan, gdzie powiedział, że „odruch współczucia i sympatii milionów Rosjan został przez Polaków dostrzeżony i doceniony", i dziękował za „każdą łzę, za każdy zapalony znicz, za każde wzruszające słowo". Ale w tle już kotłował się pisowski tumult pod hasłem, że konszachtując z Tuskiem, „Ruskie zamordowały Lecha Kaczyńskiego".

Smoleńska psychoza pobudziła wiele urojeń psychopolitycznych w PiS-ie. Pisowcy usiłowali wyszpiclować w sprawach rutynowych i niewinnych zdradę rządu PO-PSL na rzecz Rosji i przeciw „patriotom". Ten dorobek ukoronował serial „Reset" autorstwa Cenckiewicza i Michała Rachonia.

Uwaga pisowskich tropicieli zdrady zogniskowała się m.in. na spotkaniu Tuska i Putina w 2009 r. w Sopocie i Gdańsku, a zwłaszcza na ich rozmowie w cztery oczy na sopockim molo. W patologicznej neuroprzestrzeni pisowskiej rozhulały się spekulacje i szeptanka, co też kuty na cztery nogi czekista Putin mógł kłaść do uszu wnukowi „dziadka z Wehrmachtu". Takim trybem rozniosły się słuchy, że Putin zachęcał Tuska do wspólnego rozbioru Ukrainy.

Dla mnie, „cichego i skromnego urzędnika", istotne było co innego: że z tej rozmowy nie powstała żadna notatka, nawet najbardziej utajniona. Oznaczało to, że polski premier uznał, iż treści z rozmowy podjętej na molo nie zasługują na to, żeby im nadawać dalszy bieg. W rozmowie tej nie mogły też paść żadne sformułowania i propozycje, które polski rozmówca uznałby za kontrowersyjne, godzące w rację stanu RP lub uwłaczające Polsce – wskazywał na to dalszy przebieg rozmów polsko-rosyjskich, które nadal odbywały się w życzliwej atmosferze.

Klimat pojednania królował na spotkaniu Tuska i Putina w Katyniu i Smoleńsku 7 kwietnia 2010 r., zwłaszcza kiedy obaj premierzy oświadczyli na konferencji prasowej, że nastąpił przełom w stosunkach Polski i Rosji. Można sobie wyobrazić, jaki płacz i zgrzytanie zębów przetoczyły się wtedy przez hufce pisowskie. Ale trzy dni później prezydencki tu-154 niczym kamikadze wysadził w powietrze zaczątki pojednania polsko-rosyjskiego. Jego zaś resztki spopieliła napalmem pieniactwa i napastliwości „religia smoleńska", jej miesięcznice i podkomisje.

●

Jednak czy erupcja „smoleńskiej" antyrosyjskości nie odzwierciedlała zdrowego instynktu pisowców, którzy już wtedy przejrzeli, że po kilku latach Putin rozpęta konflikt na Ukrainie, a potem ruszy zbrojnie na ten kraj? Tyle że te sklecone na opak z logiką przejrzenia rodziło tradycjonalne rozumienie historii, w której ponoć od zawsze rozgrywają się te same scenariusze z przypisanymi do nich rolami. Myślenie ahistoryczne bujnie rozplenia komunały o historii i polityce, udeptuje je do odtwarzalności ról dziejowych, do parafialnego ahistoryzmu.

Jeśli więc polityk w młodości opowiedział się za komunizmem, to komuchem pozostanie po wsze czasy, nawet jeśli potem krytyczna samoocena odstręczyła go od komuny. I jego dzieci obnosić będą garb pomiotu komuszego. Aż dziw tedy, że apostoła Pawła nie piętnuje się jako zaprzysięgle wrogiego chrześcijaństwu Szawła z Tarsu.

Politycy szczebla przywódczego w kraju przechodzącym transformację przymierzają różne wcielenia adekwatne do wyboru cywilizacyjnego, którego ten kraj dokonuje i który może nieoczekiwanie ulec zmianie w warunkach nierównowagi transformacyjnej. Pierwszą prezydenturę Putin zaczynał jako przywódca stosunkowo liberalny i otwarty na Zachód, ale po dwóch dekadach ucieleśnia najgorsze wzorce sowieckiej autokracji i imperializmu. Lecz kurze móżdżki wmawiają gawiedzi, że sposobił się do tego od dzieciństwa.

Tak jak obmierzły od zarania po kres ma być obraz Putina w oczach PiS-u, tak też wedle tej samej miary sowieccy propagandyści lepili posągowy wizerunek Lenina. Richard Pipes odnotował, że „oficjalna biografia Lenina (...) była wzorowana na żywocie Chrystusa. Podobnie jak w chrystologii przedstawiała ona protagonistę jako niezmiennego i niepoddającego się zmianie, a jego los jako przesądzony już w dniu narodzin. Dla oficjalnych biografów Lenina nie do pomyślenia było twierdzenie, że ideologia, którą wyznawał, zmieniła się kiedykolwiek" (przeł. Tadeusz Szafar).

Dokładnie przez tę kalkę pisowcy przerysowują drogę życiową Putina, tyle że jako perypetie antychrysta.

●

Abstrahując od pisowskiej antychrystologii, przyjrzyjmy się wolcie politycznej, którą Putin odmienił stanowisko Rosji wobec Zachodu. Na początku 2014 r. protest w Kijowie (Majdan) przeciw dystansowaniu się prezydenta Janukowycza wobec Unii i jego uzależnieniu od Rosji doprowadził do poważnego przelewu krwi. Interwencyjny przyjazd trzech szefów MSZ z państw Trójkąta Weimarskiego – Fabiusa, Sikorskiego i Steinmeiera – do Kijowa przyczynił się do zawarcia historycznego kompromisu między protestującymi a Janukowyczem, który zakładał m.in. przeprowadzenie jeszcze w tymże 2014 r. nowych wyborów.

Co znamienne, Putin wysłał do Kijowa swego przedstawiciela – ostatniego Mohikanina rosyjskiego liberalizmu, Władimira Łukina – na rokowania wokół kompromisu. Oznaczało to, że Kreml preferuje pokojowe rozwiązanie kryzysu ukraińskiego, co nie wykluczało tego, że w zanadrzu ukrywa inną, siłową opcję.

Charakterystyczne, że Łukin zarzucał osiągniętemu w końcu konsensowi, że nie dopilnowano w nim, jak uzgadniane będzie współdziałanie obu skonfliktowanych stron do czasu wyborów. Prawdą zaś jest, że trwałość takiego kompromisu mogła zapewnić tylko kultura polityczna oparta na wartościach demokracji i na imperatywie przestrzegania umów (pacta sunt servanda). Problem tkwił w tym, że obie strony kijowskiego kompromisu były w prostej linii wychowankami kultury sowieckiej: wyrachowania, wykrętów, upupiania rywali, gdy trzeba – mordowania. I nią się kierowały.

Tego samego dnia, 21 lutego 2014 r., kiedy podpisano porozumienie, Janukowycz czmychnął z Kijowa. Sam pamiętam, że kiedy wieczorem delegacja polska odjeżdżała z centrum miasta na lotnisko, urząd prezydenta Ukrainy był zaciemniony i wyglądał na wyludniony. Ta ucieczka nadszarpnęła kompromis kijowski, uruchamiając efekt domina – przejmowanie władzy centralnej przez opozycję z Majdanu.

Kompromis kijowski w dwa-trzy dni po podpisaniu stał się świstkiem papieru. Diametralnie się różnił od kompromisu okrągłostołowego w Polsce. I tym samym przekreślił wysiłek pojednawczy trójki ministrów weimarskich.

Spontaniczne zagarnianie przez majdanową opozycję władzy państwowej pod siebie, bez czekania na uzgodnione przedterminowe wybory prezydenckie, odpłaciło się skutkami katastrofalnymi. Nade wszystko histeryczną i agresywną reakcją Moskwy. Putin, wysyłając Łukina do Kijowa, uważał, że daje dowód gotowości współudziału w historycznym kompromisie. A w ostatecznym rozrachunku wrogi mu Majdan przejął pełnię władzy na Ukrainie.

Wychodziło na to, że wyrychtowany przez trójkę zachodnich ministrów kompromis wymościł drogę opozycjonistom do „zamachu stanu", jak uznał Putin, jego zaś zrobiono w trąbę. Żaden samodzierżca rosyjski nie mógłby nie zareagować siarczyście na takie pohańbienie.

I Putin odwinął się, anektując Krym oraz wszczynając antyukraińską rebelię na wschodniej, rosyjskojęzycznej Ukrainie. Tym samym ostatecznie zerwał z wcześniejszym kursem na budowanie partnerstwa strategicznego z Unią.

●

Bilans kolejnych lat po 2014 r. w relacjach Zachodu i Rosji musi alarmować. Rosja ujednoznaczniła się jako rewanżystowskie i agresywne, wrogie odtąd Zachodowi mocarstwo, które fraternizuje się z potęgami antyzachodnimi (ChRL, Iran) i państwami „chuligańskimi" (KRLD).

Na Zachodzie łudzono się, że Putin jest schorowany i niebawem umrze, że obali go spisek dworski albo zmiecie ruchawka wewnątrzrosyjska. Daremnie. Hołubiona na Zachodzie idea, żeby przyciągnąć Rosję jako sojusznika cywilizacyjnego – mimo eurazjatyckich odrębności, spaliła na panewce w następstwie kijowskiego gambitu z lutego 2014 r.

Kreml zaniechał oporu przeciw pełzającemu wnikaniu Chin – gospodarczemu, demograficznemu, politycznemu – do Rosji, i obecnie, w odpowiedzi na „upokorzenie" ukraińskie ze strony Zachodu, gorliwie krząta się niczym kulis wokół lektyki chińskiej supremacji. Tow. Stalin, który onego czasu pokazał Mao Zedongowi jego miejsce w szeregu, zapewne przewraca się w grobie.

Ale może Donald Trump poda pomocną dłoń Rosji putinowskiej i wyciągnie ją z chińskiej jamy dłużniczej? Tyle że będzie to Rosja „taka, jaka jest": szpetna i odstręczająca. I z marszu gotowa puścić się w wir przeobrażeń, które zaordynuje Trump, zwoławszy anty-Europę: Marinę Le Pen, Nigela Farage'a, Giorgię Meloni, Viktora Orbána i wpatrzonego w trumpowską Amerykę Jarosława Kaczyńskiego. A to być może gwóźdź trumienny dla cywilizacji zachodniej, jaką znamy: wolnej, demokratycznej i przedsiębiorczej. ●

◀ **Premier Donald Tusk i premier Władimir Putin (wtedy taką sprawował funkcję) spacerują po molo w Sopocie. Putin odwiedził Polskę z okazji obchodów 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej (1.09.2009).**
FOT. DAMIAN KRAMSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Jarosław Bratkiewicz**

• ur. w 1955 r., politolog, były dyplomata. Absolwent MGIMO. Działał w podziemnej „Solidarności". Od 1992 r. w MSZ, w latach 1996-2001 ambasador na Łotwie, 2010-15 – dyrektor polityczny ministerstwa.

Rozmowa Tuska i Putina w 2009 r. na sopockim molo w patologicznej neuroprzestrzeni pisowskiej rozbudziła spekulacje: co też kuty na cztery nogi czekista Putin mógł kłaść do uszu wnukowi „dziadka z Wehrmachtu"?

eprasa.pl 8d168fc391

Jeffrey C. Isaac*

List do przyjaciela z Ukrainy

WSTYDZĘ SIĘ ZA TRUMPA

Chociaż Ameryka zrobiła na świecie kilka strasznych rzeczy, w Europie zawsze broniła wolności. Skończyło się.

• **Krzywy Róg,Ukraina. W wyniku rosyjskiego ataku rakietowego na placu zabaw w środku osiedla zginęły bawiące się tutaj dzieci. (5.04. br.)**
FOT. VIOLETA SANTOS MOURA

28 lutego 2025

Drogi przyjacielu,

zaledwie kilka godzin temu obserwowałem, jak Donald Trump i J.D. Vance, prezydent i wiceprezydent mojego kraju, publicznie poniżają i próbują upokorzyć Wołodymyra Zełenskiego, prezydenta twojego kraju. Było to prawdopodobnie najbardziej haniebne wydarzenie publiczne, jakie kiedykolwiek widziałem.

Chociaż nie brałem w nim udziału, jest mi wstyd, bo ci dwaj są legalnie wybranymi przywódcami mojego kraju i twierdzą, że mówią i działają w imieniu mojego kraju. I jako obywatel muszę wziąć na siebie część politycznej odpowiedzialności za głębię upadku mojego kraju; pozwolił on tym ludziom osiągnąć pozycję, w której mogą wyrządzać twojemu prezydentowi to, co wyrządzili.

Oczywiście nie poczujesz się lepiej, gdy będziesz wiedział, że to, co Trump i Vance wyrządzają teraz Zełenskiemu - a pośrednio tobie i innym Ukraińcom - wyrządzają także całym Stanom Zjednoczonym. Atakują, świadomie i z pogardą, same fundamenty liberalnej demokracji oraz polityki społecznej, gospodarczej i zagranicznej. Nie są one doskonałe, ale od dawna tę demokrację podtrzymują.

•

My, Amerykanie, martwimy się o naszą przyszłość. Jednak nasz kraj, w przeciwieństwie do twojego, nie został najechany. (Niech będzie jasne: choć cieszę się z każdej okazji do dyskredytowania Trumpa i choć chętnie nazwałbym go najeźdźcą, jest jak najbardziej Amerykaninem i robi to, co robi, opierając się na autorytecie wynikającym z poparcia ponad 77 mln amerykańskich wyborców. Nie jest najeźdźcą, jakkolwiek drapieżny i złośliwy by był).

Twój kraj został najechany ponad trzy lata temu przez autorytarny reżim Putina i nadal jest atakowany przez Rosję. Cierpiałeś z powodu utraty bliskich na wojnie - wiem, że tak - i musiałeś znosić alarmy bombowe, ataki dronów i inne zakłócenia normalnego trybu życia - twojego, twoich dzieci i sąsiadów. A teraz „mój" prezydent próbował spacyfikować i zawstydzić wasz kraj oraz pozbawić go ostatniej deski ratunku w chwili prawdziwego zagrożenia. I zrobił to z maksymalnym okrucieństwem, które jest znakiem rozpoznawczym tego złośliwego człowieka.

•

Jak wiesz, w tym semestrze prowadzę dwa seminaria na temat Alberta Camusa. Wybrałem te kursy, ponieważ po latach skupiania się w nauczaniu i pisaniu wyłącznie na licznych atakach Trumpa na demokrację i przyzwoitość zdecydowałem, że potrzebuję wytchnienia. Musiałem uciec od teraźniejszości i skupić się na literaturze innego czasu i miejsca oraz na autorze, którego dzieła naprawdę lubię czytać. I oczywiście, tak jak podejrzewałeś, taka ucieczka okazała się niemożliwa. Każdy esej, przemówienie, sztuka teatralna, opowiadanie czy powieść Camusa, o których teraz uczę, krzyczą swoją aktualnością.

Odkryłem, że nie mogę i nie wolno mi uciszać tych krzyków, tak jak nie wolno mi uciszać samego siebie. Muszę pozwolić materiałowi krzyczeć, angażować moich studentów i prowokować ich.

W zeszłym tygodniu na zajęciach licencjackich omawiałem „Listy do niemieckiego przyjaciela" Camusa.

Camus napisał te cztery listy w latach 1943-44, gdy był aktywnym uczestnikiem francuskiego ruchu oporu, przed wyzwoleniem Paryża w sierpniu 1944 r. Zaadresowane do wyimaginowanego niemieckiego odbiorcy listy zawierały ostrą krytykę narodu niemieckiego za to, że wpadł w objęcia nazizmu, i dumne wyjaśnienie słuszności francuskiego oporu wobec okupacji i faszyzmu. W tej wyjątkowo namiętnej i mocnej prozie każdy list rozwija inny temat.

Pomyślałem o tobie, kiedy czytałem je ponownie ostatnio przed zajęciami i dyskutowałem o tobie i twoim kraju z moimi studentami.

Pozwól, że opowiem ci trochę o tych listach i przywołam je, ponieważ, jak sądzę, dodadzą ci otuchy, tak jak dodają otuchy mnie.

•

Pierwszy list Camusa koncentruje się na różnicy między patriotyzmem a ślepym nacjonalizmem i świętowaniem podboju, któremu ulegli Niemcy. „Walczymy - głosi Camus - o rozróżnienie między poświęceniem a mistycyzmem, między energią a przemocą, między siłą a okrucieństwem, o jeszcze subtelniejsze rozróżnienie między prawdą a fałszem, między człowiekiem przyszłości a tchórzliwymi bogami, których czcicie".

Wtedy, podobnie jak teraz, tyrani i ich zwolennicy mylili etniczno-narodowy trybalizm i okrucieństwo macho z „miłością do kraju", która w rzeczywistości była narcystyczną gloryfikacją przemocy.

Drugi list Camusa jest kontynuacją pierwszego; atakuje nihilistyczny kult władzy, „gdzie inteligencja wstydzi się inteligencji". Wtedy, podobnie jak teraz, tyrani i ich zwolennicy cieszyli się z głupiego demaskowania hipokryzji i z pogardą traktowali moralność jako oznakę słabości, którą należy pokonać.

Ci, którzy wspierają barbarzyńskiego agresora, sami są barbarzyńskimi agresorami

Camus nawoływał do takiego nihilizmu: „Czym jest prawda? - zwykłeś pytać. Wiemy, czym jest fałsz... Czym jest duch? Znamy jego przeciwieństwo, którym jest morderstwo. Czym jest człowiek? Tu ci przerywam, bo wiemy. Człowiek jest tą siłą, która ostatecznie unieważnia wszystkich tyranów i bogów".

Trzeci list Camusa celuje w nazistowską gloryfikację „ojczyzny" i jej „ślepy i krwawy wydźwięk". „Mówicie o Europie, ale różnica polega na tym, że dla was Europa jest własnością... Myślicie w kategoriach potencjalnych żołnierzy, spichlerzy, przemysłu pod kontrolą, inteligencji pod kontrolą".

Podczas gdy Niemcy dążą do podboju, Camus broni koncepcji Europy jako domu różnorodności kulturowej i geograficznej, wartości, „których nie można zdusić we krwi", oraz wielości narodów przeznaczonych do współistnienia. Jak przypomina swoim czytelnikom, okrucieństwo i brutalizm nie stanowią „wielkości". Stanowią barbarzyństwo.

W swoim czwartym i ostatnim liście Camus napisał: „Z pogardliwym uśmiechem zapytasz mnie: co masz na myśli, ratując człowieka? A ja z całych sił wykrzyczę ci, że chodzi mi o to, by go nie okaleczać, a jednocześnie dać szansę sprawiedliwości, jakiej sam człowiek nie jest w stanie pojąć".

Listy są pełne pasji i mocy, naznaczone rodzajem patriotycznego zapału, który nie przyszedł Camusowi w sposób naturalny i który wkrótce złagodził, stając się najpierw zwolennikiem, a następnie surowym krytykiem ekscesów powojennej sprawiedliwości. Mimo wszystko jego zapał jest całkowicie zrozumiały, bo jego kraj znajdował się pod nazistowską okupacją, a wynik wojny był niepewny, a kiedy ktoś jest dosłownie zmuszony przez okoliczności do walki, należy oczekiwać, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby wzbudzić racjonalne zaufanie do swoich towarzyszy. A walka z faszyzmem nie była akademickim seminarium.

Camus wyjaśniał w przedmowie do włoskiego wydania listów z 1948 r.:

„Zostały napisane i opublikowane potajemnie podczas okupacji. Ich celem było rzucenie światła na bitwę po omacku, którą wówczas toczyliśmy, a tym samym uczynienie naszej bitwy bardziej skuteczną. Chciałbym po prostu zapobiec pewnemu nieporozumieniu. Kiedy autor tych listów mówi »wy«, nie ma na myśli zwrotu »wy, Niemcy«, ale »wy, naziści«. Kiedy mówi »my«, nie zawsze ma na myśli »my, Francuzi«, ale czasami »my, wolni Europejczycy«. Przeciwstawiam dwie postawy, a nie dwa narody, nawet jeśli w pewnym momencie historii te dwa narody uosabiały dwie wrogie postawy".

To jest duch, w którym Camus pisał i działał, i jeden z powodów, dla których jest jednym z moich bohaterów. I to jest duch, w którym ty i twoi współobywatele działacie teraz.

Dziś to „Rosja" najeżdża i okupuje, niszczy i zabija, a „Ukraina", wasz kraj, przeciwstawia się temu w obronie swojej wolności i wolności w ogóle. I choć żaden naród nie jest czysty, wasza walka, na Majdanie w 2014 r. i na froncie dzisiaj, jest sprawiedliwa. A ci, którzy wspierają barbarzyńskiego agresora, sami są barbarzyńskimi agresorami.

•

Niestety dla ciebie, dla mnie i dla wszystkich, których wspólnie cenimy, do barbarzyńskich agresorów zalicza się teraz rząd USA. To coś nowego, zwłaszcza dla ciebie, i wstydzę się to przyznać. Chociaż Stany Zjednoczone zrobiły na świecie kilka

eprasa.pl 8d168fc391

strasznych rzeczy, w Europie od dawna broniły wolności - aż do teraz. Gdyby nie lądowanie aliantów na plażach Normandii latem 1944 r., kto wie, jak potoczyłyby się losy Camusa i jego towarzyszy czy też Europy w ogóle?

Zgoda, Związek Radziecki również odegrał swoją rolę w pokonaniu faszyzmu - podobnie jak wielu twoich przodków, którzy walczyli jako obywatele jednej z republik „Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich". A po tej wojnie zebrał swoją nagrodę - kosztem twojego kraju i krajów Europy Wschodniej. Ale kiedy walczyliście o prawa człowieka i demokrację, Stany Zjednoczone, niezależnie od swoich wad, stanowiły światło nadziei. Wiem o tym. Wiem, co to znaczyło dla moich przyjaciół z Europy Wschodniej w 1989 r. I wiem, jak bardzo brakuje dzisiaj choćby najdrobniejszych oznak, że istnieje taki wzorzec.

Trump, brat Putina i Orbána, doprowadził nas dziś na skraj przepaści. W rezultacie ty i twoi rodacy jesteście dosłownie w niebezpieczeństwie, a twoi sąsiedzi z Europy Wschodniej - miejsca, w którym mieszka wielu przyjaciół - są wstrząśnięci.

●

Pod koniec dyskusji na temat „Listów" Camusa poprosiłem studentów, by zastanowili się nad sytuacją, w jakiej znalazł się Camus, pisząc te listy pod okupacją nazistowską. Wyrazili uznanie, a nawet podziw dla Camusa.

Następnie zapytałem: - A co byście odpowiedzieli, gdybym powiedział wam, że Camus był propagandystą liberalnego imperializmu i że Francja tak naprawdę rozpoczęła II wojnę światową, przyczyniając się do upokorzenia Niemiec, a hitlerowskie Niemcy jedynie broniły się przed tą liberalną agresją?

Moi studenci byli zdezorientowani, przecierali oczy ze zdumienia - bo wiedzieli, że to nieprawda. Zwróciłem im wtedy uwagę, że nazistowscy propagandyści twierdzili coś podobnego w latach 30. i 40., a mieli swoich zwolenników w całej Europie, w tym we Francji, a nawet w USA. I nie było sposobu, aby wiedzieć, w 1939, 1942 czy nawet 1944 r., jaki będzie miał finał ten konflikt interpretacji. Nazizm został pokonany, a wraz z nim hitlerowskie kłamstwa.

A potem szybko przeszedłem do teraźniejszości i do oświadczeń Donalda Trumpa - kłamliwych oświadczeń - w tym samym tygodniu o tym, jak to twój kraj rozpoczął wojnę z Putinem w 2022 r. i że twój prezydent jest dyktatorem, a Putin rozsądnym facetem, który po prostu chce, aby jego kraj był szanowany.

Studenci zrozumieli, o co chodzi. Na tych zajęciach dowiedzieli się czegoś o historii faszyzmu w latach 30. i 40. XX wieku oraz o historii czegoś bardzo podobnego do faszyzmu obecnie. I oddali się MYŚLENIU. I rozmawiali. I chcieli mówić więcej.

Wykonałem swoją pracę jako nauczyciel.

●

Ale co z moją pracą jako obywatela i człowieka lub po prostu przyjaciela, który troszczy się o los własny i swoich rodaków? Jak dzisiaj, w sytuacji, która naprawdę jest ponura, coś zmienić, z myślą o twoim i o moim kraju?

Nie jestem Albertem Camusem. A nawet gdybym był, nie mogę pisać, z poczuciem prawdziwej pewności siebie jako rzecznik szlachetnego ruchu oporu. Piszę jako obywatel najpotężniejszego kraju na świecie, którego rząd zwalcza dziś niemal wszystko to, co ty i ja cenimy; obywatel, którego polityczni pobratymcy są zdezorientowani i pozbawieni prawdziwej władzy.

Jedyne, co mogę zrobić, to podzielić się z wami słowami z drugiego listu Camusa do jego niemieckiego „przyjaciela", ponieważ wyobrażam sobie, że mogą to być wasze słowa kierowane do jakiegoś wyimaginowanego rosyjskiego „przyjaciela". I być może przyniosą trochę pocieszenia i pewności siebie w obliczu prawdziwych przeciwności, wobec których teraz stoicie:

„Śmierć uderza wszędzie i przypadkowo. W wojnie, w której walczymy, odwaga wkracza i zgłasza się na ochotnika, a wy każdego dnia zestrzeliwujecie nasze najczystsze duchy... Nigdy nie wiedzieliście, co wybrać, ale wiecie, co zniszczyć. A my, którzy nazywamy siebie obrońcami ducha, wiemy jednak, że duch może umrzeć, gdy miażdżąca go siła jest wystarczająco duża.

Ale my wierzymy w inną siłę. W deszcz pocisków godzących w te milczące twarze. Myślicie, że zniekształcacie oblicze naszej prawdy. Ale zapominacie o uporze, który sprawia, że Francja walczy z czasem. Ta beznadziejna nadzieja jest tym, co podtrzymuje nas w trudnych chwilach; nasi towarzysze będą bardziej cierpliwi niż kaci i liczniejsi niż kule".

Mogę mieć tylko nadzieję, że beznadziejna nadzieja, o której pisał Camus w 1943 r., naprawdę podtrzyma cię w nadchodzących tygodniach i miesiącach. To nie będzie łatwy czas. ●

przeł. elma

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Jeffrey C. Isaac

• profesor nauk politycznych na Uniwersytecie Indiana w Bloomington. W lipcu 2023 r. we Wrocławiu podczas letnich wykładów instytutu Democracy & Diversity prowadził seminarium „Demokracja amerykańska na ostrzu noża". Uczestniczyli w nim studenci z Ukrainy. Tytuł tekstu - „Wyborcza".

***Artiom Kamardin** - ur. w 1990 r., poeta rosyjski, więzień polityczny. W grudniu 2023 r. sąd w Moskwie skazał go na siedem lat, a wraz z nim innego poetę Jegora Sztowbę na pięć i pół roku. Obu za publiczne czytanie wierszy. Publikowany przez nas antywojenny wiersz „Zabij mnie, ochotniku!" Kamardin recytował publicznie w czerwcu 2015 r.

FOT. ALEXANDER NEMENOV/AFP/EAST NEWS

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Artiom Kamardin*

Zabij mnie, ochotniku!

Zabij mnie, ochotniku!
Spluwę za środki z budżetu kupią ci gliniarze.
Zabij mnie, ochotniku!
Bądź dłonią, która mnie ukarze.
Ja – to nie człowiek! W moich żyłach płynie gnojówka!
Zabij mnie, ochotniku!
Zostań narzędziem Boga!
Przecież nie jestem patriotą...
A może tylko moja gęba się nie podoba?
Zresztą na co ci powód? A ch... z powodami!
Zabij mnie, ochotniku!
Zabij bez gadania!
Zabij mnie, ochotniku!
Już wiesz, jaki krew ma smak!
I już widziałeś, jak
Bratni naród do bratnich mogił się strąca.
Włącz telewizję, od razu dostaniesz pierdolca.
Panowanie nad sobą
To nie twoja specjalność.
Za to w innych jesteś mocniejszy.
Zabij mnie, ochotniku!
Wystrzelaj wszystkich odmieńców.
Pomścij dziecko, które tamci ukrzyżowali.
Masz Ojczyznę przede mną ocalić.
Więc zabij mnie, ochotniku!
Zasłużysz się przed swoim prezydentem.
Rozerwij mnie na strzępy!
Wdeptaj w błoto!
Rosyjskiej wiosny czas wreszcie nastał!
Zabij mnie! No jazda!
Wiem, zrobisz to z wielką ochotą...

Przecież kiedy ty za Donbas gotów byłeś zginąć,
Ja bzykałem twoje córeczki,
A moją gandzię jarał twój trzyletni synek.

2015

OSTATNIE SŁOWO KAMARDINA PRZED SĄDEM

Nie wolno oskarżać za sztukę. Wypowiedź artystyczną można interpretować rozmaicie, nawet jeśli została sformułowana w sposób absolutnie prosty i zrozumiały. Zawsze mogą znaleźć się tacy, którzy odbiorą ją opacznie. I jeśli ktoś ma skłonność do obrażania się, to się obrazi nawet bez powodu.

Nie zamierzałem nikogo obrazić swoim wierszem. Może ktoś chciał obrazić się po to, by człowiek, mający odmienne poglądy niż on sam, został niesprawiedliwie ukarany.

Ale tak samo jak za sztukę, nikogo nie powinno się oskarżać za poglądy, nawet jeśli zostały wyrażone publicznie. Niestety, w dzisiejszej Rosji to się właśnie praktykuje, dlatego też, mimo całego dla Państwa szacunku, mimo że jestem absolutnie niewinny, obawiam się, że wyrok będzie skazujący.

27 grudnia 2023 roku **przeł. Jerzy Czech**

REKLAMA

Kraj/34371702

W sprzedaży!

Jak ulżyć głowie: **Zrozumieć siebie i innych**

- **Poradnik. Psychoterapia dobra i zła**
- **Bezdzietni z wyboru**
- **Ciekawe rozmowy z ekspertami, porywające reportaże, inspirujące felietony i poradniki**

SPONSOR SANPROBI

żyć lepiej psychologia codziennie

Sprawdź na wysokieobcasy.pl/zyclepiej

2 RP

eprasa.pl 8d168fc391

OBYCZAJE KULTURA NAUKA

KOLOR SKARPETKI MA ZNACZENIE

„Spróbowały w męskim gronie i odpadły na pierwszym zakręcie. Kolarze nie biorą jeńców". **Więc założyła szkołę rowerową dla kobiet**

Danuta Pawłowska

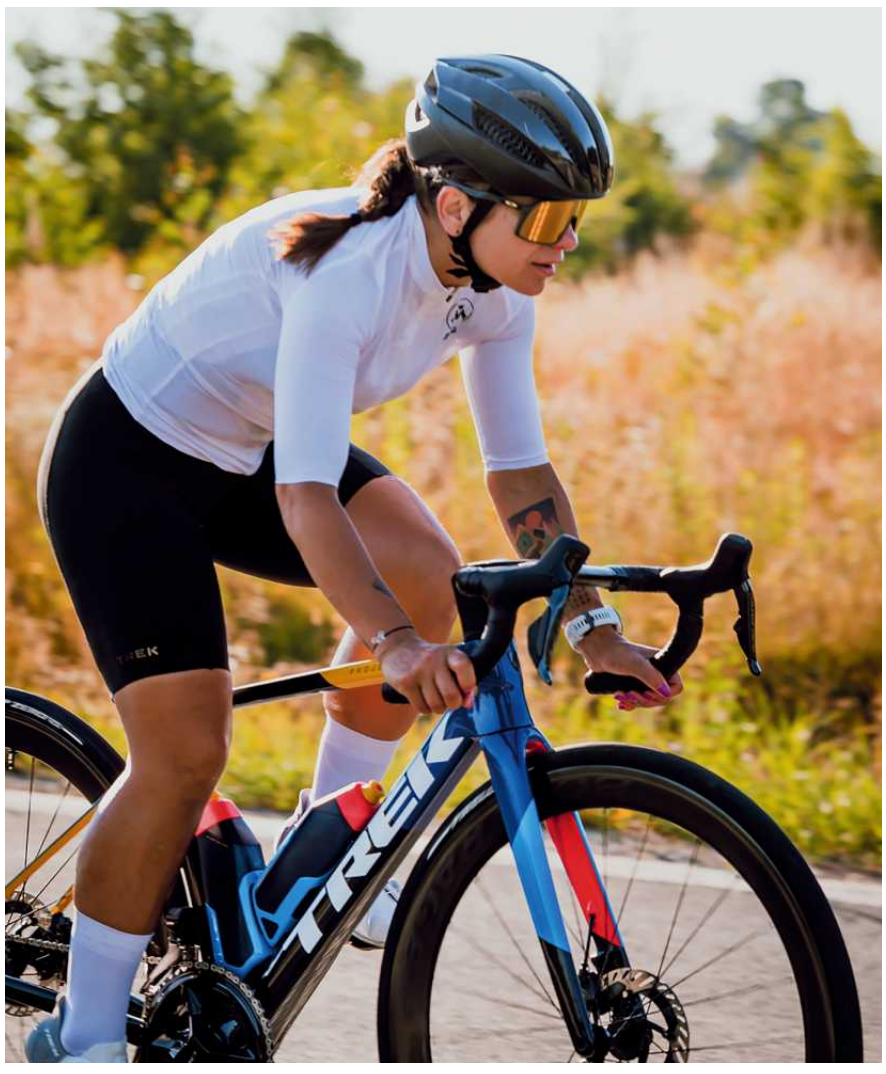

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (6)

◀ **MARZENA GĄSIOR w Peru, okolice jeziora Titicaca. Swoją wyprawę przez Amerykę Południową zaplanowała na dwa miesiące. – Startowałam z Ekwadoru, wracam z Santiago de Chile, wyjdzie 6 tys. km, ale czasem podjeżdżam autobusami, bo bez probelum zabierają rower - mówi**

▲ **EWKA KOŁODZIEJ, czyli MINISTRA KOLARSTWA to na warsztatach i zajęciach uczy np. jak wymienić przebitą dętkę czy jak poradzić sobie z inną rowerową awarią w środku lasu. Organizuje też babskie środy w Warszawie z jazdy na szosie i wyrypy terenowe w Puszczy Kampinoskiej**

▶ **DOROTA JURANEK bardziej znana jako MAMBA ON BIKE organizuje szkolenia i warsztaty, a przede wszystkim obozy rowerowe. W Polsce i w całej Europie Kto na nie przyjeżdża? - Wiek nie ma znaczenia. W tym roku na Gran Canarii większość ekipy była 50+ - dodaje**

eprasa.pl 8d168fc391

◀ **Fundacja rowerowa BABSKA KORBA organizuje w tym roku m.in. cotygodniowe wspólne jazdy w 10 polskich miastach.**

▲ **EWA ŚWIDERSKA właściwie od lat żyje na rowerze. Wozi ciuchy na lato i zimę oraz komputer do pracy zdalnej. Tak zwiedziła m.in. Japonię, Chiny, Filipiny, Iran, Gruzję i Koreę Płd. Na zdj. w czasie wyprawy do Omanu.**

Zaczynasz od szkolenia ze zmiany dętki. Nieśmiało dołączasz do ustawek w lesie i na szosie. Po babskim campie w górach kupujesz sakwy. I ani się obejrzysz, jak zasuwasz sama przez Andy. Albo wzdłuż jedwabnego szlaku. Albo wśród niedźwiedzi.

– Najbliżej niedźwiedzia miałam na odległość ramienia. Siedział w krzakach na poboczu. Obydwoje byliśmy zdziwieni swoją obecnością na mało uczęszczanej drodze w Kolumbii Brytyjskiej. Miałam szczęście, bo zaskoczony niedźwiedź bywa agresywny – mówi Alicja Wójcicka, która przez rok rowerowała po Kanadzie, Nowej Zelandii i Australii.

Zanim się odważysz wyjechać za osiedle i spać na dziko, musisz opanować przedszkole.

– Zawsze tak jest, że jak łapiesz gumę, to jesteś w środku lasu bez zasięgu albo masz 1 proc. baterii. Nie wezwiesz pomocy, nie obejrzysz instrukcji – mówi Ewka Kołodziej, znana bardziej jako Ministra Kolarstwa, która robi warsztaty od podstaw i uczy, jak poradzić sobie z przebitą dętką. Ewka zaprasza też na babskie środy w Warszawie z jazdy na szosie i wyrypy terenowe w Puszczy Kampinoskiej.

Co jest ważne na szosie? Umiejętność wchodzenia w zakręty, czyli bezpieczne kładzenie roweru. A na rowerze górskim czy gravelu – czymś na kształt „kolarki", ale na grubszych oponach z bieżnikiem, co pozwala zapuścić się na gruntowe drogi i w las – trzeba umieć podbić przednie koło, przejechać przez korzenie i zjechać po agresywnym zboczu.

Teraz ustawki. Żeby sobie poradzić w peletonie, musisz znać gesty, nie ma czasu rozmawiać. Peleton żyje swoim życiem i współistnieje z innymi użytkownikami drogi. – Nie możemy zbytnio się rozciągać, bo kierowca samochodu będzie zdezorientowany przy wyprzedzaniu – tłumaczy Ministra. – Trzeba się przełamać i jechać na kole. Oraz wychodzić na zmiany, aby te dwie z przodu nie musiały całą drogę orać.

Co jeszcze? – Białe skarpetki i białe buty. No, chyba że masz czarne buty, to wtedy czarne skarpetki. Stylówa jest ważna! – śmieje się Ewka. Dodaje jeszcze, że dobrze przejść w końcu na system pedałów zatrzaskowych, o ile nie ma przeciwwskazań wynikających z kłopotów z kolanami. To nie tylko część kultury rowerowej, ale narzędzie efektywnej jazdy.

Na ustawki jeździ się nie tylko w Warszawie. Babska Korba w tym roku organizuje cotygodniowe jazdy w 10 miastach w Polsce. – Chcemy, aby dziewczyny nabierały doświadczenia, odwagi i startowały potem w zawodach – mówi Zgonia, prezeska Fundacji. Uspokaja, że na ustawkach dziewczyny się nie ścigają, a przyjechać można na każdym sprawnym rowerze.

Co planuje Babska Korba? – Mam rozpisaną na kilka lat akcję, aby kierowcy i rowerzyści się szanowali, abyśmy wspólnie mogli bezpiecznie korzystać z dróg – mówi Zgonia. Szuka sponsora, aby kampania powstała z rozmachem i przyniosła prawdziwą zmianę.

Kolejny stopień wtajemniczenia to obóz rowerowy. Dorota Juranek, bardziej znana jako Mamba On Bike, organizuje obozy, szkolenia i warsztaty. Kiedy rozmawiamy, jest na Sycylii i czeka na swoje uczestniczki.

– Dziś opracowałam trasę dookoła Etny, przejechałam 120 km plus 2 tys. m przewyższenia – wylicza. I ostrzega, że co prawda jedzie na szosie, ale ma opony 32 mm szersze niż typowe, więc innym radziłaby zabrać gravele, bo tu sporo dziur, a mało asfaltu.

Kto przyjeżdża na takie obozy? Wiek nie ma znaczenia. – W tym roku na Gran Canarii większość ekipy była 50+.

Na obozach jest wyjątkowy klimat, wszyscy czują się swobodnie, a jak zbiera się grupa kobiet w różnym wieku, z różnym doświadczeniem życiowym i rowerowym, to wymieniają się przeżyciami. – Wjeżdżają tematy o życiu, związkach, dzieciach.

Rzecz jasna również o sporcie – uczestniczki polecają sobie sprzęt, ciuchy, kierunki na podróże i trasy. W tym roku na prośbę chłopaków Dorota organizuje również obóz koedukacyjny. Ale skupia się na kobietach. – Chcę wprowadzić wykłady o mięśniach dna miednicy, bo to dla rowerzystek ma duże znaczenie.

Ministra Kolarstwa też jest właśnie na obozie, prowadzi grupę na Costa Blanca. Jeszcze lekko zdyszana opowiada, że miewa uczestniczki, które zaznały wyjazdów w męskim gronie i odpadły na pierwszym ostrzejszym zakręcie, kolarze nie biorą jeńców. – Ja zawsze na szczycie podjazdu czekam na ostatnią w peletonie. Zawsze uczulam, że jesteśmy grupą i mamy się wspierać. Wychodzę z założenia, że te, której jadą szybciej, mogą jeździć wolniej, ale ta na końcu nie jest w stanie pojechać szybciej.

eprasa.pl 8d168fc391

Z opowieścią o przejechanych w rok 23,5 tys. km, niedźwiedziach, wiewiórkach i ptakach weka Alicja wystąpiła na ostatnich Kolosach, czyli największych w Polsce spotkaniach podróżników.

Jej pierwszym wyborem była Kanada. Planowała, że tam spędzi cieplejsze sześć miesięcy, a drugie pół roku będzie jeździć na południu Europy. – Jednak się okazało, że wydałam mniej, niż zakładałam, a z Vancouver latają samoloty do Auckland – mówi.

Podróż Alicji zaczęła się w Toronto. Miała rozpisaną całą trasę. – Pierwszego dnia zmieniłam plany i potem działałam w systemie tygodniowym, co sześć dni odpoczynek i planowanie kolejnego odcinka – opowiada Alicja. – Zabrałam tablet, telefon i odbiornik GPS, które ładowałam dynamem, dopóki się nie popsuło. Potem w Nowej Zelandii kupiłam baterie słoneczne. Miałam też lokalizator z funkcją wzywania pomocy.

W Nowej Zelandii jeździ się trudniej, przewyższenia są spore. Dobrze, że miała już kondycję wyrobioną w Kanadzie i Górach Skalistych. Najdłuższy odcinek bez sklepów czy restauracji był dziewięciodniowy, w Kanadzie. – W dodatku musiałam tachać specjalną puszkę, w której chowałam jedzenie na noc przed niedźwiedziami.

Jak się robi roczną przerwę w życiu? – Nie zakładałam, że się zwolnię, miałam obiecany urlop, ale start-up, w którym pracowałam, został wykupiony i musiałam coś zadecydować – mówi Alicja. Jedna z większych obaw dotyczyła tego, jak się odnajdzie na rynku po powrocie. – Zajmuję się data science, niby chodliwa branża, ale taka roczna przerwa nie budzi zdziwienia zaraz po studiach, a nie tuż przed 40. Ale pracę znalazłam, a dłuższych wypadów już nie planuję. Najdalej trzy tygodnie, bo bardzo lubię to, co robię.

Ewa jest na Sardynii od czterech miesięcy. Ale żyje na rowerze od lat. – Ja nie jeżdżę na wyprawy. Mogę dojechać do jakiegoś miejsca i potem zawrócić, bo wiatr się zmienił. Czasem wyznaczam miejsce docelowe na dany dzień lub tydzień, a może i miesiąc, ale podchodzę do tego bez spiny. Po prostu wciąż jestem na rowerze. Takie życie.

Z czego się żyje, spędzając życie na rowerze? – Bywa, że zajmuję się domami innych w zamian za nocleg. Łapię różne zlecenia i wynajmuję swoją kawalerkę w Warszawie – wylicza Ewa. To oznacza, że zawsze wozi ze sobą komputer i szuka poza stabilnym internetem także biurka. Wozi ciuchy na zimę i lato. – Zostanę tu ze dwa tygodnie, potem mam w planach przemieścić się do Hiszpanii, której zwiedzenie przerwała mi pandemia – wylicza. – Chyba że zmienię zdanie.

Czy forma rośnie wraz z pokonywanymi kilometrami?

– Wcale bym nie powiedziała. Ja się szybko męczę i jak trzeba, to schodzę z roweru i pcham. Całkiem często.

•

Kiedy rozmawiałyśmy kilka dni temu, Marzena Gąsior była w Limie, to środek jej dwumiesięcznej południowoamerykańskiej wyprawy. Zanim skończyłam pisać Marzena wstawiła zdjęcia znad jeziora Titicaca.

– Startowałam z Ekwadoru, powrót mam z Santiago de Chile, wyjdzie 6 tys. km, ale czasem podjeżdżam autobusami. Kolej jest tu słabo rozwinięta, za to autobusy są komfortowe i bez problemu zabierają rower. Z Limy będę jechać ponad 1 tys. km do Cuzco, a bilet autobusowy kosztował 100 zł – mówi Marzena.

W Cuzco połączy się koleżanką z Polski i będą rowerować razem. – Od jakiegoś czasu marzyła mi się taka podróż. Czułam, że znów chcę się zanurzyć w inny region, inną kulturę, przyrodę. Jak się jedzie rowerem, to świat staje się bliższy i wyraźniejszy. A każda podróż jest jak nowe życie, wywołuje ogrom emocji i pozostawia moc wspomnień.

Marzena przyznaje, że na początku wyprawy była w stanie czuwania, przygotowana na zagrożenia, obserwowała każdego lokalsa. – Jasne, że trzeba zachować ostrożność, szczególnie w dużych miastach, ale

• **ALICJA WÓJCICKA rowerowała najpierw po Kanadzie, z przystankiem na Alaskę, ale przy okazji postanowiła także przejechać Nową Zelandię i Australie. Podróż trwała rok.**

okazało się, że napotkani ludzie są serdeczni i chętni do pomocy – opowiada. – Czasem polegam na intuicji i wycofuję się z danej sytuacji. Ale wcześniej bałam się jeździć po ciemku, a teraz do Limy dojechałam już grubo po zmroku i byłam spokojna, że sobie poradzę.

– Zazwyczaj na wyjazdach rowerowych śpię pod namiotem, tutaj jednak więcej nocy wypada pod dachem, bo regiony są gęsto zaludnione. Zaraz za wioskami zaczynają się góry i nie ma jak biwakować, wszystkie wypłaszczenia są zabudowane. Ale na szczęście ceny noclegów niskie, tak jak jedzenia.

Marzena ma kuchenkę, jest samowystarczalna, ale jeśli za 3 zł dostaje michę gęstą zupy, to nie warto kombinować. Z sakwami jeździ od 20 lat. Razem z dziećmi była na Krymie, Bornholmie, w Austrii, Niemczech, Norwegii, Gruzji oraz na Islandii, zna trasy od Litwy po Estonię. – Przełomem okazała się trzyosobowa wyprawa do Turcji. Dotarliśmy aż pod Ararat na wschodzie kraju, jadąc przez targany wojną Kurdystan – wspomina Marzena. – A solo po raz pierwszy pojechałam na trzytygodniową trasę do Turcji przez Ukrainę, Rumunię i Bułgarię.

Marzena jest na emeryturze. – Jestem biolożką, byłam nauczycielką, bywam przewodnikiem górskim, pilotem wycieczek, prowadzę prelekcje, pokazy i warsztaty podróżnicze, jeżdżę na obozy z młodzieżą – wylicza.

Wszystkie wyjazdy są budżetowe, co wcale nie oznacza poświęceń. – Lubię biwaki pod namiotem, lokalną kuchnię.

•

Kto myśli, że przez rok musi się wydarzyć wiele trudnych momentów, jest w błędzie. – Z poważnych awarii to dwa razy pękły mi szprychy, pierwsza poszła w Kanadzie, druga w Australii – mówi Alicja. W Kanadzie pomogło dwóch Brytyjczyków, też rowerzystów, Alicja miała własny klucz i zapasowe szprychy, a oni wiedzieli, jak to się robi.

– W Australii na polu biwakowym też musiałam wymienić szprychę, ale okazało się, że klucz został w Kanadzie. Dookoła samochody 4×4 zapakowane po dach, więc byłam pewna, że skrzynie z narzędziami też mają bogate. Klucz się znalazł, ale nie mogłam odkręcić śrubek, bo jedna była wyrobiona. Na szczęście pomogli mi w miasteczku, w warsztacie napraw traktorów. A w Nowej Zelandii musiałam wymienić namiot, który podziurawiły mi ciekawskie i wścibskie ptaki weka – wspomina Alicja.

W pamięć zapadła jej noc z dwoma myśliwymi w lesie w Nowej Zelandii. – Na polu biwakowym tylko my, nie wiedziałam, jakie mają intencje. A zagadując mnie, po drugim piwie zaczęli sprawdzać broń. Na szczęście przed świtem pojechali sobie na polowanie. Na dziko dobrze się śpi w Kanadzie, ale też tam jest świetna infrastruktura biwakowa.

Marzenie awaria przytrafiła się wysoko w górach w Ekwadorze, i to poważna – rozsypała się piasta. – Wymieniałam ją tuż przed wyjazdem, więc to musiała być jakaś wada fabryczna. A takich części nie zabiera się ze sobą w zapasie. Rower zostawiłam u strażników w parku narodowym, z kołem pojechałam stopem do miasteczka.

Piasta porządnej klasy to nie jest towar dostępny w każdym miasteczku w Polsce, a co dopiero w ekwadorskim interiorze. Ale udało się. – Przekonałam się, że nigdy nie ma sytuacji bez wyjścia.

Marzena nie udaje, że jest przygotowana na każdą okoliczność. Na przykład nie wozi klucza do szprych, bo bez jednej czy dwóch da się dojechać do najbliższego warsztatu. Ale też świadomie wybiera rower jak najprostszy, wtedy łatwiej znaleźć mechanika czy części. Na przykład dzisiaj standardem jest lekka rama karbonowa albo lekka i tania aluminiowa. Marzena: – A ja ramę mam stalową, bo ją można pospawać.

– Ta wyprawa jest ekstremalna, bo jestem sama, bo to kawał drogi, bo dużo podjazdów w górach, zaliczyłam już przełęcz na 5 tys. m n.p.m. Ale te trudności bardziej mnie stresowały na sucho, zanim tu przyjechałam. Na miejscu wszystko okazuje się prostsze.

– Czy umiem naprawić rower? Jestem pod tym względem antytalencie – wyznaje Ewa. – Nie znoszę mechaniki, nawet nie znam nazw poszczególnych części. Umiem załatać dziurę w dętce, umiem zmienić klocki hamulcowe i z tego jestem bardzo dumna.

Zawsze znajdzie się ktoś, kto się zna choć odrobinę i pomoże przy poważniejszych usterkach. W Uzbekistanie uderzył w nią samochód i skasował koło. Znaleźć części i naprawić sprzęt – tam to już było wyzwanie. – Przekonałam się, jak ważna jest jakość podzespołów. Mechanik wymienił obręcz, ale zachował szprychy ze starego koła, bo były tak dobre.

•

Z innymi gadżetami Ewa też nie przesadza. – Nie noszę spodni z pieluchą, mam tylko jedną parę – zimowe. Wolę luźne ubrania i z naturalnych materiałów. W krajach muzułmańskich w poszanowaniu dla lokalnych zwyczajów zakrywam się bardziej. Nie mam satelitarnego komunikatora, tylko zwykły telefon, a w nim aplikacje z mapami. Nie rejestruję trasy ani nie wysyłam nikomu pozycji – nawet nie miałabym komu. Mam licznik, ale zeruję go co rano, nie spisuję nabitych kilometrów. Ale wiem, że najdłuższa podróż to był jedwabny szlak z Chin do Europy. Wyszło około 13,5 tys. km w 13 miesięcy.

Najboleśniejsze przeżycie Ewa miała w Iranie, choć opowiadając o próbie gwałtu, od razu podkreśla, że spotkała również bardzo fajnych ludzi, a jeździła po kraju dwa miesiące. To było na wyspie Keszm. Ten sam chłopak na motorze mijał ją cztery razy, ale nie zapaliła jej się w głowie żadna żarówka ostrzegawcza, wzięła go za strażnika w rezerwacie, który chce wskazać drogę. Na chwilę zniknął z pola widzenia, więc zatrzymała się, aby przyrządzić posiłek.

– Przyjechał, chciał się dosiąść. Zaczęłam się drzeć na niego, wyganiałam go, w końcu zrobiłam mu zdjęcie. Pomyślałam, że to go odstraszy. Potem on mnie poprosił o wspólne zdjęcie, odmówiłam – opowiada Ewa. – Powalił mnie na ziemię, udało mu się zdjąć moje spodnie i bieliznę, poczułam się kompletnie bezradna i wtedy nagle odpuścił. Wsiadł na motor i odjechał.

Miała jego zdjęcie, a 10 km wcześniej mijała posterunek. Policjanci skierowali Ewę do pensjonatu, bo tam ktoś znał angielski. Okazało się, że pani domu jest aktywistką walczącą o prawa kobiet. – Złapali go. Jego matka i dwie żony błagały mnie o przebaczenie. W Iranie za gwałt grozi kara śmierci. Dostał pół roku więzienia i karę chłosty.

Abym nie została ze stereotypami w głowie, Ewa wspomina inne doświadczenie z Iranu. Starożytny, obchodzony w wiosenną równonoc Nowruz to jedne z najważniejszych tamtejszych świąt, można je porównać do naszego Bożego Narodzenia.

– Gdy wjeżdżałam do Kom, świętego miasta, zatrzymało mnie dwóch chłopaków. Mówili, że też są cyklistami, i zaprosili do hotelu, który jeden prowadzi – wspomina Ewa. – Zaraz złapałam kontakt z żoną jednego z nich, która też uczyła angielskiego. Spędziłam z nimi dwa tygodnie. Pojechaliśmy razem w góry i nad morze. Wiesz... Nawet mi tam serce zabiło mocniej.

Ewa nie udaje, że jako kobiety nie jesteśmy narażone na większe niebezpieczeństwo. Jesteśmy – i jesteśmy słabsze fizycznie. – Tamten w Iranie był niski i wątły, a ja nie miałam szans. Ale w Europie jest bezpiecznie, jechanie ścieżką rowerową to nie wyczyn. Nawet jak rozbijam namiot w miejscu postronnym, na przykład za murem cmentarza, bo tam nie wieje, to śpię spokojnie.

•

Ewa przyznaje, że bywa nieznośna i narzuca swoje zdanie. Nie byłoby łatwo z nią podróżować, więc rzadko ma towarzystwo. – W Laosie przez dwa tygodnie jeździłam z młodym cyklistą Hindusem. Było dużo śmiechu i przygód, a on zgodził się jechać moim tempem. Ale w końcu przeprosił, że musi przyspieszyć, bo miał krótszą wizę.

– Jestem introwertyczką, nie potrzebuję towarzystwa – mówi Alicja. – Nawet nie mam profili na portalach społecznościowych, bloga prowadziłam tylko dla rodziny.

Marzena lubi jeździć w towarzystwie innych, ale zauważa, że podczas samotnych wypraw ma się zupełnie inny odbiór świata. – Człowiek staje się otwarty, spostrzegawczy, skłonny, aby wejść w interakcję z innymi. No i samotna kobieta wyzwala u innych chęć pomocy. Z wieloma rodzinami z różnych stron świata, które mnie gościły, mam kontakt nawet po latach. To często ważniejsze niż zwiedzanie atrakcji turystycznych.

Jaki kraj Ewa poleca na samodzielną babską wyprawę? – Korea Południowa zaskoczyła mnie jakością ścieżek rowerowych. Byłam tam dwa i pół miesiąca i nie wyjeździłam wszystkich szlaków. W Europie uwielbiam Francję, świetna infrastruktura, tanie kempingi, poszanowanie na drodze, nie mówiąc o pejzażach, architekturze, jedzeniu.

•

Są dobrane skarpetki, wypracowane forma i umiejętność wchodzenia w zakręty. Ale strach tak od razu na głęboką irańską czy latynoamerykańską wodę? Banał, ale prawdziwy: przygoda czeka za domem.

Autorka w ubiegłym roku przejechała Mazurską Pętlę Rowerową: 300 km w pięć wakacyjnych dni, był czas na jazdę, pływanie i zwiedzanie. Pętla jest oznaczona, są wieże widokowe, drogowskazy z kilometrami do kolejnych wiat, a tam miejsca biwakowe, toalety i kontakty do podładowania telefonu. Poziom holenderski.

Najwięcej ścieżek jest na Mazowszu – 3 tys. km., tu sprawdziłam Warszawską Obwodnicę Turystyczną. Która ma niewinną nazwę zwyczajową: Krwawa Pętla. To 270 km szutrów, piachów, ścieżek leśnych i asfaltów otaczających stolicę. Wśród rowerzystów przyjmuje się, że Krwawą powinno się zamknąć w 24 godzinach.

Rada, jaką dostałam od Ministry przed jazdą: „bez majtek*, ale w kasku".

* do spodenek rowerowych z wkładką nie zakłada się bielizny. ●

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

Najlepszy polski film 25-lecia

„A może Smarzowski nas bardzo lubi...”

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z **GRAŻYNĄ TORBICKĄ** O POLSKIM KINIE OSTATNIEGO 25-LECIA ROZMAWIA **MAJA STANISZEWSKA**

Dla mnie każdy z wymienionych filmów jest komercyjny, tylko potrzebny jest jeszcze budżet na promocję. Ale takie budżety mają dziś przede wszystkim komedie romantyczne.

MAJA STANISZEWSKA: Wybieramy film ostatnich 25-lat. Jakie jest polskie kino XXI wieku?
GRAŻYNA TORBICKA: – Różnorodne.

Zaskakujące?
– Chyba nie, różnorodność jest jego siłą: od filmów jak „Katyń” czy „Wołyń”, które po raz pierwszy mierzą się z trudnymi rozdziałami naszej historii i które patrzą na nią nareszcie w sposób spokojny, starają się nie narzucać jednego punktu widzenia, po filmy, które portretują nasz polski charakter, nasze często dziwne zachowanie, obyczaje, przywary. W tym mistrzami są Marek Koterski i Wojciech Smarzowski – twórcy o całkowicie odmiennym stylu filmowym. Reprezentują dwa różne artystycznie światy, oba bardzo autorskie, oryginalne i ciekawe.

Jeśli coś zaskakuje mnie negatywnie, to fakt, że powstają bardzo dobre filmy, odważnie poruszające istotne dla naszego życia tematy, a my nie korzystamy z tego artystycznego głosu, by spojrzeć na siebie w sposób konstruktywny. Po „Sali samobójców” Janka Komasy czy „Klerze” Smarzowskiego miałam nadzieję na szeroką społeczną debatę, a ta się nie odbyła. Bardzo żałuję.

„Sala samobójców” była pierwszym filmem, może niedoskonałym, ale podejmującym temat wpływu internetu i serwisów społecznościowych na młodego człowieka. Dzisiaj wiemy, jak poważny to problem. Gdybyśmy wtedy podjęli dyskusję o świecie, w jakim znalazł się bohater filmu, może wielu tragediom można by zapobiec.

Teraz taką dyskusję zainspirował brytyjski serial „Dojrzewanie”.
– Parlament brytyjski, widząc, jak serial rezonuje w społeczeństwie, od razu podejmuje szeroką debatę publiczną.

„Sala samobójców” przeszła trochę w tonie sensacyjnym. Podobnie „Kler”, który obejrzało w kinach ponad 5 mln widzów, czyli był dla ludzi ważny. I może jest częścią zmiany stosunku do Kościoła katolickiego, której jesteśmy świadkami.
– Na Festiwalu Filmu i Sztuki „Dwa Brzegi” od prawie 20 lat pokazuję filmy niełatwe, poruszające tematy społeczne i obyczajowe, inspirujące i widzę, jak ciekawe są dyskusje w szerokim gronie. Wymiana spostrzeżeń widzów o różnych charakterach, poglądach, wykształceniu, z różnym bagażem życiowych doświadczeń. To buduje coś, co nazywamy wspólnotą.

Słuchając naszych dwubrzegowych dyskusji, często żałuję, że nie ma przy nich parlamentarzystów, bo mieliby szansę naprawdę poznać tych, których reprezentują.

Mam wrażenie, że najważniejsze dyskusje wywołują jednak książki, choćby te o stosunku Polaków do Żydów, które mieliśmy w naszym plebiscycie na Książkę 25-lecia.
– Kino jest o tyle wdzięczne, że jest sztuką najbardziej popularną, łatwo dostępną. I mamy w tym ćwierćwieczu kilka filmów o relacjach polsko-żydowskich.

Weźmy „Idę” Pawła Pawlikowskiego, którą umieściłam w mojej dziesiątce. To film, który wywołał burzę na temat polskiego antysemityzmu i atak na Pawlikowskiego, że na jednej szali stawia ka-

eprasa.pl 8d168fc391

tów i ofiary. Tymczasem to film o naszej historii i o wyborach moralnych, podobnie jak „W ciemności” Holland czy „Pokłosie” Pasikowskiego. Te filmy dają szanse na przyjrzenie się nam samym odważnie i szczerze. Tak jak przygląda się nam Smarzowski w „Weselu 2”, obnaża naszą hipokryzję, dwulicowość.

Smarzowski, nasz wielki pesymista.
– Gdyby był stuprocentowym pesymistą, przypuszczam, że nie podejmowałby tak trudnych tematów. Zrobienie filmu to bardzo duży wysiłek, trzeba wierzyć, że wywoła emocje w widzach, dokona zmiany, może oświecenia? Smarzowski chyba wierzy w widzów. A oni w niego, bo chodzą na jego filmy.

Pani wierzy w sprawczą moc kina, w to, że potrafi odmieniać serca?
– Wierzę. W dodatku to jest najbardziej bezbolesny zabieg na naszych sercach, bo to nie nas dotykają historie z ekranu.

Jak wielką moc ma kino, pokazała „Zielona granica”. Polityczna „afera” o obrazie munduru żołnierzy pogranicza rozpętała się, zanim ktokolwiek film widział. Myślę, że wielu przeciwników „Zielonej granicy” do dziś jej nie obejrzało. To ważny obraz, mówi o wciąż aktualnym problemie, a nieczęsto się zdarza, by film dotykający sprawy, którą żyjemy, powstał tak szybko.

Zazwyczaj kino publicystyczne oddziałuje krótko.
– „Zielona granica” nie jest publicystyczna. Pokazuje fakty, ale robi to przez obraz stosunków międzyludzkich, a to jest ponadczasowe. Do czego zdolny jest człowiek, gdy się boi? Strażnik graniczny, migrant, mieszkaniec pogranicza – motorem działania ich wszystkich jest strach.

Na pani liście 10 filmów tego stulecie znalazło się także „Boże Ciało”.
– Zaskoczyło mnie tym, w jak wciągającym, przypominającym niemalże sensacyjne kino stylu opowiada o zakłamaniu. O tym, jak rozumiemy wiarę. Jak dalece wyrocznią jest ksiądz.

Ten film stworzony przez młodych ludzi: reżysera Jana Komasę, autora scenariusza Mateusza Pacewicza i aktora Bartosza Bielenię, igrał z definicją słowa „moralność” i to bardzo mi się podobało.

„Dzień świra”?
– Tego chyba nie muszę uzasadniać (*śmiech*). To arcydzieło. Ponadczasowy, ponadklasowy, ponadpolityczny, ponadpokoleniowy obraz człowieka uwikłanego w codzienność. To kino gatunku, który nazywa się Marek Koterski.

Niektórzy mówią, że Polska to jest „Dzień świra”.
– I wciąż nie zmienia się, niestety, dola inteligentna polskiego. „Dzień świra” to jest film profetyczny. Marek Koterski na początku tego stulecia przewidział, że tak wyglądać będzie nasza codzienność: jak dzień świra, w którym jest wszystko wszędzie naraz. Oscarowy amerykański film o takim tytule powstał dopiero 20 lat później.

„Dom zły”?
– W tym zestawieniu mogłoby się znaleźć kilka filmów Wojciecha Smarzowskiego. Wybrałam „Dom zły”, bo to był początek. Smarzowski pokazał, co go interesuje w naszej historii i tym, jacy jesteśmy. W „Domu złym” zobaczyłam odwagę twórcy do podjęcia dialogu z widzami opowieścią tak mroczną, że już chyba mroczniejszą nie można, bardzo zabłoconą i teoretycznie bez nadziei.

Łukasz Grzegorzek, twórca kolejnego filmu z pani listy, czyli „Mojego wspaniałego życia”, też portretuje Polaków, ale zdecydowanie bardziej nas lubi niż Smarzowski.
– Ale może Smarzowski nas bardzo lubi, może z miłości jest taki krytyczny, szczery do bólu?

Film Łukasza Grzegorzka wybrałam, bo to jeden z niewielu obrazów, który łączy dobre kino obyczajowe z komedią, powagę z fantazją. Urzekła mnie bohaterka grana wspaniale przez Agatę Buzek i ten niebanalny portret wielopokoleniowej rodziny żyjącej pod jednym dachem. Emocjonalna wolność i to cudowne zakończenie.

„Dzień świra” to jest film profetyczny. Marek Koterski na początku tego stulecia przewidział, że tak wyglądać będzie nasza codzienność: jak dzień świra, w którym jest wszystko wszędzie naraz. Oscarowy amerykański film o takim tytule powstał dopiero 20 lat później.

„Ostatnia rodzina”. To zupełnie inna historia rodzinna.
– Blokowisko, małe mieszkanie i wielki Zdzisław Beksiński, artysta bujający w obłokach swojej sztuki, którego codzienne problemy ściągają na ziemię do roli męża i ojca. Wzniosłość sztuki z trywialnością życia codziennego jest tutaj kapitalnie zestawiona. No i znowu znakomite kreacje aktorskie: Andrzeja Seweryna, Aleksandry Koniecznej i Dawida Ogrodnika.

„Pora umierać” – tu również jest wspaniała kreacja aktorska.
– To przykład czegoś, co w polskim kinie pojawiło się w ostatnich latach i jest bardzo cenne – opowieści o starości zagranych przez bardzo dojrzałych aktorów, mistrzów w swoim zawodzie.

W kinach mamy teraz film „Skrzyżowanie” z 81-letnim Janem Englertem, niedawno była „Cisza nocna” z Maciejem Damięckim w ostatniej roli, a także Zdzisławem Wardejnem czy Anną Nehrebecką. Jestem przekonana, że starsi aktorzy i aktorki mają nam bardzo dużo do zaoferowania. Światowe kino też ma na to dowody: Robert de Niro, Anthony Hopkins, Robert Redford. A w filmie „Pora umierać” wspaniała, ponad 90-letnia Danuta Szaflarska w głównej roli. Brawa dla Kędzierzawskiej i Szaflarskiej za pomysł i pokazanie, ile młodzieńczego buntu, fantazji i dystansu kryje w sobie starość.

„Wszystkie nasze strachy”.
– Ten film był dla mnie ciekawy, bo zrealizowały go osoby zajmujące się sztukami wizualnymi: Łukasz Gutt i Łukasz Ronduda. W kinie światowym rodowody artystów sztuk wizualnych maję na przykład Steve McQueen czy Shirin Neshat. No i tematyka, czyli wszystkie nasze strachy: homofobia, zakłamanie, obłuda w imię tzw. wyższych wartości,

Nie ma na pani liście kina komercyjnego.
– Jak to? Dla mnie każdy z wymienionych filmów jest komercyjny, tylko potrzebny jest jeszcze budżet na promocję. Ale takie budżety mają dziś przede wszystkim komedie romantyczne.

Kino komercyjne czerpie wzory z kina amerykańskiego, wiec jest mało oryginalne. Podobały mi się: „Atak paniki”, „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie” i „Teściowie”. Ten ostatni jest najbardziej oryginalny i ze śmietanką polskich aktorów mocno podniósł poprzeczkę.

10 polskich filmów 25-lecia wybranych przez Grażynę Torbicką

- **„Boże Ciało” (2019)** reż. Jan Komasa;
- **„Dom zły” (2009),** reż. Wojciech Smarzowski;
- **„Dzień świra” (2002),** reż. Marek Koterski;
- **„Ida” (2013),** reż. Paweł Pawlikowski;
- **„Moje wspaniałe życie” (2021),** reż. Łukasz Grzegorzek;
- **„Ostatnia rodzina” (2016),** reż. Jan P. Matuszyński;
- **„Pora umierać” (2007),** reż. Dorota Kędzierzawska;
- **„Sala samobójców” (2011),** reż. Jan Komasa;
- **„Wszystkie nasze strachy” (2021),** reż. Łukasz Ronduda i Łukasz Gutt;
- **„Zielona granica” (2023),** reż. Agnieszka Holland.

A reszta kina gatunkowego? Filmy sensacyjne, horrory?
– Nigdy nie byliśmy mocni w kinie gatunkowym. Ale nie wiem, czy dzisiaj jest potrzeba czystego kina gatunkowego. Są zagraniczne wysokobudżetowe produkcje tak znakomite, że trudno się z nimi mierzyć.

Ostatnie 20 lat to w polskim kinie wielka zmiana spowodowana powstaniem Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, zmiana nie tylko ilościowa – pojawiły się pieniądze na filmy, więc zaczęło ich powstawać więcej, ale i jakościowa – kino autorskie czy artystyczne znalazło szansę na finansowanie.
– Ale też weszliśmy do Unii Europejskiej, a dzisiaj produkcja filmowa staje się wielonarodowa, zwłaszcza w Europie. I polscy twórcy biorą w tym udział, powstają wspaniałe filmy w koprodukcjach: „Zielona granica”, „ Strefa interesów”, „ Doppelganger”. Także nominowana w tym roku do Oscara „Dziewczyna z igłą” była koprodukcją.

Młodsze pokolenia twórców poruszają się swobodnie po Europie bez granic. Małgorzata Szumowska czy Agnieszka Smoczyńska kręcą filmy za granicą i dla nich to jest naturalne.

Pojawiło się całe pokolenie, a może nawet już dwa, reżyserek.
– To jest ogromna zmiana, a nasze reżyserki są bardzo ciekawe. Każda z nich jest inna. Innych tematów szuka Smoczyńska,

REKLAMA
Kraj/34369275
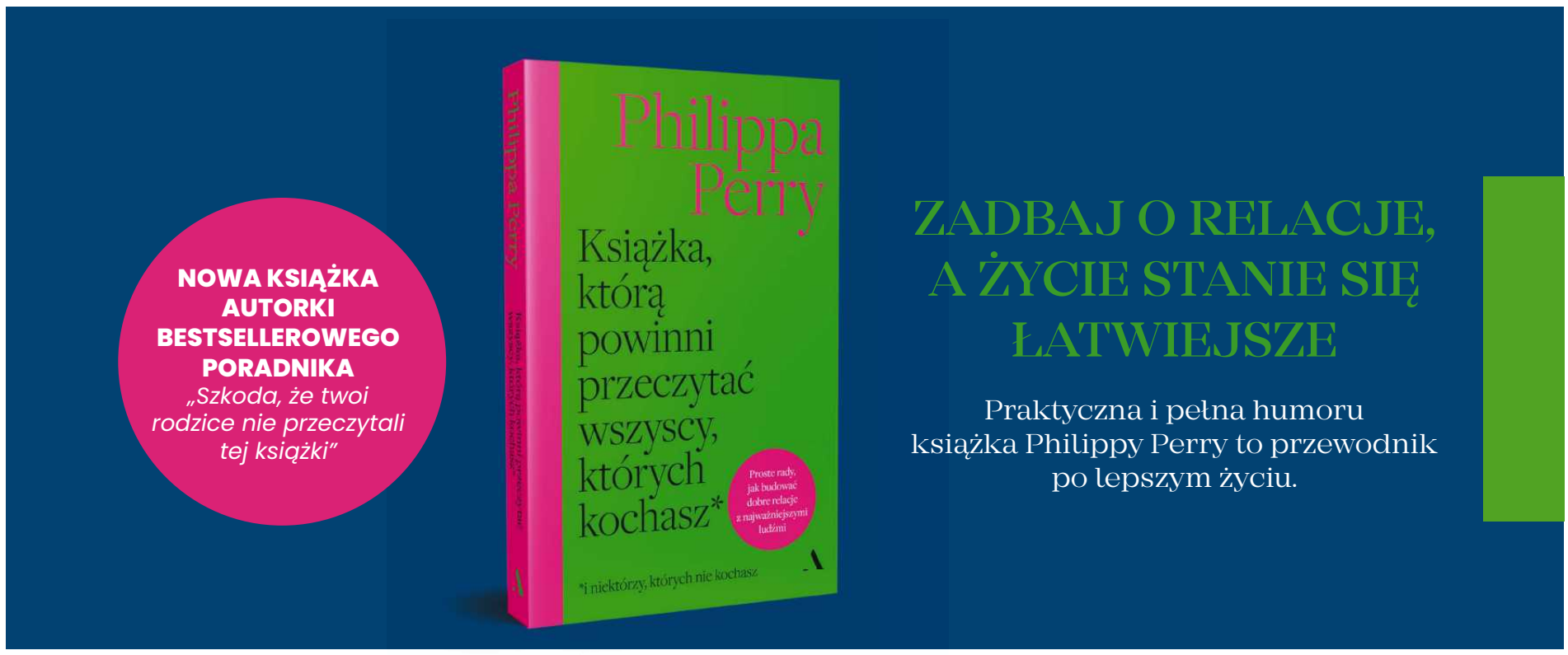

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
Wydawnictwo Agora
1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

innych Szumowska czy Olga Chajdas. Inaczej opowiada filmowe historie Jagoda Szelc. Czekam bardzo na jej kolejny film po debiutanckiej „Wieży. Jasnym dniu”. Lubię w kinie taki realizm magiczny.

Jest Kamila Tarabura, która weszła do kina ważnym filmem „Rzeczy niezbędne”, jest Maria Zbąska i jej kapitalny „To nie mój film”. Szkoda, że zadebiutowała dopiero teraz, ale lepiej późno niż wcale.

Pamiętam, jak Jan Komasa zadebiutował przed trzydziestką. To był pewien wstrząs, bo kto to widział, żeby reżyser debiutował w tak młodym wieku?
– Właśnie.

A jak wyglądał pani debiut? Mamy całe pokolenia wychowane na programie „Kocham kino”, ale w czasach, kiedy pani zaczynała, pisaniem czy mówieniem o kinie zajmowali się prawie wyłącznie mężczyźni. Bożena Janicka czy Barbara Hollender były wyjątkami.
– Gdy zaczynałam program, mierzyłam się z raczej z naciskami, by wchodzić w kino mainstreamowe, czego nie chciałam.

Z Tadeuszem Sobolewskim stworzyliśmy w „Kocham kino” pewien model wymiany wrażeń, emocji, refleksji, także informacji czysto encyklopedycznych o filmach. Tadeusz jest mistrzem w odkrywaniu drugiego dna, a czasem trzeciego i czwartego. Miałam duże szczęście, że był u mego boku. Co nie znaczy, że zawsze się zgadzaliśmy, przeciwnie. Na festiwalach w Cannes czy w Berlinie wychodziliśmy ze światowych premier filmów i okazywało się, że mieliśmy zupełnie inne wrażenia, jakbyśmy różne filmy oglądali.

Ważne jest dla pani bycie przewodniczką dla widzów? Trudno jest wybierać z dziesiątek premier kinowych i setek premier w serwisach streamingowych.
– „Wszystko wszędzie naraz”. Wracam do tego filmu, bo go uwielbiam, choć w pierwszej chwili wyszłam z pokazu. Wróciłam jednak i do dziś w wielu sytuacjach przywołuję go w pamięci.

A wracając do bycia przewodniczką – mam w piątki audycję w Radiu ZET, w której mówię o filmowych premierach weekendu, i ku mojemu zaskoczeniu i ogromnej radości mam sygnały, że ludzie z moich poleceń korzystają.

Staram się zwracać uwagę na te filmy, które mnie zaintrygowały. Widziałam w życiu bardzo dużo filmów, więc jeżeli o jakimś mówię, to znaczy, że jest w nim coś oryginalnego, wartościowego, wszystko jedno: zabawne czy dramatyczne, ale jest. Tyle.

Jest coś, czego pani brakuje w polskim kinie?
– Spojrzenia najmłodszych twórców. Ludzi, którzy nie znają jeszcze wszystkich odpowiedzi, którzy zmagają się z niewiadomą. Co ich w życiu zastanawia, intryguje, co ich bawi, w jakim świecie żyją.

Zastanawiam się, wracając na chwilę do PISF-u, czego nie zobaczymy, jakie projekty nie zyskują uznania komisji i dlaczego.

A jest coś, na co pani w polskim kinie czeka?
– Zacytuję Tadzia Sobolewskiego, który na takie pytania odpowiada: „Czekam na niespodziankę”. ●

Grażyna Torbicka

• dziennikarka filmowa, prezenterka telewizyjna i dyrektorka artystyczna letniego festiwalu filmowego Dwa Brzegi, który odbywa się w Kazimierzu Dolnym. Na antenie TVP 2 w latach 1994-2016 prowadziła autorski program „Kocham kino”, od 2019 r. na antenie Radia ZET prowadzi audycję „Kocham cię, kino”, laureatka wielu nagród, m.in. Wiktorów i Telekamery

• „Bogowie”

Wybierzmy razem polski Film 25-lecia

Które śnią się nam po nocach, a które zawsze poprawiają nam nastrój? Który najwięcej mówi o nas w XXI wieku?

Maja Staniszewska

Raz na zawsze żegnamy inżyniera Mamonia z „Rejsu”, który twierdził, że polskie filmy to: „Nuda... Nic się nie dzieje”.

Bo w ostatnich 25 latach nasze kino przeszło wielkie zmiany.

Epoka, która rozpoczęła się od honorowego Oscara dla Andrzeja Wajdy za całokształt twórczości, przyniosła pierwszego w historii Oscara dla polskiego filmu w kategorii film nieanglojęzyczny i kilka kolejnych nominacji.

Polskie filmy i ich twórcy rozgościli się na międzynarodowych festiwalach od Cannes po Toronto.

A nasze kino stało się po prostu bardziej różnorodne, ciekawsze, odważniejsze. Starych mistrzów i klasyków, jak Wajda czy Kieślowski, zaczęli zastępować nowi. Nastała epoka Smarzowskiego i Pawlikowskiego z jednej, a Patryka Vegi z drugiej strony. Pojawiło się pokolenie reżyserek realizujących autorskie filmy, ale wchodzących także do kina komercyjnego.

Który z filmów mających premierę w ostatnich 25 latach najwięcej mówi o nas? Który jest ważny? Kultowy? W którym możemy się przejrzeć? Który już służy lub będzie mógł służyć jako świadectwo swojego czasu, które warto pokazywać następnym pokoleniom, by ułatwić im zrozumienie tego, kim byliśmy w pierwszej ćwiartce XXI wieku?

Wybierzmy go wspólnie w plebiscycie na Film 25-lecia.

Obok znajduje się lista 25 tytułów. Jak powstała?

Poprosiliśmy 55 osób na co dzień zajmujących się kinem, w tym: dziennikarki i dziennikarzy (oprócz „Gazety Wyborczej” i „Wysokich Obcasów” także m.in. Gazety.pl, „Polityki”, radiowej Trójki, Filmwebu, miesięcznika „Kino”), filmoznawców i filmoznawczynie, krytyków i krytyczki filmowe, a także twórców mediów takich jak blogi, podcasty czy youtuberów, o wytypowanie 10 ich zadaniem najważniejszych, najbardziej godnych uwagi, najciekawszych filmów polskich, które miały premierę w latach 2000-2024.

Filmy, które otrzymały najwięcej głosów, utworzyły finałową listę. Teraz czas na naszych Czytelników!

Zapraszamy do głosowania na film, który Waszym zdaniem zasługuje na miano Filmu 25-lecia. Każdy może wybrać trzy z 25 tytułów.

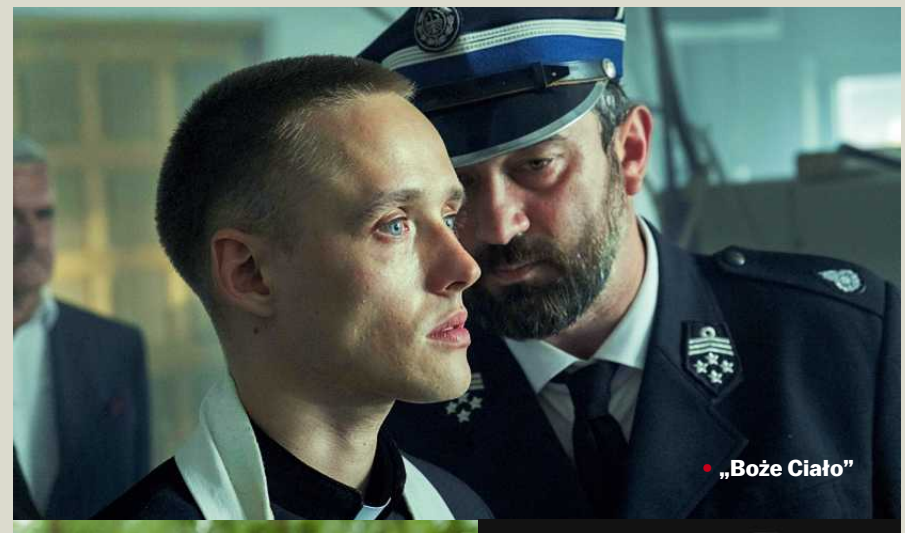
• „Boże Ciało”

• „Chłopaki nie płaczą”

• „Zimna wojna”

wyborcza.pl

• Głosowanie trwa od 7 do 28 kwietnia. Zwycięzcę ogłosimy 29 kwietnia. Czekamy na Twoje głosy na Wyborcza.pl

FILMY 25-LECIA, NA KTÓRE MOŻNA GŁOSOWAĆ W PLEBISCYCIE:

- **„Bogowie” (2014),** reż. Łukasz Palkowski;
- **„Body/Ciało” (2015),** reż. Małgorzata Szumowska;
- **„Boże Ciało” (2019),** reż. Jan Komasa;
- **„Chleb i sól” (2022),** reż. Damian Kocur;
- **„Chłopaki nie płaczą” (2000),** reż. Olaf Lubaszenko;
- **„Cicha noc”(2017)**reż. Piotr Domalewski;
- **„Córki dancingu” (2015),** reż. Agnieszka Smoczyńska;
- **„Demon” (2015),** reż. Marcin Wrona;
- **„Dom zły” (2009),** reż. Wojciech Smarzowski;
- **„Dzień świra”(2002)**reż. Marek Koterski;
- **„Ida” (2013),** reż. Paweł Pawlikowski;
- **„Jesteś Bogiem”(2012),** reż. Leszek Dawid;
- **„Kler” (2028),** reż.Wojciech Smarzowski;
- **„Kos” (2023),** reż. Paweł Maślona;
- **„Ostatnia rodzina” (2016),** reż. Jan P. Matuszyński;
- **„Plac Zbawiciela” (2006),** reż. Krzysztof Krauze i Joanna Kos-Krauze;
- **„Rewers” (2009),** reż. Borys Lankosz;
- **„Róża”(2011),** reż. Wojciech Smarzowski;
- **„W ciemności” (2011),** reż. Agnieszka Holland;
- **„Wesele” (2004),** reż. Wojciech Smarzowski;
- **„Wieża. Jasny dzień” (2017),** reż. Jagoda Szelc;
- **„Wojna polsko-ruska” (2009),** reż. Xawery Żuławski;
- **„Zabij to i wyjedź z tego miasta” (2019),** reż. Mariusz Wilczyński;
- **„Zielona granica” (2023)** reż. Agnieszka Holland;
- **„Zimna wojna” (2018),** reż. Paweł Pawlikowski.

Jak powstała nasza finałowa lista?Jakie filmy się nie zmieściły? Czytaj na Wyborcza.pl

FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI / WATCHOUT PRODUCTIONS / NEXT FILM, PAP/AFA PIXX/KRZYSZTOF WELLMAN, KINO ŚWIAT (2)

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

FOT. KRZYSZTOF RUCHNIEWICZ

100 LAT PRZED WSZYSTKIMI

– Małe miasta mają dla ciebie tylko dworzec PKS, z którego dojeżdżasz do większego miasta do pracy na etacie. Nie chciałem takiego życia.

Z RAPEREM **KUQE 2115**
ROZMAWIA **JAREK SZUBRYCHT**

Kategoria: geografia. Gdzie leży Bouar?
– W Republice Środkowoafrykańskiej. W miejscu, o którym niewielu słyszało. Mało kto tam zagląda, nie ma turystów. Po pierwsze dlatego, że nie ma czego oglądać. Zwierząt też już właściwie nie ma, poza psami, kozami, świniami i kurami. Po drugie, mieszkańcy chyba nie chcą u siebie turystów, głównie dlatego, że – po trzecie – od lat trwa tam wojna domowa. Dziwne miejsce.

Jak tam trafiłeś?
– Jakiś czas temu Agata Bajno, współpracująca z 2115, naszą wytwórnią, opowiadała, że zna Benka, misjonarza z Afryki, który ma tam szkołę muzyczną. Zaprasza nas w odwiedziny, bo uważa, że możemy razem robić fajne rzeczy. Temat leżał więc na stole, ale właściwie już trochę o nim zapomnieliśmy, dopóki nie pokazałem przyjacielowi szkicu piosenki „Taki mały ja". Usłyszałem: „Stary, to jest to. Klip do tego trzeba nagrać w Afryce".

Fantastyczny pomysł. Kocham robić rzeczy, które zostawiają po sobie ślad. Mam poczucie, że wszystko, co tworzę, jest na całe życie, więc chcę, żeby to było maksymalnie dobre i maksymalnie o czymś. Zdecydowałem się tam polecieć, a kiedy dowiedziałem się, w jakich warunkach tam nagrywają, postanowiliśmy im zbudować studio nagrań. Zebraliśmy ponad pół bani, dochód z klipu też idzie w 100 proc. do nich. Zrobiliśmy dobry uczynek, a przy okazji zobaczyłem świat, do którego większość ludzi nie ma dostępu.

Czy ludzie z kraju udręczonego wojną domową najbardziej potrzebują kościoła i szkoły muzycznej?
– Nie wiem, czego najbardziej potrzebują. Nie znam się na tym. Wiem natomiast, że Benek oprócz tego, że rozmawia z tymi ludźmi o Bogu i pokazuje im naszą religię, daje im azyl, beztroskę, zwykłe życie. Oczywiście, to nie Kraków czy Warszawa, nie mogą sobie zamówić jedzenia pod drzwi, ale Benek zapewnia tym dzieciakom tyle komfortu, ile może.

Bez względu na to, czy wierzysz w Boga czy nie – to jest po prostu dobre. Za bramą tej szkoły nie ma żadnych zmartwień. Widziałem tam ludzi szczęśliwych dzięki temu, co mają, i pomimo tego, czego nie mają. Grają na instrumentach, mają ciepły posiłek, tylko to się liczy. Misja jest wypełniana.

Powiedziałeś, że „Taki mały ja" jest utworem, który powstał już wcześniej, ale pewnie przez ten afrykański teledysk nabrał dla ciebie nowych znaczeń?
– W Afryce go skończyłem. Brakowało mu czegoś, nie wiedziałem czego. Zrozumiałem, kiedy dotarłem do Bouar. Dograliśmy afrykańskie bębny i chóry, pojawił się też ten fragment: „Nawet nie wiem, gdzie jest mój dom/ A może wszędzie tam, gdzie ty". To detale, ale kluczowe dla tego utworu. Bez nich byłby pusty.

Afryka zmieniła twoją piosenkę. Ciebie też?
– Może to zabrzmi naiwnie, nawet infantylnie, ale po tej podróży zro-

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

zumiałem, że ludzie rzeczywiście mają gorzej. Często słyszy się ten argument: „Czym się przejmujesz, inni mają gorzej”. Ale co mnie inni obchodzą?

Dopiero kiedy zobaczyłem tamten świat na własne oczy, kiedy dowiedziałem się, z jakimi problemami muszą się tam borykać, nauczyłem się naprawdę cenić wszystko, co mam. Zawsze twardo stąpałem po ziemi, wdzięczny za to, co dostałem od losu, ale po tym doświadczeniu to stało się jeszcze bardziej wyraźne. Cieszę się nawet z tego, że mogę teraz sięgnąć po butelkę wody, odkręcić zakrętkę, napić się... Nie każdy ma taką możliwość.

„Chcę zobaczyć jeszcze trochę, nim stopnieją lodowce/ Nim spłonie ostatni las” – to fragment tekstu „Taki mały ja”. Żyjesz z poczuciem, że na własne oczy zobaczysz koniec świata?
– Przedwczoraj żartowaliśmy z Miłką z wytwórni 2115, że Kuqe zajmuje się teraz zmianami klimatycznymi, bo rzeczywiście takie motywy pojawiają się na mojej płycie.

Czasami o tym myślę. Obserwuję naturę, która nas otacza, i mam poczucie, że to wszystko może zniknąć, że zwierzęta wymrą... i nikogo to nie obchodzi. Wiem, że jestem jedynie artystą i oprócz tego, co robię na co dzień, mogę przede wszystkim zabrać głos i poruszać te tematy w mojej twórczości. Naturalnie ze mnie to wychodzi, dlatego pojawia się w moich tekstach. Naprawdę, nie spędza mi to snu z powiek.

A co spędza?
– Presja. Mam 30 lat i wydaję swój pierwszy album. Mam poczucie, że muszę coś nadrobić. Może tak miało być, to nie był stracony czas, ale i tak czuję, jakbym musiał kogoś gonić.

Skoro już poruszyłeś ten temat: czemu tak późno ukazuje się twoja płyta? Koledzy nagrali już po kilka, na które zresztą się dogrywałeś, a twojej, mimo zapowiedzi, nie było i nie było.
– Czekałem na moment, w którym 2115 stanie się samodzielną, niezależną wytwórnią. Myślałem o wszystkich dookoła, tylko nie o sobie. Nie chcę jednak teraz gonić i nadrabiać, zastanawiać się nad tym, co by było, gdyby to była moja czwarta albo piąta płyta.

Jednego jestem pewny – gdybym nagrał pierwszą płytę pięć lat temu, nie byłaby tak dojrzała emocjonalnie, tak świadomie napisana. Jestem dumny z tego, co powstało, i zarazem mam niedosyt. Wiem, że moje następne projekty będą jeszcze lepsze.

„Nareszcie w domu” to podsumowanie długiej drogi do tej płyty, zbiór rzeczy, które notowałeś i nagrywałeś latami? Czy zabrałeś się do pracy, kiedy już podjąłeś decyzję, że czas wydać płytę?
– To drugie. Przez te wszystkie lata nie tylko dogrywałem się kolegom, robiłem też swoje solowe utwory, ale one trafiały do szuflady i już raczej tam zostaną. „Nareszcie w domu” to zbiór rzeczy, które chciałem robić przez te wszystkie lata i czasem nawet próbowałem, ale nie wychodziło aż tak dobrze, by puszczać to dalej w świat. Teraz mogłem w jednym miejscu zebrać te pomysły, wszystko, co działo się w mojej duszy. Ta płyta to po prostu jestem ja.

Czym właściwie jest 2115? Wytwórnią, jak wspomniałeś, od niedawna.
– To zarazem proste i trudne pytanie.

Formalnie 2115 jest kolektywem rapowym, wytwórnią płytową również. Dla mnie 2115 jest ideą, której poświęciłem całe swoje życie, czymś, co ukształtowało mnie jako człowieka. Łączą nas wspólne wartości, podejście do życia. Jesteśmy wobec siebie bardzo szczerzy, lojalni, honorowi. Powiedzieć, że 2115 jest rodziną, to nic nie powiedzieć. Gwiazdy musiały się odpowiednio ułożyć, żeby to wszystko się udało.

Według jakiego klucza się dobraliście?
– Z Borysem, czyli Bedoesem, poznałem się, grając online w „Grand Theft Auto: San Andreas”. Na jednym z mnóstwa serwerów, na tej obszernej mapie, zderzyliśmy się autami. Jaka jest na to szansa? Bardzo, bardzo mała. Ale mieliśmy ten wypadek, wysiedliśmy z samochodów i zaczęliśmy się wyzywać przez klawiaturę. Od słowa do słowa i przeszliśmy na rozmowę głosową, na Skype'a. Borys miał wtedy 14 lat, ja 16, byliśmy bardzo młodzi. Zaczęliśmy razem spędzać dużo czasu – online, bo on mieszkał w Bydgoszczy, a ja w swoim małym miasteczku. Pewnego dnia Borys, już wtedy strasznie zajarany muzyką, zapytał, czy dogram się do jego kawałka. Wysłał mi utwór, a ja się dograłem, na mikrofonie od Skype'a. Fatalnie to brzmiało, klapa totalna, ale tak się zaczęła nasza wspólna przygoda.

Skąd wzięła się reszta chłopaków? White skomentował nienawistnie jeden z pierwszych kawałków Bedoesa. Flexxy wychował się z Borysem na jednym osiedlu. Blacha z kolei napisał do Borysa, że jest Polakiem z Niemiec, który będzie w Bydgoszczy kręcił klip. Zaprosił go na plan, Bedoes wpadł tam z chłopakami i też się okazało, że jest chemia.

Nazwa 2115 oznacza, że w 2015 roku, kiedy kolektyw powstawał, uznaliście, że jesteście 100 lat przed wszystkimi. A jaki jest bilans ekipy po pierwszej dekadzie istnienia?
– Najważniejsze jest to, że przetrwaliśmy. Mamy też parę diamentowych płyt, kilkanaście platynowych, wliczając single, do tego bardzo dużo złota. Jest się czym chwalić, ale to nie jest najważniejsze.

Pochodzisz z małego miasteczka i czasem o tym wspominasz. To dla ciebie ważne?
– Mieszkam w Warszawie od kilku lat, zwiedziłem całą Polskę wzdłuż i wszerz, zrobiliśmy z 2115 naprawdę duże rzeczy, ale... ja cały czas nie dowierzam. Stary, ja jestem ze Skarszew!

Uwielbiam tam wracać. Mam nawet na nodze wytatuowane godło naszego miasta, tak jestem do niego przywiązany. Ale nie do pomyślenia jest dla mnie to, że siedzimy tu teraz i opowiadam ci o mojej wizycie w Afryce Środkowej. To jakaś magia. Wstaję rano i mówię sobie: „Ja pierdolę, ale mam fajne życie!”. Żyję w pędzie, nie daję sobie czasu na to, żeby usiąść i pomyśleć, mimo to parę razy dziennie umieram z zachwytu. Staram się to chłonąć, bo mam świadomość, że to przeminie. Wszystko przemija.

Ten twój pęd jest ucieczką ze Skarszew?
– Zdecydowanie tak. Małe miasta mają dla ciebie tylko dworzec PKS, z którego dojeżdżasz do większego miasta do pracy na etacie. Nie chciałem takiego życia.

Zdążyłeś je w ogóle poznać?
– Tak. Najdłużej pracowałem w elektromarkecie. Ewelina Lisowska nagrała wtedy dla nich reklamę, a dzisiaj śpiewa na mojej płycie.

2115 jest kolektywem rapowym, a dla mnie ideą, której poświęciłem całe swoje życie, czymś, co ukształtowało mnie jako człowieka. Łączą nas wspólne wartości, podejście do życia. Powiedzieć, że 2115 jest rodziną, to nic nie powiedzieć

Już wtedy postanowiłeś, że kiedyś zaprosisz ją do swojego kawałka?
– Nie wybiegałem myślami tak daleko, ale strasznie mi się podobała. Również jako kobieta. Doskonale pamiętam dwunastogodzinne zmiany, kiedy cały czas słyszałem tę wkurwiającą reklamę. To, że dzisiaj mam Ewelinę na płycie, też jest magią, o której wspominałem. Sprzedawałem też kredyty w parabanku, na prowizję. Rozwieszałem ogłoszenia, żeby mieć klientów. Pracowałem w fabryce mebli. Była też dorywcza budowlanka, wiadomo. Dobrze poznałem smak pracy.

Chciałbym zapytać o tytuł albumu. Nie zawsze artyści przywiązują do tytułów wielką wagę, ale sądzę, że skoro tak długo czekałeś na tę płytę, zdążyłeś to sobie dobrze przemyśleć.
– Kiedy tylko zacząłem nagrywać, pojawiła się koncepcja domu, wiedziałem, że to powinno być coś z nim związanego. „Nareszcie w domu” – kiedy wypowiadam te słowa, dobrze się czuję.

Czytelnicy tego nie wyczytają między wierszami, ale powiedziałeś to z intonacją, która zabrzmiała jak westchnienie ulgi.
– Tak właśnie to czuję.

Gdzie byłeś, kiedy cię w domu nie było?
– Uciekałem od samego siebie, od problemów. Tytuł symbolizuje też koniec trudnego czasu. Do niedawna martwiłem się jeszcze o to, czy będę miał na bilet na tramwaj. „Nareszcie w domu” jest o powrocie do życia. Jest przytuleniem samego siebie, czego nie robiłem przez lata. Zaniedbałem się, pogubiłem. W jednym z utworów o tym mówię: tak dużo ludzi wpuściłem do swojego serca, że zabrakło w nim miejsca dla mnie samego. Potrzebowałem zauważyć swoje emocje, nauczyć się je nazywać.

Sam się tego nauczyłeś?
– Ciężar tych problemów uświadomiłem sobie, dopiero kiedy pojawiły się ich fizyczne symptomy. Doznawałem ataków lękowych. Natrętnych myśli, z którymi do dziś się borykam. Skorzystałem więc z pomocy terapeutki i dzięki niej przeszedłem przyspieszoną psychoedukację, nauczyłem się, jak sobie z tym radzić. Myślę jednak, że ten proces nie został jeszcze sfinalizowany. Bałagan w głowie sprzyja pracy twórczej, więc chcąc skończyć płytę, masochistycznie przerwałem terapię.

Pewnie dlatego pojawiają się na płycie teksty, które równie dobrze mógłbyś wyrecytować w gabinecie terapeutycznym.
– Jak przyszedłem do wytwórni z utworem „Wszystkie noce są samotne”, wiedziałem, że nie jest to hit, że to ciężkie i że nie wszyscy będą chcieli tego słuchać – ale to był właśnie taki singel, jaki chciałem wtedy wydać. Nafaszerowany emocjami. To cząstka mnie, nie hit do radia.

Mimo to „Wszystkie noce są samotne” lecą w radiu, telewizji, na Spotify mają 10 milionów odsłuchań, na YouTubie kilka kolejnych milionów. Jak na tak ciężki kawałek to bardzo dużo. Trzeba robić to, co się czuje. Nie kalkulować, nie oczekiwać.

Dom to bezpieczeństwo, ale dom może też oznaczać samotność. „Wszystkie noce są samotne” wykorzystałeś do przekazania informacji o działalności fundacji pomagającej osobom wykluczonym, na końcu teledysku pojawia się plansza z telefonem zaufania dla mężczyzn.
– Potrzebowałem nagrać ten kawałek, bo bardzo źle się wtedy czułem. Przyszedł kryzys, o którym już wspominałem, do tego rozstałem się z dziewczyną po czteroletnim związku. Doświadczyłem bólu, z którym nie umiałem sobie poradzić, więc kiedy już utwór był gotowy, kiedy powstawał teledysk, doszliśmy do wniosku, że fajnie będzie wesprzeć fundację Instytut Przeciwdziałania Wykluczeniom, która zajmuje się takimi problemami. Dlaczego nie? Skoro tyle od życia dostaję, chcę też coś ludziom dać.

Zupełnie inny nastrój ma „Zostań proszę”, twój duet z Bambi. Towarzyszy mu fantastyczny teledysk...
– Dziękuję bardzo, to mój pomysł.

Opowieść o miłości mimo krat, ale – nietypowo – to ona odsiaduje wieloletni wyrok, on natomiast zajmuje się dzieckiem. Zarówno ten klip, jak i przyznawanie się do słabości we „Wszystkich nocach...” to takie mówienie o męskości, które w moim pokoleniu, a rodziłem się w połowie lat 70., ciągle z trudem przechodzi nam przez gardła.
– Cieszę się, że to dostrzegasz. To dla mnie ogromny komplement. Do niedawna żyliśmy w świecie, w którym nie do pomyślenia było, że facet może mówić, że jest smutny, źle się czuje, chce być przytulony. Dla mnie to coś całkowicie naturalnego. Nie zbierałem się na odwagę, by nagrać „Wszystkie noce są samotne”, po prostu opowiedziałem o sobie prawdę. W środowisku hiphopowym do niedawna było to o tyle trudne, że panowały w nim twarde, konserwatywne zasady. Myślę jednak, że sporo udało nam się zmienić.

Jak do tych wszystkich ważnych i mądrych treści ma się utwór „Jedyne co chcę dziś robić freestyle”, który nagrałeś z kolegami z 2115 – White'em, Flexxym i Blachą? Otwiera go taka złota myśl: „Jebanie, ruchanie, wieszanie diamentów na jebanej ścianie to jedyne, co chcę dziś robić” – a potem bywa gorzej.
– Ten album to moje dwa wilki i każdy z nich musi być nakarmiony. Jestem raczej elokwentnym, eleganckim gościem, który nie wstydzi mówić się o własnych emocjach, ale jestem też raperem. Śpiewam o ładnych rzeczach, czasami o smutnych, ale bywa, że chcę też zarapować w starym stylu, z którego się wywodzę. „Jedyne co chcę dziś robić freestyle” jest ukłonem wobec moich przyjaciół oraz odbiorców, którzy słuchają takiej muzyki od zarania dziejów. Zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo ten utwór kontrastuje z pozostałymi, i chociaż się go nie wstydzę, zastanawiałem się, czy zostawić go na albumie. Co pomyślą te wszystkie mamy, które nas słuchają ze swoimi dziećmi? Co pomyślą ludzie, którym rozesłaliśmy płytę w prezencie?

Na przykład misjonarz Benedykt z dalekiej Afryki.
– On pewnie by się z tego śmiał. Mam raczej na myśli ludzi z poważnych firm, z którymi współpracujemy. Ale to właśnie jestem ja. ●

Kuqe 2115

• Łukasz Dziemiński, raper i autor tekstów, członek popularnego kolektywu 2115. Dotąd bohater drugiego planu znany z gościnnych występów m.in. u Bedoesa, White'a i na płycie „Hotel Maffija 2”. W 2025 r. ukazała się jego debiutancka płyta „Nareszcie w domu”.

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;

MAGAZYNY-KULTURA:
Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Dominik Gajda

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl 8d168fc391

CODZIENNIE NOWY RAVE

• **Twarkowski: W ostatnim projekcie "Quanta" w dużej części odbywającym się w 1938 roku śledzimy przedwojenny niepokój, tak bliski dzisiejszemu wszechobecnemu lękow**

Góry, niebo, potężny sound system i tysiące ludzi tańczących we wschodzącym słońcu.

Z **ŁUKASZEM TWARKOWSKIM,** REŻYSEREM TEATRALNYM ROZMAWIA **MICHAŁ OLSZEWSKI**

MICHAŁ OLSZEWSKI: Dlaczego w twoich spektaklach nie ma nic o Polsce? My tutaj zajmujemy się pryncypiami, wywracamy naszą duchowość na nice, Wyspiański, Mickiewicz, rozliczenia, a ty reżyserujesz spektakl o Marku Rothko. Albo o grupie artystów, która próbuje zbudować autonomię poza światem i ucieka do lasu. O łzach androidów albo cząstkach elementarnych.

ŁUKASZ TWARKOWSKI*: Ani o Polsce, ani o Litwie, ani o Niemczech – nawet jeżeli tematy, od których zaczynamy pracę, często są bezpośrednio połączone z miejscem, w którym próbujemy.

Podobnie było, gdy pracowaliśmy nad „Akropolis" Wyspiańskiego w Starym Teatrze w Krakowie. Wydawało nam się że ten tekst, ten labirynt sensów, który jest jednym z odważniejszych remiksów w historii literatury, ma dużo więcej do zaoferowania niż polskość.

Użyłeś kanonicznego polskiego dramatu, żeby opowiedzieć o pamięci naszej cywilizacji, która nie spoczywa już w bibliotekach, tylko na twardych dyskach i w chmurach.

– Wyspiański pozostawił po sobie tekst-tajemnicę, wymykający się jednoznacznym interpretacjom. Szybko zrozumieliśmy, że jedyną możliwą odpowiedzią na ten dramat jest znalezienie budulca naszego osobistego, współczesnego Akropolis. W ten sposób konstruktami tego świata stały się piksele i krzem. Zawsze próbujemy znaleźć temat, który będzie płaszczyzną do rozpoczęcia dialogu. W ten sposób Mark Rothko, czyli Marcus Rohtkowitz, urodzony w Dyneburgu i uznawany przez Łotyszy za największego łotewskiego malarza, pozwolił nam rozpocząć dyskusję o takich tematach jak wartość – również ekonomiczna – w świecie sztuki czy pojęcie oryginału w dobie rzeczywistości cyfrowej.

Podobnie Rzeczpospolita Pawłowska, utopijna idea mikropaństwa założonego niedaleko Wilna pod koniec XVIII wieku, stała się inspiracją do zbudowania immersyjnego doświadczenia na granicy filmu i muzycznego festiwalu.

A „Employees" w Teatrze Studio? Zagubionym w kosmosie statkiem kosmicznym podróżujemy razem z humanoidami do odległej galaktyki...

– Ten przypadek jest faktycznie wyjątkiem i śmialiśmy się, że tak mógłby być kiedyś interpretowany: jako próba ucieczki jak najdalej od Polski rządzonej przez Prawo i Sprawiedliwość.

Pytam cię o ten brak, ponieważ wydawałoby się naturalne, że będziesz chciał wymierzyć sprawiedliwość za ostatnie lata. Prawda jest taka, że Prawo i Sprawiedliwość wygoniło cię z polskiego teatru.

– Gdyby PiS w porozumieniu z lokalnymi politykami z Dolnego Śląska nie rozniósł w drzazgi Teatru Polskiego we Wrocławiu, moja droga wyglądałaby pewnie inaczej. W momencie upadku tej sceny to z nią czułem się najbardziej związany. W tym samym czasie PiS przejmował Stary Teatr i faktycznie obawiałem się, że nie znajdziemy w Polsce miejsca, gdzie będziemy mogli rozwijać nasz język.

Miałem to szczęście, że kilka miesięcy wcześniej dostałem propozycję realizacji „Lokisa" w Litewskim Teatrze Narodowym. Była to druga międzynarodowa propozycja po Teatrze Aleksandryjskim w Petersburgu, którą naturalnie musieliśmy odrzucić ze względu na atak Rosji na Krym. „Lokis" był przełomową dla nas realizacją, bo mieliśmy możliwość w pełni zrealizować naszą wizję w warunkach, jakie były nam do tego potrzebne. Spektakl został szybko zauważony przez międzynarodowe festiwale, co otworzyło nam drogę do dalszych realizacji.

Została w tobie jakaś rana po Wrocławiu? Zespół zbuntował się przeciwko nowej władzy i przestał istnieć.

– Teraz wydaje mi się, jakby to zdarzyło się w innej, odległej epoce. Cieszę się, że z większością kolegów na pokładzie zachowaliśmy się w bezkompromisowy sposób, pomimo tego, że cena była wysoka. Teatr został zniszczony i nikt nie został za to pociągnięty do odpowiedzialności. A teatr jest organizmem, który bardzo trudno się buduje, można go jednak zniszczyć na lata jedną kretyńską decyzją polityczną.

Trudno jest uwierzyć, widząc dzisiaj plakaty Teatru Polskiego, że to mogła być kiedyś jedna z najważniejszych scen Polski o randze międzynarodowej.

PiS pokiereszował polskie teatry i też mocno dostałeś.

– Tragiczny los Teatru Polskiego został przypieczętowany dojściem PiS do władzy, ale do rozpadu tego teatru doszło w wyniku ponadpartyjnych decyzji. Wcześniej przez lata głównymi przeciwnikami Teatru Polskiego były na poziomie lokalnym PO i PSL. Możliwość pracy za granicą uratowała mnie wtedy, ale długo nosiłem w sobie poczucie niesprawiedliwości.

Jako środowisko artystyczne dostaliśmy srogą lekcję na przyszłość: nie ufać politykom i szukać niezależności, dzięki której nie będzie się zależnym od politycznych wpływów.

Poniosło cię na północ, na Litwę i Łotwę. Czym różni się praca w Wilnie czy Rydze od tej we Wrocławiu? Podczas kolejnych twoich spektakli miałem wrażenie, że obcuję z innym rozumieniem gry aktorskiej. Twoi bohaterowie nie krzyczą, nie zagrywają się, nie rwą szat, bardzo rzadko podnoszą głos, dużo milczą, dużo szepczą. Cisza jest jedną z najważniejszych aktorek twojego teatru.

FOT. BOSKA KOMEDIA/DAWID ŚCIGALSKI

2 RP

eprasa.pl 8d168fc391

– Cieszy mnie, że zwracasz na to uwagę. Nasze realizacje są raczej kojarzone z dźwiękami o wysokim natężeniu i to na nich zazwyczaj skupia się krytyka. Na pewno ten rodzaj skoncentrowanej obecności nie jest cechą charakterystyczną teatru litewskiego, który jest raczej mocno ekspresyjny. Niezależnie jednak od tego, czy pracujemy w Łotwie, Polsce czy Niemczech, długo z całym zespołem wypracowujemy środki, jakimi potem budujemy nasze światy.

Podczas wielogodzinnych improwizacji przyglądamy się sobie nawzajem, rozmawiamy o tym, co ciekawego zauważamy w zdarzeniach i emocjach między partnerami. Razem na nowo odkrywamy piękno silnej obecności.

Pamiętam, gdy przed premierą „Lokisa” jeden z głównych aktorów, Darius Gumauskas, żartował, że to pierwszy spektakl, w którym nic nie musi grać. Paradoksalnie „niegranie”, o którym mówił Darius, wymaga dużo więcej koncentracji i dyscypliny.

Kiedy Rainerowi Wernerowi Fassbinderowi zarzucono kiedyś, że aktorzy w jego filmach „nic nie grają”, odpowiedział, że jego aktorzy „znaczą”, a to o wiele trudniejsze niż granie.

Ten cytat zawsze był mi bliski. Jeżeli jednak pytasz o różnice pracy w Polsce i za granicą, to na pewno podstawowa różnica wynika z samego języka. Przez to, że scenariusze powstają w dużej części w trakcie prób, jest to trudny proces nanoszenia niekończących się zmian w kilku językach jednocześnie.

Pomimo tej trudności, która w głównej mierze obarcza dramaturżkę Ankę Herbut, praca tego rodzaju jest dla nas bardzo inspirująca. To spotkanie na językowej ziemi niczyjej daje czasami paradoksalnie możliwość głębszego porozumienia.

Myślałem, że to kłopot, bo łatwo się minąć.
– Nie wydaje mi się, żebyśmy mniej się mijali, mówiąc w naszych ojczystych językach. Być może nawet dzięki brakom lingwistycznym w komunikacji musimy częściej coś dookreślić, doprecyzować, znaleźć porównanie, które silniej uruchomi wyobraźnię. Używając swojego języka, często ulegamy złudnemu poczuciu idealnej komunikacji. Beckett, po wielu latach życia i pracy we Francji, powiedział kiedyś w wywiadzie, że język francuski jest dla niego językiem obcym, tak samo jak język angielski i każdy inny język.

Być może również z powodu mojej wrodzonej nieufności do języka wytworzyliśmy przez lata sposób komunikacji w naszych przedstawieniach, który znosi hegemonię tekstu i pozwala opowiadać świat wszystkimi środkami, jakie oferuje scena.

Wróćmy do litewskich aktorów. To jest świat, w którym masz więcej czasu na pracę nad spektaklem. To prawda, że przygotowując „Respublikę”, wyjechałeś z zespołem na miesiąc do lasu?
– W sumie spędziliśmy w tej stworzonej przez nas osadzie około miesiąca, powracaliśmy tam o różnych porach roku.

I co tam robiliście?
– Próbowaliśmy na sobie utopijnego scenariusza świata z dochodem gwarantowanym, świata, w którym każdy mógł poświęcić swój czas temu, co naprawdę go interesowało, i dzielić się swoimi odkryciami z resztą grupy.

Moim zadaniem od początku było zainteresowanie uczestników muzyką elektroniczną i jej historią.

To rzeczywiście luksus.
– Projekt zakładał zbudowanie materiału mockumentalnego, który będzie wykorzystany w formie re-enactmentu lub dokumentalnych zapisów filmowych w wydarzeniu, które ta grupa miała zorganizować dopiero w przyszłości.

Doświadczenie wspólnotowego życia w odłączeniu od społeczeństwa jest bazą do stworzenia immersyjnego doświadczenia, w którym widz jest jednocześnie uczestnikiem zdarzeń, statystą, członkiem grupy lub po prostu obserwatorem.

W trakcie siedmiogodzinnego wieczoru może swobodnie zmieniać perspektywę i stopień zaangażowania w akcję, korzystać z sauny czy zapomnieć się w tańcu na jednej ze scen muzycznych.

Jak mówią aktorzy: „No obligation to follow anything”. Refleksja nad poczuciem i granicami wolności była jednym z pierwszych zagadnień projektu.

Co takiego znalazłeś w Rzeczpospolitej Pawłowskiej, bez której nie byłoby „Respubliki”? Aż mam ochotę krzyknąć, że jednak Polska cię dogoniła.
– O Rzeczpospolitej Pawłowskiej usłyszałem po raz pierwszy w Wilnie od dyrektora Teatru Narodowego Martinasa Budraitisa. To mikropaństwo założone przez polskiego księdza Pawła Brzostowskiego w XVIII wieku było nazywane chłopskim rajem.

Brzostowski kupił ziemię wraz z 8 tysiącami chłopów, nadał im wolność, zamieniając pańszczyznę na podatek. Rzeczpospolita Pawłowska miała własną konstytucję, wcześniejszą niż konstytucja polska; miała własną armię, walutę, podstawowy system opieki zdrowotnej, teatr i szkolnictwo. W zasadzie: w oceanie zniewolenia i pańszczyzny powstała wysepka wolności.

Miałem szczęście: kiedy PiS wyrzucał mnie z teatru, otrzymałem propozycję pracy za granicą

Zniszczona potem przez cara. Nie mógł podobno darować chłopom, że wzięli udział w powstaniu kościuszkowskim.
– Interesował nas z dramaturżką Joanną Bednarczyk głównie mit, który zapisał się w historii. Gdy przyjrzymy się bliżej materiałom z tamtych czasów, okazuje się, że Brzostowski był raczej sprawnym przedsiębiorcą niż oświeconym socjalistą. W warstwie narracyjnej to również mit Rzeczypospolitej Pawłowskiej był dla jednego z bohaterów – Valentinasa Novopolskiego – najważniejszą inspiracją do tego, by zaproponować grupie ludzi udział w rocznym eksperymencie z dala od społeczeństwa.

Valentinas zafascynowany ideami republiki wraz z grupą opuszcza miasto i zakłada dziką osadę 100 km od Wilna. Jako twórcy spektaklu powtarzamy jego gest i od tego momentu fikcja zaczyna się przeplatać z rzeczywistością. Powoli rodzą się postaci i zdarzenia, które w przyszłości staną się budulcem przedstawienia.

Podobnie jak nasi bohaterowie przeprowadzamy więc na sobie eksperyment, ponieważ porzucamy nasze teatralne funkcje i nie robimy prób, ale przyglądamy się sobie i rejestrujemy nasze codzienne życie: organizujemy pomieszczenie z kamerami, confession room, w którym nagrywamy swoje obserwacje. Karol Rakowski, w projekcie odpowiedzialny za wideo, jest jednocześnie didżejem, założycielem uznanego SLAP sound systemu. Uczył więc aktorów, jak budować tracklisty, przygotowywać sety, miksować.

Dosyć szybko przyjmujemy zasadę: codziennie nowe miejsce na nowy rave. Paweł Sakowicz prowadzi zajęcia choreograficzne, Ula Liagaite prowadzi jogę, Fabien Lédé dzieli się doświadczeniem w zakresie zorganizowania oprawy wizualnej.

Mamy mnóstwo sprzętu z teatru, projektory, agregaty, naturę, saunę, staw i najbliższe zabudowania w odległości kilkudziesięciu kilometrów.

Tańczymy do świtu, codziennie w innym miejscu.

Co wspólnego ma Rzeczpospolita Pawłowska z kulturą rave?
– Gdy usłyszałem historię Rzeczypospolitej Pawłowskiej, od początku wiedziałem, że nie będziemy budować spektaklu teatralnego, tylko rodzaj paradokumentalnego doświadczenia powoli wiodącego do wspólnego tańca. Zagadnienie wolności było pierwszym i centralnym tematem tej pracy.

We wstępnych rozmowach Marcin Cecko zaproponował dochód gwarantowany jako zmianę, która mogłaby zbudować szczęśliwsze społeczeństwo. Ja z kolei od początku myślałem o transcendentnym potencjale rave'u. Bardzo trudno opowiada się o tym doświadczeniu. Żeby go naprawdę zrozumieć, trzeba się w nim zanurzyć. Rave wiąże się z szerokim ruchem kontrkulturowym, który w idealny sposób odpowiedział założeniom Tymczasowej Strefy Autonomicznej (TAZ) Hakima Beya – uniwersalnemu archetypowi wyzwolenia.

To jest doświadczenie, które znosi większość dychotomii życia codziennego, zacierając granice między przeszłością i przyszłością, między mną i tobą, między tym, co męskie i żeńskie.

Pamiętam bardzo dobrze Krym-tech – imprezę zorganizowaną nielegalnie w 2006 roku na przylądku Kazantyp. Spędziliśmy tam około tygodnia. Gdy dojechaliśmy na miejsce, nikt nie wiedział, ile dni to potrwa, nie było żadnych oficjalnych time tables, tylko

idealnie zorganizowana wspólnota ok. 200 osób, ogromna polana w środku lasu, najpiękniejsza dzika plaża i pięć sound systemów.

Na koniec zorganizowana została zrzutka, zamówiliśmy śmieciarki i w ciągu jednego dnia posprzątaliśmy przestrzeń. Pozostawiliśmy ja prawie nietkniętą.

Teraz myślę, że od tamtego czasu kiełkowało we mnie marzenie o „Respublice”. Tam właśnie zobaczyłem po raz pierwszy dokument „Storming Sarajevo”, film o grupie didżejów z Keithem Robinsonem na czele, która od razu po zakończeniu wojny na Bałkanach rusza do Sarajewa, żeby zorganizować rave dla ocalałych. Ich podróż trwa wiele tygodni, jeżdżą przez strefy, gdzie ludzie nie wierzą, że wojna się skończyła. Robinson mówi: „Muzyka nie jest luksusem, muzyka jest produktem pierwszej potrzeby, a pomimo tego pada jedną z pierwszych ofiar każdej wojny”.

Nadal nie rozumiem, dlaczego przepisałeś opowieść o litewskiej utopii za pomocą kultury techno. Gdzie tu jest klucz?
– Litewska utopia jest tylko zapalnikiem, pierwszą inspiracją nadającą ruch całemu eksperymentowi. Przyglądamy się grupie, która jest bardzo świadoma klęski, w której uczestniczy. Widmo katastrofy klimatycznej jest mocnym pejzażem tego świata, jest również wyzwaniem, z którym mierzą się wszyscy uczestnicy. Katastrofa klimatyczna podważa przecież idee postępu, nie pozwala wierzyć w oświeceniowe mrzonki o ciągłym rozwoju.

Ukryci przed zgiełkiem świata rave'erzy dobrze zdają sobie sprawę z tego, że wolność, której tutaj doświadczają, też ma swoją cenę, a „wyparcie wymaga wysiłku”. Żyjąc w tak bliskim kontakcie z naturą, zdają sobie również sprawę z faktu, że czekające na nich katastrofy naturalne, takie jak powódź, pożar czy głód, będą wynikiem działania ich gatunku. Nie ma możliwości powrotu do dzikiej natury. To wszystko prowadzi do zmieszania się ze sobą aspektów pozornie nie do pogodzenia – Stefanie Carp nazwała to kiedyś melancholijnym rave'em.

A potem wyreżyserowałeś spektakl o jednym z największych ujawnionych fałszerstw w historii malarstwa – nauczyciel matematyki z Chin namalował w garażu na Queens obraz imitujący Rothko w sposób idealny. I ten obraz został sprzedany współwłaścicielowi domu aukcyjnego Sotheby za sumę 8,3 mln dol. Pytasz o różnicę pomiędzy oryginałem a kopią, i to w sposób wywrotowy: nie wiadomo właściwie, dlaczego uznajemy a priori, że oryginał ma większą wartość, nawet jeśli falsyfikat wywołuje te same emocje. Temat urasta do jednej z najważniejszych kwestii cywilizacyjnych: dzięki sztucznej inteligencji granica między prawdą a fałszem po prostu znika.
– Pytanie o to, co nazywamy prawdziwym czy realnym, zajmuje mnie od lat. Nie uważam, że da się na nie odpowiedzieć, w teatrze możemy jednak przyglądać się różnego rodzaju fenomenom, przez które manifestuje się to, co uważa się za rzeczywiste.

W przypadku historii „fałszywego” obrazu Rothko łączy się tu kilka bardzo ważnych wątków. Oczywiście podstawą naszej pracy była różnica pojmowania oryginału i kopii czy podróbki (Shanzai) w kulturze Orientu i Zachodu. Pojęcia takie jak oryginał i oryginalność mogą nam się wydawać oczywiste, okazuje się jednak, że rozumiemy je zupełnie inaczej, niż rozumie je np. chińska kultura. Bardzo dobrze uwydatnia tę różnicę przykład świątyni Ile Shrine w Japonii, która jest niszczona i odbudowywana co 20 lat. Ostatnio podobno ten kompleks świątynny został usunięty z listy zabytków UNESCO, ponieważ nie spełnia zachodniego kryterium oryginalności. Według filozofii Wschodu natomiast to właśnie ten budynek może być uznawany za najbliższy oryginałowi, ponieważ oryginalny jest stan rzeczy w momencie swojego powstania, a tylko odbudowywanie go pozwala ten stan utrzymać przez wieki.

Ta refleksja znajduje swoje odbicie w obrazach samego Rothko. Wiemy, że używał pigmentów, które bardzo szybko blakną, dlatego niektóre z jego najbardziej znanych prac praktycznie straciły kolor. Często mówi się o emanacji oryginału, można byłoby jednak zapytać, czy idealna „kopia” wyglądająca jak „oryginalny” obraz w momencie, w którym powstał, nie jest jednak bliższa „oryginałowi”.

W spektaklu marszand opowiada dziennikarzowi, jak jego żona płakała przed fałszywym obrazem. Dziennikarz pyta, czy emocje żony były w związku z tym prawdziwe czy sfałszowane. To samo pytanie zadaję sobie codziennie, widząc, jak ludzie reagują prawdziwymi emocjami na fałszywe zdjęcia wygenerowanych przez AI piekarzy, lotników czy rolników, którym jest podobno przykro, bo nikt nie docenia ich ciężkiej pracy.
– W 2016 roku słowem roku uznana była „postprawda”. Wszyscy byliśmy zaskoczeni, w jaki sposób Trump dochodził do władzy, a Anglicy głosowali za brexitem. Skandal Cambridge Analytica i ujawnienie mechanizmów manipulacji gigantów informatycznych miały być nauczką. Okazuje się, że 10 lat później wraz z rozwojem AI jesteśmy jeszcze bardziej bezradni.

Wykorzystują bezwzględnie tę bezradność populiści we wszystkich częściach świata. Fakty przestają mieć znaczenie, liczy się tylko emocjonalne oddziaływanie informacji. Jednocześnie od wieków ogrom-

eprasa.pl 8d168fc391

na część historii cywilizacji jest zbudowana bynajmniej nie na faktach. Najsilniejsze jej filary, na których się opierała, jak pieniądz, religia czy sztuka, są tylko i wyłącznie konstruktami, wynegocjowaną umową społeczną.

Mnie to niepokoi, bo chciałbym wiedzieć, czy oglądam obraz prawdziwy czy sfałszowany. Bez tej umowy społecznej utoniemy w szaleństwie albo skrajnej nieufności. Na razie fałszywy Andrzej Duda, który zbiera kasztany w parku, jest do rozpoznania. Ale lada chwila AI zrobi film, w którym nie da się odróżnić autentyku od fałszu. I to jest cholernie niebezpieczne, ponieważ ktoś może stracić fortunę, ale kto inny może wywołać wojnę.

– Zagadnienie symulacji jest kolejnym tematem, który od lat mnie fascynuje. Pamiętam, jak podczas zamieszek w Gruzji opublikowałem znalezione w sieci zdjęcie kolorowego tłumu demonstrantów i cofającej się przed nim policji. Nieznajomą osobę, która skomentowała zdjęcie, pisząc, że to AI, uznałem momentalnie ze ruskiego trolla. Dopiero po kilku dniach zauważyłem, że to faktycznie było zdjęcie wygenerowane przez sztuczną inteligencję, oczywiście na podstawie materiałów, którymi została nakarmiona sieć. Poczułem się na początku oszustem wobec osób, które zareagowały i kilkukrotnie udostępniły ten obraz. Dosyć szybko pod postem pojawiły się komentarze, w tym pytanie o to, jakie to ma znaczenie, czy jest to obraz wygenerowany cyfrowo, jeżeli nie zakłamuje rzeczywistości i spełnia swoje zadanie zarówno na poziomie informacyjnym, jak i emocjonalnym.

I jaka jest twoja odpowiedź?

– Nie mam na to odpowiedzi. To dylemat mapy i terytorium, o którym pisał Borges w jednym ze swoich opowiadań, wyobrażając sobie królestwo, w którym w pogoni za dokładnością mapy pokryła ona w końcu cały obszar państwa w skali 1:1.

Jesteśmy wyposażeni w narzędzia, które rozszerzają i przedłużają nasze zmysły każdego dnia. Nasze smartfony widzą, słyszą i pamiętają dużo więcej niż my sami. Od wielu lat czuję, że żyjemy w świecie, w którym to hiperrzeczywistość stała się naszym podstawowym środowiskiem. Połączeni z siecią już od niej się nie odłączamy, pozostaje jeszcze oczywiście kwestia interfejsu, który nadal jest prymitywny, ale z pewnością w najbliższym czasie uda się przekroczyć również tę granicę i połączyć byty organiczne z technologią, która wciąż nie znosi wody.

Rozumiem, że obudzimy się w świecie jak z „Łowcy androidów" albo z twojego „Employees", gdzie humanoidom płyną z oczu łzy, nie wiem, czy prawdziwe czy sztuczne. Natomiast zostanie nam odebrana wiedza o tym, co jest kopią, a co oryginałem. I to wydaje mi się największą tragedią. Ten właściciel galerii z Rothko miał prawo do informacji, czy obraz, do którego się modli, to oryginał.

– Oczywiście, że miał prawo, ale to nie to pytanie stoi u podstaw w „Rohtko". Fascynująca jest możliwość przyjrzenia się zupełnie innemu sposobowi rozumienia świata – wydaje mi się, że to jedna z najpiękniejszych możliwości, które daje nam sztuka.

W naszych spektaklach często obserwujemy różnego rodzaju fenomeny wynikające z rozwoju technologii. Wiemy, że wkrótce nie będzie możliwości odróżnienia obrazów wygenerowanych od tych będących rejestracją rzeczywistości, tak jak w tej chwili grafika niektórych gier jest trudna do odróżnienia od filmów.

I jakie będą tego konsekwencje? Obudzimy się w świecie, w którym nie będzie można w nic uwierzyć?

– Rok temu w Monachium zrealizowaliśmy spektakl „Wørld øn @ Wir3card" w skrócie „WøW". To opowieść inspirowana filmem „World on a Wire" Rainera Fassbindera, szkatułkowa historia przedsiębiorstwa, które tworzy komputer – Symulakron – będący w stanie wygenerować symulację rzeczywistości, w której można sprawdzać reakcje konsumentów na produkty, zdarzenia czy decyzje polityczne.

FOT. ANDREI VASILENKO

• Łukasz Twarkowski (na pierwszym planie) i aktorzy na podniebnej scenie „Respubliki"

W stworzonej przez nas leśnej osadzie próbowaliśmy na sobie utopijnego scenariusza świata z dochodem gwarantowanym

Konsekwencje są oczywiste: skoro można przewidzieć, jakie masło czy proszek do prania wybierze konsument, można również prognozować, na kogo zagłosuje w wyborach. To prowadzi do nacisków na firmę ze strony ekipy rządzącej. W filmie główny bohater powoli odkrywa, że Symulakron jest najprawdopodobniej tylko jednym z wielu wymiarów, a rzeczywistość, w której istniejemy, może być również symulacją innego świata. Baudrillard z jego teorią z 1981 roku [opisaną w książce „Symulakry i symulacja"] okazał się niesamowicie aktualny i pomógł nam znaleźć konstrukcję tego świata, którego drugą składową jest firma Wirecard. To były potentat na rynku płatności bezwalutowych, który u szczytu swojej działalności kilka lat temu próbował wykupić Deutsche Bank.

Kiedy mieliśmy próby, w Monachium rozpoczynał się proces Markusa Brauna, współzałożyciela firmy, który wspólnie z Janem Marsalkiem zawyżył jej wartość za pomocą fikcyjnych banków w Azji o ponad 200 mld euro. W momencie wybuchu skandalu Angela Merkel próbowała przekonywać Chiny do otwarcia rynku na Wirecard, Olaf Scholz natomiast jako prezes Rady Nadzoru Bankowego kilka lat wcześniej przekonywał Niemców, że wszystkie artykuły krytykujące Wirecard są wynikiem zmowy przeciw niemieckiej gospodarce. Tymczasem banki, sejfy, wkłady finansowe i wielcy partnerzy w Azji po prostu nigdy nie istnieli. Była za to chata na Filipinach, przez którą przechodziła lipna korespondencja i całkiem realne pieniądze nabranych inwestorów, którzy niejednokrotnie włożyli w ten produkt oszczędności całego życia.

Po ujawnieniu oszustwa w jeden dzień cena akcji spadła o 99 proc. Markus Braun siedzi w więzieniu, Marsalek okazał się agentem wywiadu rosyjskiego i ślad po nim zaginął w Mińsku. Symulakrum okazało się tak dobrze zbudowane, że wyciągnęło realne pieniądze, które rozpłynęły się bez śladu.

Operujesz iluzją w niespotykany sposób. Unieważniasz podział na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Nie boisz się ciszy, zawieszenia akcji, budujesz świat totalny, w którym na kilku planach wszystko dzieje się jednocześnie, a granica pomiędzy rzeczywistością i jej symulakrami staje się niewidoczna. W „Quancie" kelner wie, że za chwilę ze stołu spadnie kieliszek, i zanim to się stanie, czeka przy stole ze zmiotką.

– Wiesz, ja jestem szczęśliwy, że możemy się dzielić z publicznością tak wielu krajów naszymi spektaklami, i niesamowicie się cieszę, kiedy słyszę, co widzowie w nich odnajdują. Jest to wyjątkowe medium i z odpowiednią grupą współtwórców można w nim przełamać wszystkie granice.

Publiczność chyba to rozumie. W Atenach pokaz „Respubliki" oglądało 7 tysięcy osób.

– To był jeden z najszczęśliwszych momentów mojego życia, kiedy nasi aktorzy kończyli set po siódmej godzinie spektaklu, a w trakcie oklasków kanadyjski muzyk Richie Hawtin przejmował didżejkę, żeby kontynuować „Respublikę" z Samą Abdulhadi do 9 rano. Góry, niebo, potężny sound system i tysiące ludzi tańczących we wschodzącym słońcu.

Często mówisz „my". Czyli kto?

– Przy każdym projekcie jest to trochę inne „my". Jesteśmy grupą realizatorów, która rotuje i czasami się zmienia, jej rdzeniem jednak od wielu lat pozostają: scenograf Fabien Lédé, kostiumografka Svenja Gassen, artysta wideo Jakub Lech, dramaturżka Anka Herbut i choreograf Paweł Sakowicz.

Jesteśmy bardzo heterogenicznym zespołem i wierzę, że najciekawsze odkrycia zdarzają się w dialogu.

Rozumiem, że rozrachunków z polskością nie planujesz. A ten sygnet ze spadochronem, który nosisz na palcu? Wygląda jak spadek po Cichociemnych.

– To pamiątka po ojcu przyjaciółki. Teraz ma też mnie mobilizować do regularnych ćwiczeń, żeby po kontuzji kręgosłupa wrócić jak najszybciej do skoków.

Pytasz mnie ciągle o te rozrachunki, a ja wierzę, że teatr ma możliwość komunikowania na o wiele głębszym niż doraźny poziomie. Teatr nie musi się odnosić do polskości, żeby był z nią w kontakcie, w jakiejś relacji.

Tu się urodziłem i wychowałem, ten kraj w dużej mierze mnie ukształtował. Szukamy jednak napięć, które mają bardziej humanistyczny, otwarty, łączący nas raczej niż dzielący na narodowości kierunek. Nie znaczy to jednak, że nie zawierają się w nich partykularne lęki, też te związane z polskością.

W ostatnim projekcie „Quanta", w dużej części odbywającym się w 1938 roku, śledzimy przedwojenny niepokój, tak bliski dzisiejszemu wszechobecnemu lękowi.

Tak, scena w „Quanta", w której najwybitniejsi fizycy patrzą w niebo, na którym wybuchają fajerwerki, opowiada chyba o tym lęku. Nie wiadomo, czy to fajerwerki czy działa obrony przeciwlotniczej.

– Ta scena, mam nadzieję, komunikuje na poziomie, o którym rozmawialiśmy. „Słowo wokół niej może tylko krążyć", jak mówił Francis Bacon o obrazie i jego interpretacji.

Ja po prostu wierzę, że teatr może mieć swój oddzielny, niezależny język. ●

Łukasz Twarkowski

• (1983) – reżyser teatralny, pracuje dla teatrów na Łotwie, Litwie, w Niemczech. Twórca m.in. „Respubliki" „WOW", „Akropolis", „Employees". Za obsypany nagrodami „Rohtko", koprodukcję Narodowego Teatru Łotewskiego i Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu, jako pierwszy polski reżyser otrzymał stauetkę Ubu – prestiżowe wyróżnienie dla najlepszej zagranicznej produkcji teatralnej prezentowanej we Włoszech. Podczas ostatniego festiwalu Boska Komedia w Krakowie miał miejsce jak na razie jedyny w Polsce pokaz spektaklu „Quanta", zrealizowanego w Narodowym Teatrze Litewskim w koprodukcji m.in. z Teatrem Łaźnia Nowa. „Quanta" otrzymała trzy Złote Krzyże Sceny, najważniejsze litewskie nagrody teatralne, w tym dla najlepszego reżysera.

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

Proporzec autorstwa Zuzanny Herzberg na wystawie „1945. Nie koniec, nie początek” w Muzeum Polin. Został uszyty ze szmat do mycia podłogi. W centrum artystka umieściła portret Barbary Beatus, Żydówki, komunistki i dziennikarki, która przeżyła łódzkie getto, Auschwitz i kilka innych obozów
FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wymyślić ŻYCIE NA NOWO

W Łodzi włókniarki przychodziły oglądać grupę dziewcząt.
Mówiły: „O! Żydówki przyszły”. A one czuły się jak zwierzęta w zoo.

Z A**NNĄ BIKONT**
ROZMAWIA **WALDEMAR KUMÓR**

WALDEMAR KUMÓR: Chciałabyś się zaprzyjaźnić z którymś z bohaterów swojej książki?
ANNA BIKONT (autorka książki „Nie koniec, nie początek. Powojenne wybory polskich Żydów”): Na pewno z Awromem Suckewerem. Poetą niezwykłym, który pisał do końca życia w jidysz, czasami tylko po hebrajsku. Przed wojną napisał zachwycający wiersz opiewający krajobraz Syberii, który później zilustrował jego przyjaciel Marc Chagall. W czasie wojny i po niej pisał już prawie tylko o Zagładzie. Uważał, że musi upamiętnić ofiary i przemawiać w ich języku. Wilno to było jego miasto, jego ukochany świat. Przeżył. Wyjechał – przez Polskę i Francję do Izraela.

„Byłem na Ponarach. Nikogo żywego nie znalazłem, tylko popiół. Ludzki popiół jest lepki i szary. Nasypałem go do woreczka i noszę przy sobie – może to moje dziecko, może moja mama...”.
– To napisał w liście do pisarza Ilii Erenburga. Pojechał do Wilna z Moskwy, od razu gdy dowiedział się, że 13 lipca 1944 roku jego miasto wyzwoliła armia radziecka.

Poszedł do celi, w której gestapo zakatowało Icchaka Wittenberga, dowódcę partyzantów w getcie. Zapisał: „Wszystko jeszcze tu tchnie męką i krzykami torturowanych moich przyjaciół i towarzyszy. Przy świetle zachodzącego słońca, jeszcze bardziej uwydatniającego czerwień ścian, odczytuję: »Zemścijcie się – Ichcak Wittenberg«”. Mściciel?
– Wittenberg nie mógł się zemścić, zginął, ale Abe Kovner, też poeta i też z Wilna, postanowił jego i wszystkich pomordowanych pomścić, zabijając 6 milionów Niemców. O tym też piszę w książce. Wracając do Suckewera: był „najbardziej promienny z nas wszystkich” – wspominał jeden z jego młodzieńczych przyjaciół. Wrażliwy lewicowiec. Artysta. Widział Zagładę, przeżył ją, ale ze wszystkiego, co o nim przeczytałam, wynika, że zapamiętano go jako pogodnego człowieka, z darem zachwytu nad krajobrazem, przyjaciółmi, życiem. Uwielbiał Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Leśmiana. Czesław Miłosz, przecież też z Wilna, chociaż żyli w dwóch różnych światach, czytał w jego wierszach swoje miasto, jego architekturę, „szum naszych dwóch rzek”.

Jak zdołał przeżyć?
– W partyzantce. Ale najpierw, 24 czerwca 1941 roku Niemcy zajmują miasto i tzw. łapacze, Litwini, od razu organizują polowania na Żydów. Przez siedem tygodni ukrywał się na strychu rodzinnego mieszkania. Pisał tam wiersze – że przyszedł mu do głowy pomysł, by z rozpaczy popełnić samobójstwo przy pomocy kawałka szkła. Ale w szkle odbiło się światło księżyca i to przywróciło mu chęć do życia. Odkrył go sąsiad czyhający na mieszkanie, musiał uciekać.

Miał też zawrzeć swoisty pakt z aniołem poezji: „Będę twoim Aniołem Stróżem, dopóki będziesz mi dostarczał piękne wiersze, a jak ci się nie uda, nie mnie masz winić”.

Jak to rozumiesz?
– Że dopóki będzie umiał przetworzyć swoje doświadczenie na poezję, będzie żył.

Parę razy udało mu się uciec z łapanek. W czasie jednej schował się w trumnie. I oczywiście napisał

eprasa.pl 8d168fc391

▶ **Poeta Awrom Suckewer przed ruinami swojej szkoły w Wilnie. Do rodzinnego miasta przyjechał jeszcze w 1944 roku, gdy tylko dowiedział się, że zostało zajęte przez Sowietów**
FOT. UNITED STATES HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM, DZIĘKI UPRZEJMOŚCI RODZINY SUCKEWER

▼ **Dzierżoniów, 1947. Kurs kroju i szycia zorganizowany dla ludności żydowskiej przez Organizację Rozwoju Twórczości**
FOT. PAP

o tym wiersz: „Leżę w trumnie,/ Jak w ubraniu z drewna./ A może/ Jak w kołysce/ Czy jak w łódce/ Miotanej przez morze”. „Łapacze” litewscy nie przestawali. Kogo złapali, lądował najpierw w więzieniu, bity, torturowany, potem Żydzi z Wilna trafiali do Ponar. Zabito tam ich 70 tysięcy.

I zdarzył się znów cud. Suckewer, uciekając, zapukał do przypadkowych drzwi. Janowa Bartoszewicz obiecała, że przechowa go do końca wojny. Mało tego, obiecała, że pomoże też jego matce i ciężarnej żonie, które zostały w getcie; przekradała się tam i dokarmiała. Ale Suckewer zdecydował się tam wrócić, by nie zostawiać samej matki i żony, która miała na dniach rodzić. Urodził się syn, Niemcy zabili go od razu. Jego matka wprawdzie doczekała narodzin wnuka, ale zabili ją w Ponarach. Dowiedział się, że nie żyje – rozpoznał po czerwonych butach na wozie z rzeczami po zamordowanych, o tym też jest wiersz. Z żoną dzięki przedwojennym kontaktom z ludźmi kultury udało się uciec z miasta i przedostać do partyzantów, a potem do Moskwy.

Jego wojenne losy są niesłychane. Piszesz o nim tak: „Drobne ciało, karabin przewieszony przez ramię, okulary w drucianych oprawkach. Jakby został naszkicowany cienką kreską wyobrażeń, jak ma wyglądać partyzant, poeta i Żyd”.
– Tak wygląda na fotografii, nie widać, że oczy ma jasnoniebieskie. A wiesz, że w getcie ludzie przychodzili na jego czytanie wierszy, które potem przepisywano i recytowano. Dawały nadzieje. Jest relacja Rywki Basman, jak skończył czytać i getto nie wyglądało jak wcześniej – „nasze życie nie wydawało się takie tymczasowe, ja sama byłam odmieniona”.

Był ważnym świadkiem na procesie nazistów w Norymberdze. W samolocie wiozącym świadków na proces siedział obok słynnego niemieckiego feldmarszałka Friedricha Paulusa, dowódcy spod Stalingradu.
– Nie wiedział, koło kogo siedzi. Miły pan tłumaczył mu, że Lorelei to jest pieśń ludowa, którą sobie przywłaszczył Heine, Suckewer w Norymberdze chciał koniecznie zeznawać po żydowsku, ale zmuszono go, by mówił po rosyjsku. Opisywał, że przed zeznaniem nie mógł spać przez parę dni. Zamartwiał się, że po rosyjsku nie będzie umiał „przekazać drżenia swojej duszy”.

W maju 1946 wyjechał z żoną i urodzoną już w Moskwie córeczką do Polski, do Łodzi. Nie zostali tu długo. Wyjechali, bo dwa miesiące potem doszło do pogromu kieleckiego. Mieszkali chwilę w Paryżu, pojechali do Bazylei, gdzie byli zaproszeni na kongres syjonistyczny. Tam poznali Goldę Meir, która im załatwiła wyjazd do Erec Izrael jesienią 1947. Na statku „Patria” też pisał wiersze, o współpasażerach, m.in. o starszej kobiecie ściskającej lalkę. Bez przerwy płakała, bo uratowała lalkę wnuczki, ale dziewczynki nie.

„Wybitny poeta Abraham Suckewer powrócił do Polski” – pisał w tymże maju 1946 roku „Biuletyn Centralnego Komitetu Żydów w Polsce”.
– Gdy umierał, w 2010 roku, w wieku 97 lat, Ryszard Krynicki napisał w wierszu: „Umarł Suckewer/ W żadnej polskiej gazecie/ Ni słowa żalu”.

I po to też jest książka i wystawa, którą przygotowałam razem ze świetnym badaczem młodego pokolenia Kamilem Kijkiem. Może ktoś wyrazi słowa żalu, że po wojnie nie został tu ani Suckewer, ani tysiące polskich Żydów, którzy wyjechali w kolejnych falach emigracji. Zdecydowana większość wyjechała, wśród tych, którzy zostali, niektórzy do końca życia ukrywali nawet przed najbliższymi, kim są. Pokazujemy ich powojenne wybory, żeby spróbować zrozumieć tę garstkę Żydów, która przeżyła Zagładę.

Ale wracam do odpowiedzi na twoje pierwsze pytanie: już się trochę zakolegowałam z Roaldem Hoffmanem, chłopcem ze Złoczowa, rozmawiałam z nim na uniwersytecie Cornell w stanie Nowy Jork, ale chętnie zakolegowałabym się bardziej.

Dlaczego akurat z nim?
– Jest taka szczególna kategoria ludzi, którzy mają wokół siebie taką aurę, że już sam fakt przebywania w ich obecności sprawia przyjemność. Taki jest Roald.

Przeżył z matką ukryty na strychu, uczył się tam z podręczników geografii, też po niemiecku. Po wojnie wzięli z rodzinnego domu, gdzie już ktoś mieszkał, tylko album ze zdjęciami i wyjechali do Polski, a w końcu dostali się do tej wymarzonej Ameryki. Ale oczywiście z uchodźczymi przygodami.

Bardzo wielu Żydów chciało wyjechać do Stanów. Ale ani tam, ani nigdzie indziej nikt Żydów nie chciał. Dużo cenniejsi do prac gospodarskich niż pokiereszowani Żydzi byli rośli chłopi z Łotwy, nawet jeśli współpracowali z Niemcami.

Roald i jego matka Klara Safran nie mogli wyjechać, mimo że mieli papiery od rodziny w Stanach, która deklarowała, że jest ich w stanie utrzymać. W końcu kupili niemieckie papiery po Hoffmanie (stąd nazwisko), pewnie żołnierzu Wehrmachtu, który zginął na froncie wschodnim – USA przyjmowała jeszcze Niemców; obowiązywały kwoty, a kwoty dla Żydów dawno przekroczyły limit. I potem ten chłopczyk ze Złoczowa w 1981 roku dostał Nagrodę Nobla z chemii.

Intrygująca jest historia Barbary Beatus, komunistki, która przeżyła łódzkie getto, Auschwitz i inne obozy koncentracyjne. I tak jak stała, postanowiła wrócić do Łodzi.
– Życiorys jak z socrealistycznej czytanki. Pochodziła z niewyobrażalnie biednej, wielodzietnej, robotniczej rodziny żydowskiej. Nie było ich stać na szkoły, pracowała od małego, nauczyła się sama pisać i czytać. Za komunizm lądowała w więzieniach. W getcie konspirowała, pomagała innym. Zdążyłam porozmawiać ze zmarłym niedawno Marianem Turskim, opowiadał, że Beatus to był „fajny, ludzki człowiek”.

Koniec wojny zastał ją w Magdeburgu, gdzie z koleżankami z obozu w Bergen-Belsen pracowały w fabryce amunicji. Szły do Łodzi pieszo, bały się gwałtów, więc nie wsiadały na wojskowe ciężarówki. Dotarły po 17 dniach marszu. I od razu usłyszały w tramwaju od konduktora, któremu tłumaczyły, że są po obozach koncentracyjnych i dlatego nie mają biletów: „To tyle was jeszcze zostało?”.

Byłem w szoku, gdy przeczytałem u ciebie, w latach 80. XX wieku podziemnej redaktorki znakomitego „Tygodnika Mazowsze”, że Beatus nie chciała się angażować w „Solidarność”, bo jest Żydówką.
– Ona wciąż z tym miała problem. Nie chciała, żeby ludzie gadali, że Żydzi rządzą „Solidarnością”. To jest kompleks wcześniejszego ode mnie pokolenia. Ja nie miałam nigdy takich kompleksów, ale je rozumiem, nawet jak kiepsko znoszę.

Ewa Zysman, jej podopieczna w Auschwitz i później przybrana córka, przed wojną uważała, że antysemityzm jest czymś absolutnie naturalnym, „jak oddychanie powietrzem”. Ale wierzyły, że po wojnie będzie zupełnie inaczej. A tu szok – nie chciano jej i jej przyjaciółek z obozu przyjąć do pracy w fabryce włókienniczej. Powód: są Żydówkami. Dopiero interwencja Beatus pomogła. Dalej wierzyły, że to minie, że to pozostałości sanacji, teraz jest zupełnie inny ustrój, lepszy.

Nie mijało. Po Holokauście antysemityzm nie znikał.
– Te włókniarki przychodziły oglądać grupę dziewcząt – jak mówiły o sobie: „z obozowej rodziny” – od Beatus. Mówiły: „O! Żydówki przyszły”, a one czuły się jak zwierzęta w zoo.

Bodaj pierwsze strajki w Polsce już we wrześniu 1945 roku wybuchły nie z ekonomicznych, ale z antysemickich powodów. Powód: mianowanie w fabryce włókienniczej Greyera dyrektora technicznego, na temat którego – uwaga! – „wrogie elementy rozpuściły pogłoski, że jest Żydem”. Wcześniej, w czerwcu 1945, w fabryce Biedermanna robotnicy strajkowali dwa i pół dnia. Postulat: „Nie chcemy mieć dyrektora Żyda”. Turski, który znał dobrze Beatus, mówił mi, że oni wszyscy działający jeszcze w getcie w Lewicy Związkowej idealizowali robotników i jaki to był szok dla tych młodych dziewczyn, gdy włókniarki okazały się strasznymi antysemitkami.

Gdy poszły do szkół wieczorowych, potem na studia, było podobnie.
– Zysman poszła do szkoły wieczorowej dla zapóźnionej edukacyjnie z powodu wojny młodzieży. Czytała na tablicy: „Nie chcemy Żydów w klasie”.

Beatus potem została dziennikarką, pisała reportaże w „Głosie Robotniczym”.

eprasa.pl 8d168fc391

Czytane teraz wydają się co najmniej naiwne.
– Pisała prostym językiem, konkretnie, pozytywnie. W sumie bez nadmiaru partyjnej nowomowy. Ale to wszystko nijak się miało do prawdziwego życia robotników. Wkrótce została wicenaczelną gazety. Nie rozumiała, nie dopuszczała do siebie, że robotnice skandują: „Dosyć mamy polityki, dajcie nam jeść!”.

Miała potem wyrzuty sumienia? Co o tym wszystkim myślała?
– Ona sama siebie nie rozumiała z tamtych lat. Namawiała w swoich tekstach te swoje koleżanki, które przeżyły obozy, do współzawodnictwa. One uważały, że to jakieś głupoty i stąd też antysemityzm niektórych robotnic – uważały, że te głupoty wymyślają Żydzi.

Muzeum Polin zaprosiło na wystawę kilku artystów, w tym Zuzannę Herzberg, artystkę interdyscyplinarną, aktywistkę, performerkę i badaczkę. Jej twórczość często dotyczy pamięci historycznej, tożsamości i doświadczenia kobiet w kontekście historii Żydów w Polsce.

Na naszą wystawę wykonała wielki, piękny proporzec przypominający proporce wiejskie szyte ze szmat do podłogi z namalowaną na nich Matką Boską. Tylko u niej Barbara Beatus jest w miejscu Matki Boskiej.

Na wystawie kończymy przestrzeń poświęconą żydowskim komunistom cytatem z dziennika Beatus, że jakby diabeł pomieszał w jej życiu, toby gorzej nie namieszał, i że wszystko, co ona zrobiła, było bezsensowne, szkodliwe i że żałuje swojego życia. Ale na proporcu wykonanym przez Zuzannę jest cytat z Barbary Beatus, też z jej dziennika, z tego samego czasu, zupełnie inny, że zawsze wierzyła w idee socjalistyczne i że jest z tego dumna.

To mi uprzytomniło, jak subiektywnie piszę czy przygotowuję wystawę, żebym nie wiem, jak starannie pracowała nad źródłami. Wybrałam taki cytat, bo utwierdzał mnie w moim przekonaniu, że ludzie, którzy wybrali komunizm, przegrali życie. Dla Zuzanny jest pewnie ważne, że komunizm był alternatywą dla wrażliwych ludzi, którzy nie mogli znieść kapitalizmu, imperializmu, kolonializmu itd. A nasza bohaterka Barbara Beatus była pewnie rozpięta między tymi dwoma cytatami. Tak naprawdę nie zmieniłaby swojego życia, w którym broniła klasy robotniczej, a z drugiej strony wiedziała, że cała ta propaganda i to wszystko, co robiła w latach 50., były do niczego.

Czy jej historia może być argumentem, a właściwie pseudoargumentem dla tych, którzy uważają, że Polską rządziła wtedy żydokomuna?
– Tak, bo każdy Żyd komunista jest potwierdzeniem tezy, że wszystko, co się stało, to zrobili Żydzi, a Polak komunista nie świadczy o tym, że to, co się stało, zrobili Polacy. No skąd? A przecież Polaków wspierających władze po wojnie było nieporównywalnie więcej niż Żydów, co wynika z prostego faktu, że Polaków było nieporównanie więcej. Fakty: jesienią 1945 roku 1,7 proc. wszystkich pracowników Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego było Żydami.

Zacytuję informację z wystawy: te 1,7 proc. „to wyraźna nadreprezentacja (Żydzi stanowili po wojnie 0,5 proc. ludności), co nie zmienia faktu, że 98 proc. pozostałych Żydami nie było. Im wyżej w strukturze władzy, tym odsetek Żydów był wyższy. Jesienią 1945 na 500 kierowniczych stanowisk w MBP Żydzi zajmowali 67, czyli ponad 13 proc.”.
– Tak czy owak: proporcje były takie, że Żydów wśród komunistów było mało. Wojnę przeżyła garstka. W dodatku zagłosowali nogami, to znaczy zdecydowana większość wyjechała z Polski w sprzeciwie wobec nie tylko antysemityzmu, ale komunizmu też.

W powojennej Polsce i do tej pory ludzie snują rozważania, kto we władzach był Żydem. Taki „antysemityzm detektywistyczny”, jak trafnie nazwał historyk Marcin Zaremba. W lokalnych, małomiasteczkowych urzędach bezpieczeństwa mało było Żydów; dominowali Polacy, którzy chcieli się jakoś urządzić przy nowej władzy. Chodziło o przywileje. Dawni partyzanci, nierzadko okradający i zabijający Żydów, mogli się tam schować czy po prostu można było banalnie, bezkarnie pić. A stereotyp o żydokomunie, że Żydzi to komuniści, a komuniści to Żydzi, stał się pretekstem po wojnie do zabijania kobiet, dzieci, religijnych Żydów, tych, co się szykowali do wyjazdu z Polski.

W pierwszych trzech powojennych latach zamordowano co najmniej 1080 Żydów. Na wystawie przygotowaliśmy mapę miejscowości, w których ich zabijano. Udało się ustalić, że w 379 miejscowościach doszło do 600 morderstw, w których zamordowano czasem pojedyncze osoby, czasem większą grupę.

Ważna, odkrywcza i ciekawa jest historia żydowskiego Dzierżoniowa na Dolnym Śląsku.
– Weszłam w nią głęboko dzięki Kamilowi Kijkowi. Gdy mnie oprowadzał po mieście, czułam, że ten żydowski Dzierżoniów ożył. Znał go doskonale. Pokazywał, gdzie w tych dawnych niemieckich kamienicach była siedziba syjonistów, gdzie dom dziecka, klub sportowy, a gdzie szpital żydowski, biblioteka, teatr, a gdzie szkoła, w której mówiło się po hebrajsku, a gdzie szkoła w jidysz. W żydowskiej spółdzielni rolniczej nadawano imiona krowom w jidysz.

Tuż nad rzeką był dworzec kolejowy, gdzie wystawali działacze syjonistyczni i namawiali przyjezdnych do zamieszkania w ich kibucu, a stamtąd droga już miała prowadzić do Palestyny. Na wystawie pokazujemy plakat: „Żydowskie Brygady Żniwiarskie to twój szczytny obowiązek! Kosa w twoich rękach przekreśli głód i da Ojczyźnie i Twoim najbliższym chleb!”.

Dlaczego Dzierżoniów?
– Były tam gotowe domy do zamieszkania po wyrzuceniu Niemców. Tu kierowano pociągi z Żydami wracającymi ze Związku Radzieckiego. Centralny Komitet Żydów ustalił to z nową władzą latem 1945 roku. Była temu przychylna, bo osadnictwo żydowskie na Ziemiach Odzyskanych miało przekonać aliantów, by uznali nowe zachodnie granice Polski.

Kijek uświadomił mi, że społeczność żydowska Dzierżoniowa odtworzyła bogactwo kulturowe przedwojennych sztetli. Różnica: bez ich biedy.

Czuli się bezpiecznie?
– Na Dolny Śląsk, jak opisuje historyczka Natalia Aleksiun, można było wtedy wyjechać i nie konfrontować się z Zagładą. Sąsiedzi nie nosili ubrań po twoich najbliższych i nie mieli w mieszkaniu mebli po swoich znajomych. Jak to opisał Dariusz Stola, Dolny Śląsk „to był pomysł paradoksalny, pomysł na pozostanie w Polsce i jednocześnie wyjazd z Polski”.

Na Dolny Śląsk przyjeżdżały delegacje organizacji żydowskich ze świata, dziennikarze żydowscy z Nowego Jorku. Najpierw oglądali pustkę po getcie w Warszawie, grozę Treblinki czy Majdanka, a potem jechali do Dzierżoniowa. Byli w szoku – wszędzie słychać było jidysz, szyldy na sklepach były w jidysz, plakaty, transparenty nawołujące do obchodów 1 maja czy głosowania 3 × TAK. Jednocześnie, jak podkreśla Kijek, Dzierżoniów to nie była beztroska wyspa oddzieloną od reszty Polski. Gdy Żydzi chcieli tam założyć szkołę rolniczą, od urzędnika usłyszeli, że Żydzi to pasożyty i on dziwi się, że Niemcy ich wszystkich nie wymordowali. Jesienią 1946 roku, już po pogromie kieleckim, ktoś zastrzelił stojącego na posterunku 26-letniego Moszego Becalela Zylberga z organizacji syjonistycznej.

Niektórzy bohaterowie książki mówią, że Polacy zachowywali się czasem, jakby mieli „drzazgi w butach”, coś ich uwierało. Rozumiesz Polaków, którzy napadli i okradali Żydów w pociągach? Albo po prostu zajmowali mieszkania po Żydach i nie mieli zamiaru się wynieść, gdy zjawiali się ich właściciele? Wychodzi na to, że antysemityzm jest powszechny, najbardziej „demokratyczny”, a człowiek jest z natury beznadziejny.
– W tej książce nie zajmuję się korzeniami antysemityzmu, wpływem Dmowskiego, Kościoła katolickiego czy Hitlera. Bardzo mi zależało, żeby napisać ją z perspektywy ocalałych Żydów, dlatego jeśli opisuję morderstwa Polaków na Żydach, nie piszę, że w tym czasie trwała w jakieś mierze wojna domowa, to przecież nie umniejszało ich bólu. Jak bólu Marii Galler z rodziny, w której cudem uratowali się rodzice i dziecko, a to się prawie nie zdarzało. Uciekali z Polski, gdy partyzanci z oddziału Józefa Kurasia „Ognia” zaatakowali ich ciężarówkę już niedaleko granicy, zamordowali 11 osób.

Maria przeżyła, ale słyszała, jak umierał jej syn, 12-letni Dawid Józef, i jeden z morderców mówił: „Ten mały dużo stęka, popraw mu”.

Na moje spotkania autorskie przychodzą z reguły niesłychanie mili i życzliwi ludzie. Ale oni się głównie zajmują przeżywaniem tego, co złego i dlaczego zrobili Polacy, mają poczucie winy. Przypominam im, że ci Żydzi też byli obywatelami polskimi i mogą się z nimi utożsamiać, z nimi czuć bliskość i empatię.

Dojmująco smutna jest konstatacja, że nie znalazłaś ani jednego przypadku wśród ocalałych, by – tak jak to się zdarzało milionom ludzi, gdy zakończyła się wojna – ktoś wrócił do swojego dawnego życia, do swojej społeczności, do domu, rodziny, pracy. Musieli wymyślić i zbudować życie na nowo.
– Na mnie też zrobiło to wrażenie, że nie znalazłam takiej historii. Wydaje się oczywiste, że koniec wojny oznacza, że wracamy do przerwanego nią życia. No i nie dla wszystkich Zagłada się skończyła. Opowiadam o Fani Szumacher, która przypadkiem wysiadła z pociągu repatriacyjnego na peronie w Kielcach. Dołączyła do kibucu, grała na gitarze, uczyła hebrajskiego. Chciała jak inni wyjechać do Palestyny, bo jak można żyć na cmentarzu? Trzeba uciekać, no i też, choć wojna się skończyła, wciąż zabijają Żydów. Mało, a właściwie nic o niej prawie nie wiem. Nie wiadomo, czy pochodziła z Równego, może ze Stryja. Długo szukałam o niej jakichkolwiek informacji – archiwa spłonęły. Nie ma jej na żadnych listach polskich obywateli repatriantów z ZSRR. Ktoś uważał, że skoro mówiła po hebrajsku, to skończyła gimnazjum Tarbutta. Ktoś – że była geolożką. Może skończyła studia w Saratowie? O Saratowie mówił ponoć jej chłopak Baruch Dorfman, gdy wysiedli na dworcu Kielcach. Dwa tygodnie przed pogromem.

Jedyne, co wiemy na pewno, to to, że zamieszkała na drugim piętrze domu przy Plantach 7 i była jedną z 42 ofiar pogromu. Jedyne szczegółowe informacje o niej pochodzą z sekcji zwłok: miała 160 cm wzrostu, wyglądała na 20-25 lat. Z opinii biegłego wynika, że „obrażenia zostały zadane narzędziem twardym, tępo-krawędziastym, a śmierć nastąpiła natychmiast wskutek wgniecenia kości czaszki”.

Tyle.

Zastanawiałaś się może, co ty byś zrobiła?
– Wyjechałabym. Tak jak większość Żydów wyjechała po pogromie kieleckim.

Kazimierz Wyka jesienią 1945 pisał: „Jedynym krajem w Europie, gdzie antysemityzm nadal trwa i prowadzi do politycznych i moralnych zbrodni, jest Polska. Kraj, gdzie Żydzi byli wytrzebieni najgruntowniej i gdzie za okupacji siła oporu przeciwko Niemcom była najgwałtowniejsza”.
– To nie była dokładnie prawda, ale prawdą jest, że Żydom w małych miasteczkach nie szło żyć. Lokalni partyzanci organizowali napady, mordowali kilkoro ocalałych, też kobiety i dzieci. I zostawiali karteczki z ultimatum, że pozostali mają opuścić miasteczko, bo spotka ich podobny los. Lepiej było w dużych miastach, w Warszawie, Łodzi, na Dolnym Śląsku.

Przywódca powstania w getcie Marek Edelman zdecydował, że zostanie w Polsce.
– Został. Ale już w 1968 roku namówił żonę i dzieci, by wyjechali.

Tytuł książki i wystawy: „Nie koniec, nie początek. Powojenne wybory polskich Żydów”. Jak to dobrze, że ktoś nie wpadł na pomysł korporacyjnej mowy-trawy i napisać o „strategiach przetrwania” albo „strategiach na życie”.
– Tytuł wymyśliła Dorota Siarkowska z Muzeum Polin. Też nie lubię tych określeń. Bo to wymagało niesamowitej odwagi i chęci życia, żeby zacząć życie od nowa.

Cytuję Annę Mass z Przemyśla, która wyskoczyła z pociągu do Treblinki, przeżyła, mimo że została postrzelona w plecy: „Z rodziny niestety nikogo nie zastałam i sama się pytam, po co się tak rwałam do tego życia? Po co?”. ●

W Dzierżoniowie sąsiedzi nie nosili ubrań po twoich najbliższych i nie mieli w mieszkaniu mebli po swoich znajomych. Dariusz Stola pisał, że Dolny Śląsk „to był pomysł paradoksalny, pomysł na pozostanie w Polsce i jednocześnie wyjazd z Polski”

ANNA BIKONT

Wystawę **„1945. Nie koniec, nie początek”** w Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin” można oglądać do 15 września

Nie koniec, nie początek. Powojenne wybory polskich Żydów

Anna Bikont
Wyd. Czarne

eprasa.pl 8d168fc391

• Rekonstrukcja korony Bolesława Chrobrego. Według badacza insygniów prof. Michała Rożka oryginalna była „wieloboczna, składała się z segmentów wykonanych w złotej blasze, suto wysadzanych szlachetnymi kamieniami”

FOT. PAP/JACEK BEDNARCZYK

• W księdze „Ordo Romanus”, ofiarowanej w 1027 roku synowi Chrobrego Mieszkowi II przez Matyldę Szwabską, polski władca nosi inaczej wyglądającą koronę niż przedstawiona obok. Wieńczą ją nie ostro zakończone lilie, lecz kule

3

WZMIANKI O KORONACJI

O tym, że polski książę został w 1025 roku koronowany na króla, wiemy wyłącznie z zagranicznych źródeł.

Przemysław Urbańczyk

W polskiej tradycji historycznej szybko zapomniano o tej dacie, a raczej dokonano korekty pamięci o tym epizodzie przeszłości dynastycznej. Chodziło o ukrycie tak późnej koronacji wielkiego władcy, którego stawiano za wzór jego następcom.

Ten zniekształcony obraz wylansował Anonim Gall, który zanotował „oficjalne” stanowisko dworu piastowskiego z początku XII wieku. Przekonywał, że już w trakcie zjazdu gnieźnieńskiego w 1000 roku Bolesław został „chlubnie wyniesiony na królewski tron przez cesarza” Ottona III. Korzeni tej manipulacji można się doszukiwać kilkadziesiąt lat wcześniej, kiedy w zaginionym „Epitafium” Chrobrego napisano, że to „przez wzgląd na dobrą sławę powierzył ci Otto koronę”. Wśród badaczy, którzy wzięli te wzmianki za fakt, znaleźli się nawet tacy, którzy formułowali absurdalną hipotezę, że Otto III szykował Chrobrego na swego następcę na tronie cesarskim.

Atrakcyjność wizji wypromowanej przez propagandę Piastów skłaniała pokolenia historyków do lansowania tezy, iż już w roku 1000 nastąpiła, może nieformalna, ale faktyczna koronacja. Wzmacniali ją odwołaniem do jednego z opisów wydarzeń z 1013 roku, kiedy w Merseburgu kolejny władca imperium niemiecko-italskiego, Henryk II, potraktował ponoć Bolesława „zgodnie z jego królewską godnością”.

Chwytając się kurczowo tych wzmianek, wzmacniano przekonanie, że Chrobry nie przez kilka miesięcy, lecz przez 25 lat rządził jako król, bo przecież tak wielki władca po prostu nie mógł nie być królem. Pomijano przy tym fakt, że sam cesarz nie mógł dokonać koronacji królewskiej, ponieważ musiało ją poprzedzić poświęcenie korony przez papieża. Jeśli Otto III faktycznie obiecał Bolesławowi koronację, to nie zdążył tego dokonać przed swoją przedwczesną śmiercią w styczniu 1002. Nic więc dziwnego, że żadne źródło zagraniczne nie nazywa Chrobrego królem przed 1025 rokiem.

SFRUSTROWANY KSIĄŻĘ

Najważniejszym kontrargumentem przeciw tej wizji mocarstwowej jest brak manifestacji tytułu królewskiego przez samego Bolesława. Na wszystkich jego monetach tak licznie wybijanych przed rokiem 1020 przedstawiony jest jako „Bolesław książę” (BOLIZLAVUS DUX). Rozwiewa to jakiekolwiek wątpliwości, bo poświadcza, że zdawał sobie sprawę ze swego niekrólewskiego statusu.

Nie znaczy to, że nie było to dla niego frustrujące, tym bardziej że jego węgierski sąsiad Stefan został ukoronowany już w 1000-1001 roku. Polska propaganda próbowała nawet oskarżyć go o podstępną kradzież korony pierwotnie przeznaczonej dla Chrobrego.

Rosnąca desperacja, czy wręcz kompleks bycia tylko jednym z wielu europejskich książąt, znalazła ujście około 1020 roku, kiedy mennica książęca rozpoczęła próby z emisją monet opatrzonych jednoznacznym tytułem BOLIZLAVUS REX – „Bolesław król”. Trudno o lepszą manifestację desperackiego roszczenia sobie przywileju do używania tego tytułu, który był przecież ściśle reglamentowany przez procedury nadzorowane przez Kościół. Jako że koronacja wtedy też nie nastąpiła, to ten projekt menniczy nie wyszedł prawdopodobnie poza etap przygotowań, ale pozostaje dobrym źródłem wiedzy o psychicznym stanie Chrobrego, który nie mógł się doczekać korony.

NIE WYSTARCZY PRZEKUPIĆ PAPIEŻA

W 1024 sytuacja polityczna obróciła się nagle na jego korzyść, bo odeszło dwóch ludzi, którzy mogli blokować jego kandydaturę do korony. 9 kwietnia zmarł papież Benedykt VIII, który współpracował z wielkim przeciwnikiem Chrobrego – cesarzem Henrykiem II, który umarł 13 lipca. Rozpoczął się kryzys sukcesyjny w obu tych ośrodkach ważnych z punktu widzenia królewskich roszczeń Bolesława.

Tron Piotrowy już po 10 dniach objął brat zmarłego papieża Romanus, który przyjął imię Jana XIX. O ile Benedykt VIII znany był z rygoryzmu moralnego i ortodoksji teologicznej, o tyle jego następca wsławił się głównie skłonnością do przekupstwa. Poza tym był wcześniej człowiekiem świeckim i otrzymał wszystkie święcenia hurtem, w dzień po wybraniu na papieża. Ta słabość jego kanonicznej

eprasa.pl 8d168fc391

legitymacji i skłonności korupcyjne dobrze rokowały dla pozyskania czy wręcz kupienia papieskiego błogosławieństwa dla piastowskiej korony.

Natomiast cesarstwo pogrążyło się w długotrwałym chaosie walki o władzę. Osłabiło to zewnętrzną aktywność imperium nawet po wyborze Konrada II, który musiał wpierw spacyfikować opozycję wewnętrzną. Następnie wyruszył do Rzymu, aby podporządkować sobie nowego papieża, który miał mu udzielić godności cesarskiej. Nie miał więc czasu na interwencję u wschodniego sąsiada.

Niestety, niczego nie wiemy o przebiegu starań o papieską akceptację dla piastowskiej koronacji. Niektórzy badacze wykorzystują to milczenie źródeł jako wskazówkę, że Bolesław sam ją przeprowadził, nie prosząc nikogo o zgodę. Byłby to psychologicznie zrozumiały akt desperacji, sprzeczny jednak z wykazaną już w 1003 roku jego świadomością wymogu uzyskania papieskiej zgody na namaszczenie i poświęcenie korony. Doświadczenie musiało mu podpowiadać, że ostentacyjne zignorowanie prerogatyw papieskich byłoby zbyt ryzykowne, bo dawałoby podstawy do podważania legalności tytułu królewskiego.

Miał też na pewno świadomość, że korona musi kosztować. Pietro Damiani, italski autor „Żywota św. Romualda”, napisał, że już starając się w 1003 o koronę, Bolesław był gotów wysłać cenne dary papieżowi Janowi XVII. Powtórzenie tego z Janem XIX miało duże szanse powodzenia. Trzeba było się jednak spieszyć, wykorzystać kłopoty Konrada II, który musiał przekonać do siebie wszystkie kraje Rzeszy.

KILKA WAŻNYCH ZDAŃ

Nie znamy żadnych szczegółów koronacji Bolesława Chrobrego, bo zachowane informacje są bardzo lakoniczne. Wipon, kapelan i biograf Konrada II, streścił wszystko w zaledwie jednym, ale znaczącym zdaniu: „ [w 1025 r.] Słowianin Bolesław, książę Polaków, zdobył z krzywdą króla Konrada insygnia królewskie i tytuł królewski”.

Trochę bardziej rozpisał się rocznikarz ulokowany w saskim Quedlinburgu: „Kiedy Bolesław książę Polski dowiedział się o śmierci dostojnego cesarza Henryka [...], zuchwale ośmielił się namaścić i przez uzurpację koronę sobie nałożyć”.

Najbardziej wstrzemięźliwy był komentator z nadreńskiego opactwa w Nowej Korbei (dzisiejsze Corvey), który w 1025 r. zanotował tylko, że „Bolesław Słowianin został namaszczony na króla”.

Trzej cesarscy komentatorzy nie mogli pominąć ważnej informacji o koronacji Chrobrego, ale z ich wzmianek łatwo wyczytać, że została przyjęta w cesarstwie z oburzeniem. Bo też ostatecznie potwierdzała niezależność państwa polskiego, a Bolesława stawiała w ekskluzywnym rzędzie pomazańców, których władza miała wymiar nie tylko polityczny, ale i sakralny. Mimo oczywistego zaskoczenia koronacją polskiego władcy w tych gorzkich komentarzach nie widać prób podważenia legalności jego tytułu królewskiego, którego nawet cesarz nie mógł zakwestionować. Kronikarzy oburzyła tylko samowola Chrobrego, który miał wykorzystać zamieszanie spowodowane śmiercią Henryka II.

I to jest wszystko, co wiemy! Nie wiadomo, kiedy dokładnie i gdzie dokonano koronacji. Nie wiemy też, jakich insygniów w niej użyto, bo żadne z tamtych regaliów nie zachowało się do naszych czasów. Niemiecka żona Mieszka II, syna i następcy Bolesława, Rycheza Lotaryńska po jego ucieczce z Polski wyjechała w 1031 roku do Niemiec, wywożąc ze sobą insygnia koronacyjne. Zapewne przekazała je cesarzowi Konradowi II, który nie miał żadnego powodu, aby je przechować. Tak zwana korona Bolesława Chrobrego używana do XVIII wieku do intronizowania polskich władców i wykorzystana w portretach Bacciarellego i Matejki była koroną wykonaną na potrzeby koronacji Władysława Łokietka w 1320.

ŚLAD MANIPULACJI

Tradycja nie przechowała nawet daty tego ważnego wydarzenia. Wiemy tylko, że musiało do niego dojść jakiś czas przed śmiercią Bolesława 17 czerwca 1025 roku. Mogło to się stać zarówno znacznie wcześniej, jak i tuż przed jego zgonem. Lansowana dziś data 18 kwietnia jest tylko domysłem sugerującym ówczesną Wielkanoc, co pozwala zgrabnie połączyć w obchodach wymiar polityczny z religijnym. Osobiście podejrzewam, że ambitny władca, który tak długo czekał na formalne ukoronowanie swoich długich rządów, nie rozważał żadnych opcji kalendarzowych, tylko zarządził „natychmiastowe” przeprowadzenie uroczystości.

Koronatorem musiał być najpewniej metropolita gnieźnieński, bo wątpliwe, aby sprowadzono zagranicznego hierarchę. Najpewniej mógł być to arcybiskup Hipolit, o którym wiemy tylko tyle, że zmarł w 1027 roku. Zgodnie z wymogami kanonicznymi obrzęd namaszczenia czoła, piersi i dłoni monarchy musiało koncelebrować co najmniej dwóch niezidentyfikowanych biskupów. Dopiero wtedy można było nałożyć królowi jego koronę.

Wobec udokumentowanych reakcji komentatorów niemieckich zdumiewa brak wzmianek o koronacji w źródłach powstałych w Polsce. Trzeba w tym podejrzewać chęć przedłużenia wstecz o ćwierćwiecze jego królewskich rządów, co miało wzmocnić mit Bolesława jako władcy wyjątkowo szybko docenionego koroną królewską. Unikatowy dowód pamięci o tej manipulacji znajdziemy tylko w rękopisie sieniawskim „Rocznika wielkopolskiego”, w którym pod rokiem 1025 roku zapisano, że „Bolesław Pierwszy został królem”.

Potwierdzenie koronacji w 1025 roku znajdziemy w „Kronice Czechów” Kosmasa. Praski kanonik, który szczerze Chrobrego nienawidził za krzywdy wyrządzone ongiś przez niego państwu Przemyślidów, konsekwentnie nazywał go „księciem”. Dopiero pod rokiem 1025 napisał jednoznacznie, że „17 czerwca umarł król Bolesław”. Ale już mnisi z Lüneburga z rozmysłem wpisali do swojej „księgi zmarłych” śmierć „księcia Bolesława”, bo trudno podejrzewać u nich brak stosownej wiedzy.

Można się domyślać, że świeżo namaszczony król niedługo cieszył się koroną, bo śmierć dosięgła go wkrótce po jej zdobyciu. Nie byłoby to dziwne, bo miał już 58 lat, co wówczas było zaawansowanym wiekiem i był sterany 33-letnimi rządami, które obfitowały w wojny, co wymagało dużego wysiłku. Śmierć spowodowana wzruszeniem po osiągnięciu upragnionego celu nie byłaby więc zaskoczeniem. ●

• **Namalowany na miedzianej płycie portret Bolesława Chrobrego pędzla Marcello Bacciarellego. Obraz znajduje się na Zamku Królewskim w Warszawie**

FOT. ZE ZBIORÓW ZAMKU KRÓLEWSKIEGO W WARSZAWIE

Rocznikarz z klasztoru w saskim Quidlenbugu, zanotował: „Kiedy Bolesław książę Polski dowiedział się o śmierci dostojnego cesarza Henryka [...], zuchwale ośmielił się namaścić i przez uzurpację koronę sobie nałożyć”

REKLAMA

34370600

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

Volkssturm

OSTATNIA NADZIEJA RZESZY

Pod koniec wojny na front wysyłano chłopców na rowerach z wiązkami granatów przytroczonych do kierownic. Niektórzy byli tak młodzi, że zamiast przydziałowego tytoniu wydawano im cukierki.

Joanna Banaś

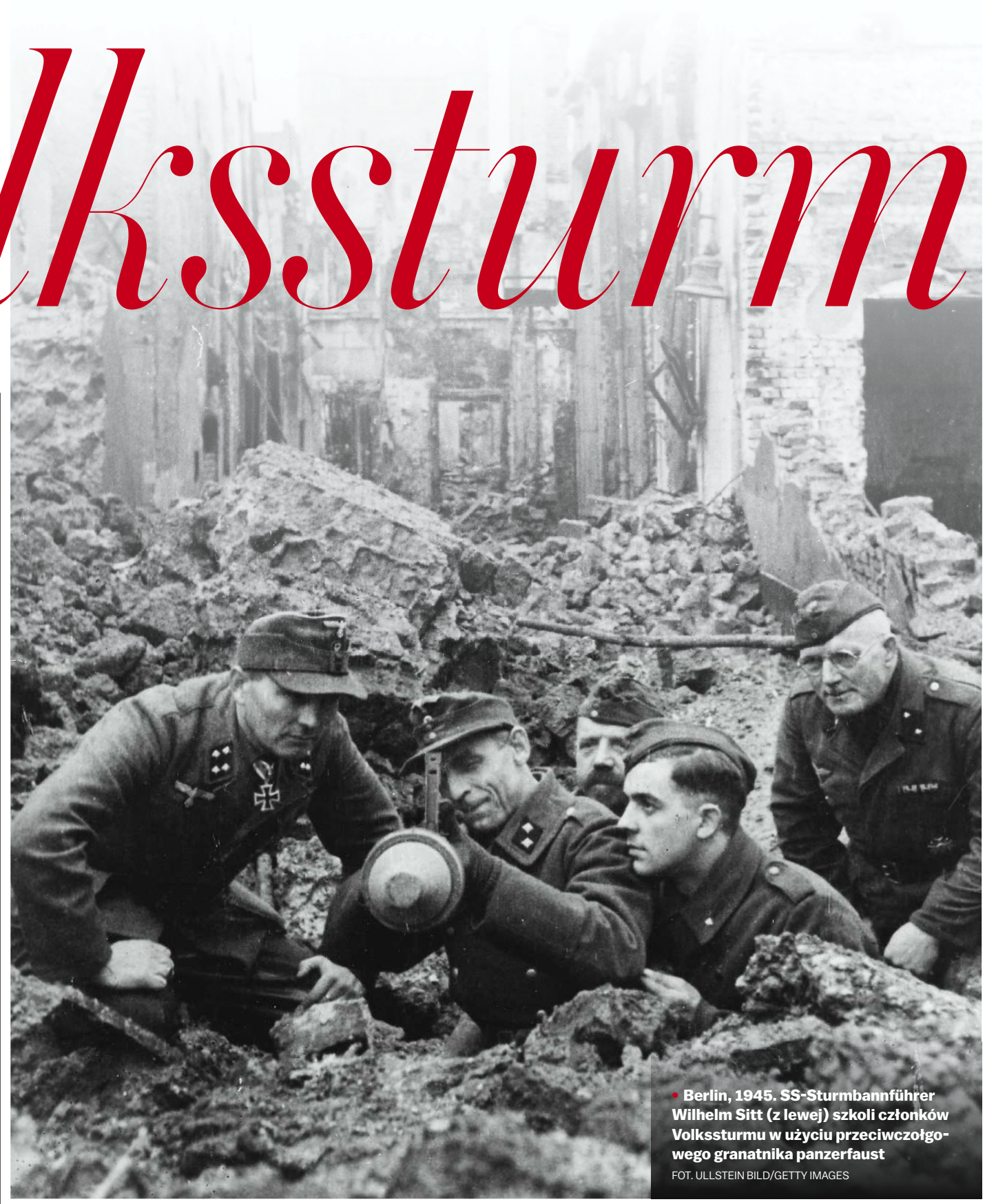

Berlin, 1945. SS-Sturmbannführer Wilhelm Sitt (z lewej) szkoli członków Volkssturmu w użyciu przeciwczołgowego granatnika panzerfaust
FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

„Nie wierzę w tzw. levée en masse [powszechny pobór]" – mówił Adolf Hitler w kwietniu 1937 roku podczas inauguracji Szkoły Junkrów SS kształcącej oficerów. Jednak gdy zachodni alianci stali już pod Akwizgranem, Führer podpisał dekret o utworzeniu niemieckiego Volkssturmu datowany na 25 września 1944 roku.

Kilka dni wcześniej Heinrich Himmler zapowiedział powszechny pobór „od chłopca po starca". „Gdziekolwiek wróg nie próbowałby uderzyć, tam napotka fanatyczny, walczący do końca naród, którego nie zdoła pokonać" – entuzjazmował się Reichsführer-SS na spotkaniu z dowódcami okręgów i komendantami uczelni wojskowych.

Dla nowej formacji wybrano nazwę kojarzącą się pozytywnie z Landsturmem, oddziałami pruskiego pospolitego ruszenia powołanymi 21 kwietnia 1813 roku do walki z armią Napoleona.

Do Volkssturmu mieli być wcieleni mężczyźni w wieku 16-60 lat zdolni do noszenia broni. Formacja została podporządkowana dowództwu wojskowemu Himmlera. Odpowiadał za organizację wojskową, szkolenie, wyposażenie i zaopatrzenie, podlegały mu też operacje bojowe. Dowództwo organizacyjne otrzymał faktyczny przywódca NSDAP Martin Bormann. Za formowanie lokalnych oddziałów odpowiadali podlegli mu gauleiterzy, szefowie partii w okręgach. Oni pierwsi dostali tajną informację o podpisaniu dekretu, opinia publiczna o powołaniu Volkssturmu miała bowiem dowiedzieć się dopiero po powstaniu pierwszych jednostek.

Podzieloną na drużyny, plutony, kompanie i bataliony formację mieli szkolić weterani wojenni, policjanci i inni „kompetentni towarzysze partyjni". Ćwiczenia, organizowane co najmniej raz w tygodniu, miały się koncentrować na zwalczaniu czołgów i walce w formacjach piechoty.

Minister propagandy Joseph Goebbels 27 września zanotował w swoim dzienniku: „Führer obiecuje sobie po sformowaniu Volkssturmu wielki sukces podnoszący morale narodu niemieckiego".

FÜHRER WZYWA DO WALKI

Jednostki pospolitego ruszenia od razu gorliwie przystąpiły do działań. Już od 7 października zabezpieczały rejon Kłajpedy. Tydzień później w Duisburgu świeżo sformowana drużyna zatrzymała „podejrzanie wyglądającego" Rosjanina z grupy sprzątającej miasto. Został rozstrzelany, bo volkssturmiści słyszeli, że rosyjscy jeńcy jedli ukradziony dżem w piwnicy pobliskiego zbombardowanego domu.

Wkroczenie Amerykanów do Akwizgranu (18 października) i ofensywa wojsk sowieckich w Prusach Wschodnich (16 października) oznaczały konieczność użycia Volkssturmu do walki. Należało zatem oficjalnie poinformować o powstaniu nowej formacji. Podczas głównych uroczystości w Królewcu 18 października, w rocznicę bitwy narodów pod Lipskiem w 1813 roku, Himmler przypominał rolę Landsturmu w wojnie wyzwoleńczej z Napoleonem. I apelował: „Naszych wrogów trzeba nauczyć, że każdy kilometr wdzierania się w głąb naszego kraju będzie ich kosztował rzeki krwi. Każdy budynek w mieście, każda wieś, każda farma, każdy las będzie broniony przez mężczyzn – młodych i starszych, a jeśli będzie trzeba, to i przez dziewczęta i kobiety".

W nocy z 18 na 19 października w Rzeszy zawisły plakaty z dekretem Führera, który wzywał „wszystkich zdolnych do noszenia broni niemieckich mężczyzn, aby stanęli do walki".

Gen. Hans Kissel, dowódca Volkssturmu w Berlinie, już w sowieckiej niewoli oceniał: „Uważano powszechnie, że jeżeli Wehrmacht nie był zdolny do stawienia czoła sytuacji, tym bardziej nie będzie w stanie uczynić tego Volkssturm". Mimo to mobilizacja przebiegała bez zakłóceń.

Już 20 października gauleiter Hanoweru Południowego-Brunszwiku meldował o sformowaniu 100 batalionów (50 tys. mężczyzn) i zapowiedział drugie tyle. Gauleiter Gdańska-Prus Zachodnich powołał pod broń ponad 70 tys. mężczyzn.

Goebbels 23 października odnotował, że tylko w Berlinie zgłosiło się ponad 68 tys. ochotników i „gdybyśmy mogli wyposażyć ich w broń, nie musielibyśmy się już o nic martwić w stolicy Rzeszy".

W Prusach Wschodnich w połowie listopada działało 90 batalionów, w Turyngii – 320 (210 tys. mężczyzn), a we Frankonii do grudnia sformowano 146 batalionów.

Goebbels z pracowników swojego resortu stworzył dwa bataliony. Pomny zamachu na Hitlera z 20 lipca chciał je uzbroić szczególnie solidnie, by mieć własną straż przyboczną.

KTO NA FRONCIE, A KTO W DOMU

Pobór podzielony był na cztery kontyngenty. Początkowo pierwszy kontyngent (Aufgebot I) obejmował mężczyzn z roczników 1884-1928, ale już 3 listopada zawężono przedział wiekowy do lat 1884-1924. Ponad dwie trzecie z nich miało za sobą służbę na frontach Wielkiej Wojny. Ten kontyngent miał jako jedyny być skoszarowany i przeznaczony do walki poza swoim rejonem.

eprasa.pl 8d168fc391

Drugi składał się z mężczyzn w tym samym wieku, ale niezbędnych dla prowadzenia wojny, np. pracujących w fabrykach zbrojeniowych. Mieli być mobilizowani na krótko i w pobliżu miejsca pracy.

Chłopcy z roczników 1928-1925, członkowie Hitlerjugend lub Służby Pracy Rzeszy, tworzyli trzeci kontyngent. W odróżnieniu od naboru nastolatków do Wehrmachtu (na apel szefa Hitlerjugend Artura Axmanna zgłosiło się 70 proc. rocznika 1928) pobór do Volkssturmu nie był dobrowolny – rodzicom groziły kary za niestawienie się ich synów.

Czwarty kontyngent obejmował mężczyzn niezdolnych do służby bojowej, którzy mogli pełnić zadania ochroniarskie i stróżujące.

Lekarze z komisji mieli bagatelizować schorzenia kandydatów, przez co wcielano coraz więcej inwalidów i niepełnosprawnych. W Bremie powołano weterana, który nie widział na jedno oko, a na drugie ledwie w 13 proc. Wielu niepełnosprawnych próbowało się wyreklamować, jednak dowódcy byli bezlitośni – jeden z nich napisał, że tych, którzy marnują papier na bzdurne prośby, powinno się karać. Gdy jednak Niemcy zaczęli określać Volksssturm jako „ostatni sort”, 2 marca 1945 roku gauleiterzy dostali wytyczne, by nie powoływać już osób z ponad 70-procentowym uszczerbkiem na zdrowiu.

Na kartach mobilizacyjnych członków Volkssturmu widniała adnotacja, że są żołnierzami w rozumieniu prawa wojennego (konwencja haska z 1907 roku), co miało znaczenie w przypadku wzięcia do niewoli.

Pod koniec wojny pojawiły się zapowiedzi Wunderwaffe, cudownej broni, która odwróci losy wojny. Natychmiast zaczęły krążyć dowcipy: „Kiedy broń V będzie gotowa do użytku? Gdy na wszystkich domach starców pojawi się tabliczka »Zamknięte z powodu poboru«”. A gdy do Volkssturmu zaczęto wcielać 65-latków, drwiono, że zwolnienie z poboru przysługuje każdemu z nich, jeśli udowodni, że jego ojciec służy na froncie.

WYBÓR DO POBORU

Początkowo do Volkssturmu wcielano kryminalistów i więźniów politycznych, aby wykazali się jako „pełnowartościowi członkowie wspólnoty narodowej”. Ale w NSDAP uznano, że ułatwi to komunistom i pozostałym opozycjonistom prowadzenie agitacji, więc 9 grudnia Bormann zabronił ich powoływania.

Tylko jedna grupa była bez wyjątków wykluczona z Volkssturmu: Żydzi półkrwi, czyli – w myśl ustaw norymberskich – ci, którzy mieli jednego „w pełni żydowskiego” rodzica albo dwoje „w pełni żydowskich” dziadków. Natomiast Żydzi ćwierćkrwi mogli służyć, choć nie dowodzić.

W sztabie Himmlera wyliczono, że Volkssturm powinien liczyć 6 mln żołnierzy: 1,2 mln – pierwszy kontyngent, 2,8 mln – drugi, trzeci – 600 tys., a czwarty – 1,4 mln. Gdyby jednak powołać każdego pełnosprawnego mężczyznę, Volkssturm mógłby liczyć nawet 13,5 mln ludzi, ponad 2 mln więcej niż Wehrmacht pod koniec wojny.

Powszechnej mobilizacji towarzyszyła walka o karty przydziału (Z-Karte, od: Zuteilungskarte) gwarantujące zakwalifikowanie do drugiego kontyngentu. Ich posiadacze nie byli skoszarowani i wysłani na front. W ministerstwie propagandy prawie połowa z 2459 wcielonych dostała taką kartę, wkrótce określaną szyderczo „kartą odroczenia” (Zurückstellungkarte).

W Wehrmachcie służyli w większości mężczyźni do 45. roku życia, jedynie oficerowie od kapitana wzwyż i specjaliści byli starsi. W efekcie w całej Rzeszy zadania młodych mężczyzn wcielonych do armii musieli przejąć starsi. Ale gdy i po nich zgłosił się Volkssturm, urzędy i zarządy fabryk starały się na wszelkie sposoby zaklasyfikować ich jako niezbędnych. Nawet inspektorzy mięsa i pracownicy przetwórstwa spirytusu nagle zaczęli wykonywać prace „ważne z punktu widzenia wojny”.

Na początku 1945roku podczas narady u Himmlera sztab Volkssturmu zauważył, że do pierwszego kontyngentu powołano tak wielu mężczyzn, że „interesy przemysłu zostały poważnie naruszone”. 23 stycznia Goebbels odnotował, że z Górnego Śląska idą mniejsze dostawy węgla, bo wielu górników wcielono do Volkssturmu.

Hitlera nie interesowało jednak, jak gospodarka będzie funkcjonować bez siły roboczej.

SAMI SIĘ UMUNDURUJCIE 12 listopada 1944 roku volkssturmiści składali w całym kraju przysięgi wierności Hitlerowi. Ślubowali, że raczej umrą, niż „zdradzą wolność i przyszłość narodu”. Goebbels nie krył dumy: „W Berlinie [zaprzysiężenie] odbywa się na dziesięciu placach z udziałem około stu tysięcy ludzi, którzy po raz pierwszy stają do szeregu. [...] Zgromadzeni robią znakomite wrażenie. Wielu z nich ma broń. O udziale dzieci i starców nie ma w ogóle mowy [...]. Mężczyźni maszerują przede mną ze świętą powagą, a po ich twarzach widać, że Volkssturm jest dla nich wszystkim, tylko nie zabawą”.

Nieoficjalnym hymnem Volkssturmu stał się bombastyczny marsz Arno Parduna z 1931 roku dedykowany Goebbelsowi „Siehst du im Osten das Morgenrot?” (Czy widzisz jutrzenkę na wschodzie?) z refrenem: „Volk ans Gewehr, Volk ans Gewehr!” (Narodzie, do broni!).

Himmler zapowiedział, że bataliony zostaną wyposażone „dzięki energii i improwizacji”, a wyszkolone „w niezmordowanej pilności”. Nie zdradził tajemnicy – wszyscy zdawali sobie sprawę, że bez improwizacji się nie obędzie.

Każdy volkssturmista miał załatwić sobie jakikolwiek mundur (odnotowano wzrost liczby włamań do magazynów mundurowych takich instytucji jak kolej i poczta), do tego jakąś pelerynę, buty, płaszcz, plecak, koc, menażkę i bidon. Wszyscy dostali jedynie czarno-białe opaski z napisem „Deutscher Volkssturm – Wehrmacht”, by spełniać wymogi bycia żołnierzem.

Umundurowanie volkssturmistów okazało się misją niewykonalną, szukano zatem alternatywnych rozwiązań. Gauleiter Pomorza Wschodniego Erich Koch za pośrednictwem Alberta Speera, ministra uzbrojenia i amunicji, zlecił zakup na czarnym rynku we Włoszech, po cenach zawyżonych nawet o 1000 proc., 25 tys. par butów i 200 tys. metrów materiału na mundury. Speer stworzył urząd swojego pełnomocnika w Mediolanie, który zatrudniał ponad 200 osób i wydawał co miesiąc miliardy lirów.

PODTRZYMAĆ DUCHA

Także szkolenie światopoglądowe nie przebiegało wedle założeń. Rekruci nie mieli czasu ani sił na słuchanie patriotycznych wykładów. W lutym 1945 roku w Dreźnie robotnicy musieli uczestniczyć w codziennych spotkaniach Volkssturmu, podczas których godzinami słuchali o bohaterskiej śmierci, honorze i chwale prastarej Ojczyzny. Jedenastoletni wówczas Dieter Patz wspominał, że jego ojciec wracał z tych odpraw „długo po kolacji i ze zmęczenia ledwie trzymał się na nogach”.

Nastolatków szkolono w specjalnych obozach, starsi przechodzili najwyżej 14-dniowe szkolenie w weekendy, głównie w niedzielne wieczory. Uznano, że skoro wielu z nich walczyło podczas I wojny, poradzą sobie i tym razem.

Wiosną problemy z czasem na szkolenie się pogłębiły, bo w niedziele Niemcy uprawiali grządki i ogródki. Powołanym rolnikom coraz trudniej było łączyć służbę z pracą na roli, tym bardziej że odbierano im konie i wozy potrzebne wojsku. Dlatego jednostki z terenów wiejskich służyły tylko co drugą niedzielę, a ćwiczyły dwie noce w tygodniu.

13 lutego drezdeński Volkssturm zorganizował ostatkowe spotkanie w restauracji w podziemiach teatru przy prestiżowej Prager Strasse. Miejsce wydawało się bezpieczne, ale gdy zaczął się aliancki nalot dywanowy, wszyscy uczestnicy spotkania przy piwie zmarli zatruci tlenkiem węgla.

JAK WINNETOU I OLD SHATTERHAND

Szefem sztabu Volkssturmu został Gottlob Berger, szef Głównego Urzędu SS. Wiedział, że szkolenie bojowe było powierzchowne, stawiał więc na spryt i taktykę partyzancką. Zupełnie serio zalecał swoim żołnierzom czytanie książek Karola Maya jako „materiału szkoleniowego”. Podczas szkoleń także trzeba było improwizować, np. strzelano granatami z pistoletów sygnałowych. Pewien Szwajcar w kwietniu 1945 roku widział ćwiczenia nieumundurowanych mężczyzn biegających po ruinach kamienic i po parku, a ponieważ nie mieli karabinów, odgłos strzelania symulowali waleniem kijami w puste puszki.

Broni dla Volkssturmu nie było, bo nawet Wehrmachtowi brakowało w październiku 1944 roku ponad 700 tys. karabinów. W listopadzie w okręgach „zagrożonych przez wroga” volkssturmiści mieli zaledwie 181 karabinów maszynowych, choć potrzebowali ich ok. 75 tys. Ale „Wochenschau” (kronika filmowa) i tak odtrąbiła gotowość Volkssturmu do walki.

Do końca stycznia 1945 roku Volkssturmu dysponował zaledwie 40,5 tys. karabinów i 2,9 tys. karabinów maszynowych różnych marek, często zdobycznych, często wycofanych z użytku lub niesprawnych. Niekiedy na jeden karabin przypadało ledwie 15 nabojów, a jeden z batalionów dostał 1200 granatów bez zapalników.

Główną bronią końca wojny były panzerfausty, których ponad 6 mln dostały oddziały Wehrmachtu, Waffen SS i Volkssturmu. Hitler uważał je za cudowną broń. Dziennik „Völkischer Beobachter” drukował szkice prawidłowego użycia tych granatników, a kroniki filmowe pokazywały szkolenia z tej broni. Panzerfaust, czyli tak naprawdę granat w rurze, był pierwszą jednorazową bronią przeciwpancerną

REKLAMA

34371140

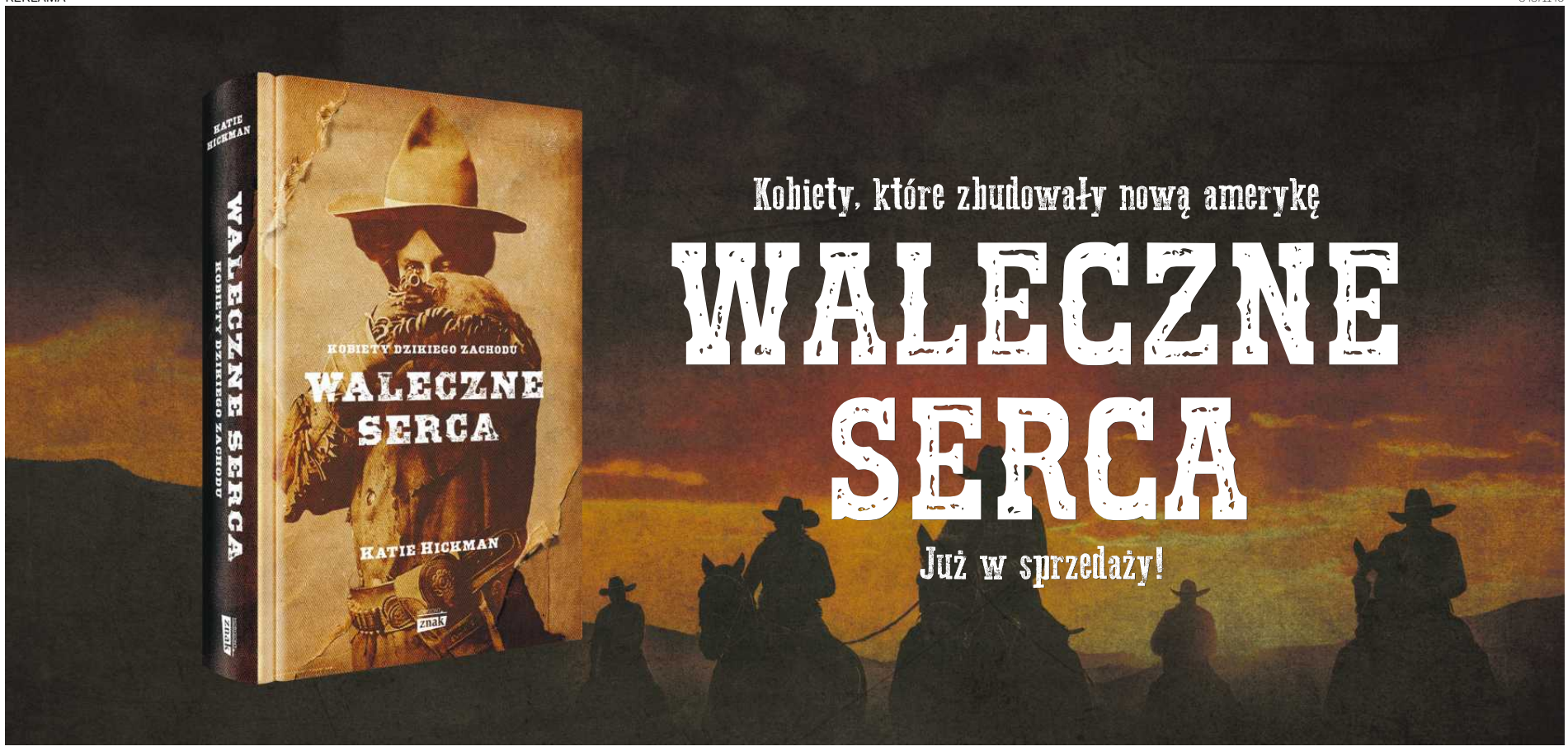

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

zdolną przebić pancerz każdego pojazdu. Mógł zniszczyć czołg i zabić załogę. Trzeba było jednak strzelać z bliska, więc operator panzerfausta wystawiał się nie tylko na ostrzał karabinów maszynowych czołgu, ale i na zranienie częściami eksplodującego pojazdu.

Bronią Volkssturmu był też karabin składak (Volkssturmgewehr), którego wyprodukowano ok. 55 tys., ale nie dało się z niego celnie strzelać. Także pseudogranat (Volkshandgranate 45) będący betonową kulką mieszczącą mały ładunek wybuchowy z zapalnikiem, był bardziej niebezpieczny dla rzucającego niż jego celu.

PSEUDOARMIA BEZ SUKCESÓW

Ponieważ volkssturmiści nie byli ani odpowiednio uzbrojeni, ani przeszkoleni, kierowano ich głównie do ochrony granic lub tyłowych pozycji, obsadzania umocnień, w tym twierdz oraz stawiania zapór przeciwpancernych. Pomagali w ewakuacji miast i miasteczek. Od października 1944 roku kopali okopy w Prusach Wschodnich, ale niemiecka armia wycofywała się tak szybko, że nie zdążyła ich wykorzystać. Klęską zakończyła się w styczniu 1945 próba obrony Kraju Warty przez Volkssturm. Niektóre bataliony okopały się w miastach ogłoszonych twierdzami, jak Küstrin (Kostrzyn nad Odrą), Kolberg (Kołobrzeg) i Breslau (Wrocław).

Siła bojowa Volkssturmu była mizerna, ale jego struktura aż do najniższego szczebla odpowiadała partyjnej, więc formacja spełniła polityczne zadanie: wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni podlegali jurysdykcji SS i sądów wojennych. W ten sposób władze Trzeciej Rzeszy zwalczały groźbę wybuchu wewnętrznej rewolty.

W ostatnich miesiącach wojny volkssturmiści pilnowali więźniów obozów koncentracyjnych, pędzonych w marszach śmierci na zachód. Jeden z więźniów z KL Stutthof wspominał, że nosił plecak leciwego volkssturmisty, który miał mu powiedzieć, że nie miałby nic przeciwko, gdyby ten uciekł. Zdaniem Svena Kellera, niemieckiego historyka specjalizującego się w dziejach Trzeciej Rzeszy, właśnie w związku z obowiązkami wartowniczymi ludzie Volkssturmu byli często kojarzeni ze zbrodniami fazy końcowej.

ZZ NAJWYŻSZĄ SUROWOŚCIĄ"

„Wręcz zawstydzająco brzmią meldunki, że nieprzyjaciel znalazł w Kolonii mężczyzn jeszcze zdolnych do walki. Gdyby ich w odpowiednim czasie posłano na front, wyglądałoby to wszystko teraz lepiej, aniżeli niestety przedstawia się faktycznie" – notował Goebbels 8 marca 1945 roku.

Nie tylko on zauważył problem: 28 marca Himmler ogłosił, że m.in. wywieszanie białych flag i niestawianie się do służby w Volkssturmie będzie karane z „najwyższą surowością".

Do akcji natychmiast przystąpił Goebbels z nowymi sloganami patriotycznymi, a kroniki filmowe pokazywały dumne pododdziały Volkssturmu ślubujące Führerowi i otrzymujące panzerfausty. „Przed moim oknem przeciągają śpiewające bataliony Volkssturmu. Przynajmniej w Berlinie organizuje się obronę dalej" – notował Goebbels 28 marca. Ale w rzeczywistości był coraz większym pesymistą, „ponieważ z samym tylko Volkssturmem nie uda się obronić Berlina" – pisał dzień później.

Gdy 20 kwietnia Armia Czerwona zamknęła pierścień wokół Berlin, marszałek Gieorgij Żukow zaatakował siłą 2,5 mln żołnierzy. Naprzeciw stało 750 tys. wyczerpanych Niemców, w tym połowa volkssturmistów. „Jednostki przeciwpancerne" z panzerfaustami miały się ukrywać w okopach, ruinach lub za gruzami, dopóki radziecki czołg nie zbliży się na odległość 50 m lub bliżej. Dopiero wtedy strzelali, używając metalowej blachy jako celownika, i uciekali. Uszkodzony pojazd blokował przejazd i spowalniał natarcie przeciwnika.

Nie wiadomo, ilu członków „jednostek przeciwpancernych" zginęło, próbując zbliżyć się do czołgów, by je zniszczyć. Nie sposób też ustalić, jaka część z około 2 tys. radzieckich czołgów zniszczonych w bitwie o Berlin została trafiona z granatników.

DZIECI HITLERA WALCZĄ NA ROWERACH

O ile wcześniej dzieci ewakuowano z miast dla ich bezpieczeństwa, o tyle pod koniec wojny na front wysyłano chłopców na rowerach z wiązkami granatów przymocowanych do kierownic. „Lepiej żeby te młode roczniki zginęły, a naród ocalał, niż oszczędzić młodych, żeby cały 80-, 90-milionowy naród wyginął" – tak tłumaczył to Himmler. Niektórzy chłopcy byli tak młodzi, że zamiast przydziałowego tytoniu wydawano im cukierki.

Tuż przed kapitulacją, 26 kwietnia, w Greifswaldzie podczas szkolenia z obsługi panzerfausta zginęło 22 nastolatków dopiero co wcielonych do Volkssturmu. Spoczęli w zbiorowym grobie.

W Festung Breslau Volkssturmem dowodził Otto Herzog, weteran kampanii francuskiej z 1940 roku, który zorganizował 38 batalionów Volkssturmu, bojowych lub roboczych, w zależności od możliwości członków. Dodatkowe dwa sformował z członków Hitlerjugend.

11 marca, w Dzień Pamięci Bohaterów, 150 obrońców Breslau z ust generała Hermanna Niehoffa, ostatniego komendanta twierdzy, usłyszało, że mają się trzymać, „nawet gdyby na koniec z miasta nie zostało nic więcej, tylko morze ruin". Potem rozdał odznaczenia za dzielność. Każdy, kto zniszczył sześć radzieckich czołgów z panzerfausta czy innej broni bliskiego zasięgu, dostawał najwyższe odznaczenie wojskowe – Krzyż Rycerski.
Historycy obliczają, że na front wysłano od pół miliona do miliona żołnierzy Volkssturmu, szacują to na podstawie liczby członków tej formacji zaginionych między listopadem 1944 a majem 1945, których było 175 tys. Najcięższe straty ponosili w miastach-twierdzach, w Küstrin od stycznia do końca marca załoga Wehrmachtu broniąca miasta stopniała z 11 tys. do 1200 ludzi, a volkssturmistów z 900 do 118.

Zachodni alianci przyznawali volkssturmistom wziętym do niewoli status kombatanta. Zresztą chęć do walki była tam słabsza, za to chęć poddania się Amerykanom – większa, nad czym Goebbels ubolewał już w marcu.

Inaczej na froncie wschodnim: żołnierze świadomi sowieckich zbrodni byli zmotywowani do walki, poza tym wiedzieli, że poddanie się Armii Czerwonej nie gwarantowało bezpieczeństwa – byli raczej uznawani za partyzantów i często rozstrzeliwani. Kobiety pozbywały się broni i mundurów volkssturmistów wracających do domów, mówiono bowiem, że krasnoarmiejcy zabijają wszystkich mieszkańców budynku, w którym znajdą broń.

6 maja 1945 roku w bunkrze Volkssturmu przy Georg-Bender-Platz (dziś pl. Staszica we Wrocławiu) zebrali się członkowie NSDAP z osiedla. Dowódca oznajmił, że twierdza Breslau padła. Do ogniska rozpalonego na dziecińcu wrzucono akta, dokumenty, legitymacje członkowskie, medale i odznaczenia. ●

Korzystałam m.in. z książek: Nikolas Stardardt, „Wojna Niemców. Naród pod bronią 1939-1945"; Klaus Mammach, „Der Volkssturm"; Joseph Goebbels, „Dzienniki. Tom 3, 1943-1945" w opracowaniu i tłumaczeniu Eugeniusza Cezarego Króla; Sinclair McKay, „Drezno 1945. Ogień i mrok"; Richard Hargreaves, „Breslau 1945. Ostatnia twierdza Hitlera"; Richard Grunberger, „Historia społeczna Trzeciej Rzeszy"

Historia krzepi

Zawłaszczanie Piasta

Jarosław Kaczyński przedstawia antyniemieckość jako dziedzictwo Bolesława Chrobrego. Tak jak Dmowski i Gomułka.

NB

Gdyby marsz, organizowany przez Jarosława Kaczyńskiego pod hasłem uhonorowania 1000-lecia koronacji Bolesława Chrobrego i 500-lecia hołdu pruskiego, rzeczywiście był wyrazem szacunku dla naszej historii, można by tylko przyklasnąć. Kiedy zmiany galopują w zawrotnym tempie, potrzebujemy zakorzenienia w przeszłości, będącej ważnym elementem polskiej tożsamości.

Jednak nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć, że w imprezie Kaczyńskiego historia będzie tylko kostiumem antyniemieckiej propagandy. Antygermańskimi hasłami prezes PiS manipuluje od dawna, chcąc fałszywymi zarzutami zdyskredytować Platformę Obywatelską. Temu przecież służy hejt wymierzony w Donalda Tuska, czyniący z niego narzędzie Berlina.

Kaczyński nie jest pierwszym politykiem sięgającym po hasła antyniemieckie, przedstawiane jako dziedzictwo Chrobrego. Prekursorem takiej strategii był Roman Dmowski, lider nacjonalistycznej i populistycznej Narodowej Demokracji. Zaczął w ostatnim ćwierćwieczu zaborów, kiedy zagrożenie niemieckie miało autentyczny charakter. Teza Dmowskiego o nawale germańskiej, od wieków miażdżącej polskość, stanowiła reakcję na brutalną germanizację zaboru pruskiego. Uzasadniała pojednanie z Rosją, wcześniej uważaną za największego wroga. Dmowski wierzył, że Polacy i Rosjanie, jeśli chcą ocalić swoją podmiotowość, muszą wspólnie zgotować Niemcom nowy Grunwald, tym razem pod wodzą Romanowów, bo taka jest logika historii.

Antyniemiecki kurs endecja kontynuowała w odrodzonej Polsce, wykorzystując go w starciu z obozem piłsudczykowskim. Odwołując się do niedawnych sporów z I wojny światowej, kiedy to Piłsudski i jego legionowi podkomendni byli sprzymierzeńcami Wiednia i Berlina, zarzucała rywalom proniemieckie zaślepienie i zdradę narodową.

Dmowski wyłożył to w 1925 roku w dwutomowym dziele „Polityka polska i odbudowanie państwa". „Książkę tę poświęcam – zaznaczył – tym wszystkim, którzy noszą w duszach i usiłują wykonać testament Chrobrego". W nim endecja widziała patrona tak jak ona, broniącego Polskę przed niemieckim naporem. Miał być wyrzutem sumienia dla Piłsudskiego, marnotrawiącego dziedzictwo Piastów w pogoni za mrzonkami, takimi jak plan odbudowy państwa ukraińskiego. Mówiono o tym w czasie endeckich obchodów 900-lecia koronacji Chrobrego, szczególnie popularnych w dawnym zaborze pruskim.

Król znalazł się też w hymnie, utworzonego przez Dmowskiego w grudniu 1926 Obozu Wielkiej Polski, walczącego z Piłsudskim, powracającym do władzy w wyniku zamachu stanu. To tego wroga mieli na myśli endecy, śpiewając:

Naprzód idziem zbrojni duchem,
Antychrysta pędzić precz.
Matko Boża nas wysłuchaj,
Błogosław Chrobrego Miecz!

zawłaszczeniu króla i piastowskiego dziedzictwa przez narodowców świadczyło też umieszczenie na partyjnej odznace „mieczyka Chrobrego". Miały go na marynarkach i bluzach nacjonalistyczne bojówki, organizujące w latach 30. antysemickie burdy i pogromy.

Taką samą politykę historyczną prowadzili po 1945 komuniści, chcąc nią legitymizować swą władzę, otrzymaną z rąk sowieckich okupantów. Dobrze bowiem wiedzieli, że Polacy narzuconego im systemu nie akceptują, ale popierają przesunięcie granicy z Niemcami na Odrę i Nysę Łużycką, traktując to jako rekompensatę za zabór przez ZSRR wschodniej połowy II RP. Nowy reżim eksploatował, więc wątek piastowski jak tylko potrafił.

Szczególnie gorliwie czynił to Władysław Gomułka. Już w czasie pierwszej odsłony swoich rządów, w latach 1945-1949, był ministrem Ziem Odzyskanych, jak nazwano nowe nabytki terytorialne na zachodzie i północy. Zaś kiedy ponownie powrócił do władzy w 1956 roku, jego pomysłem było przesłonięcie organizowanych przez prymasa Stefana Wyszyńskiego obchodów 1000-lecia chrztu Polski, zakrojonymi na wielką skalę uroczystościami 1000-lecia państwa polskiego. Raz jeszcze sięgnięto wtedy po Chrobrego, spopularyzowanego przez endeków i mocno działającego na wyobraźnię.

Dzisiaj na tej samej propagandowej nucie gra Kaczyński. W walce z Platformą Obywatelską ponownie przebiera się w historyczny kostium z wizerunkiem Chrobrego. Robi to tak ochoczo, że nie przeszkadza mu maszerowanie w butach Dmowskiego i Gomułki, nieprzysparzające przecież chwały i wdzięku. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391

REKLAMA

PIERWSI W KORONIE

KUP TERAZ

Wydanie papierowe – w kioskach i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 8d168fc391

weekendówka 150

CO DWIE TĘGIE GŁOWY...

Pierwszy z kilkuset listów, jakie między sobą wymienili, ma datę 11 kwietnia 1906 roku. Sigmund Freud, austriacki lekarz, psycholog i neurolog napisał do swojego młodszego kolegi po fachu, Szwajcara Carla Gustava Junga, informując go, że nabył i przeczytał jego dzieło, „Diagnostische Assoziationsstudien", które Jung napisał razem z rodakiem, Franzem Riklinem.

Rzecz jasna panowie słyszeli wcześniej o sobie, zresztą, trudno, by było inaczej. Przecież Freud już w 1899 roku wydał swoje opus magnum – „Die Traumdeutung", czyli „Objaśnianie marzeń sennych", w których twórca psychoanalizy pisał: „kto zaś nie umie objaśnić sobie, jak powstają obrazy senne, ten daremnie będzie próbował zrozumieć fobie, natręctwa i obłędne rojenia, czy też to, w jaki sposób wywrzeć na nie wpływ terapeutyczny" (w przekładzie Roberta Reszke, Wydawnictwo KR, Warszawa 1996).

Jung, na prośbę ordynatora Burghölzli, czyli Kliniki Psychiatrii Uniwersytetu w Zurychu, Eugena Bleulera, którego był asystentem, napisał recenzję tego dzieła, a zanim Freud napisał doń pierwszy list, posłał mu inną swoją pracę.

Obaj panowie spotkali się po raz pierwszy 3 marca 1907 roku w Wiedniu, a rozmowa miała trwać nieprzerwanie przez... 13 godzin.

Tak narodziła się niezwykła przyjaźń dwóch potężnych umysłów, których dzieliła jednak spora różnica wieku (Jung był 20 lat młodszy).

Freud widział w Jungu swego najzdolniejszego ucznia, następcę, darzył nieomal ojcowskim uczuciem. Zrobił z młodszego kolegi redaktora naczelnego utworzonego przez siebie Jahrbuch für psychoanalytische und psychopathologische Forschungen - rocznika dot. badań psychoanalitycznych. A gdy powołał Międzynarodowe Towarzystwo Psychoanalityczne, mianował rzecz jasna Junga przewodniczącym. Chciał zresztą, by Szwajcar piastował tę funkcję dożywotnio, ale zaprotestowali inni psychoanalitycy.

Przyjaźń skończyła się w roku 1913. Jung podważał główną ideę Freuda, że człowiekiem i jego poczynaniami kieruje głównie popęd seksualny, ale różnice – jak się okazało, nie do pogodzenia, dotyczyły wielu kwestii. 6 stycznia 1913 roku Jung wysłał do Freuda list, w którym zerwał przyjaźń, kończąc pismo słowami: „Reszta jest milczeniem".

Panowie widzieli się po raz ostatni kilka miesięcy później, we wrześniu, podczas Międzynarodowego Kongresu Psychoanalitycznego w Monachium.

Dzisiejszą „Weekendówkę", z okazji rocznicy pierwszego listu, poświęcamy filozofii i filozofom. Bo choć Freud i Jung byli przede wszystkim psychoanalitykami, to niech wystąpi ten, kto by filozofami ich nie nazwał.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

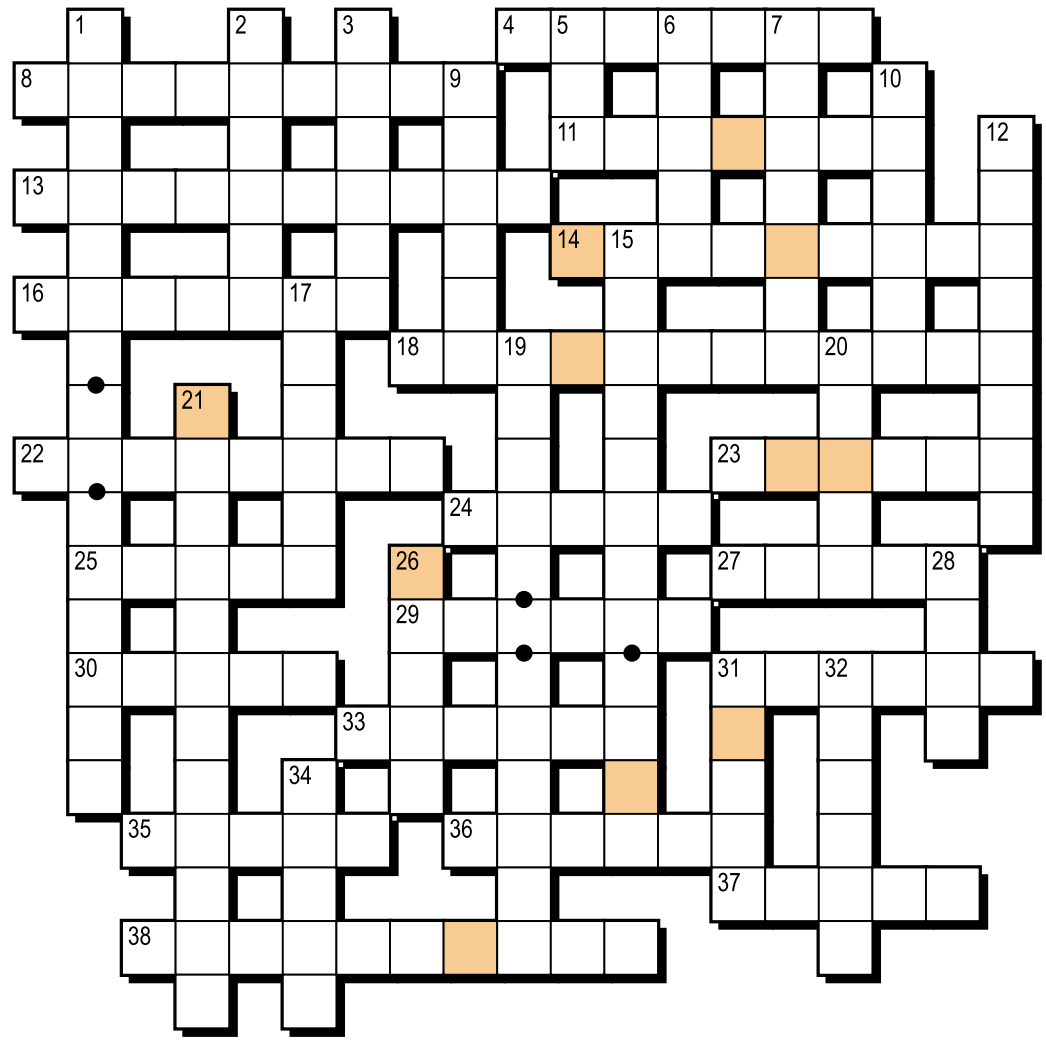

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 149 z 5.04

Poziomo:
2) Cambridge, 9) promotor, 10) Frankfurt, 12) uniwersytet, 13) notatki, 15) kwestor, 16) relegacja, 17) harwardczyk, 20) wypisy, 21) uczelnia, 22) klub, 23) akademiki, 25) naukowiec, 29) Maria, 31) fundusz, 32) badacz, 33) duchowni, 34) kampus, 35) elita, 36) instytut.

Pionowo:
1) prorektorzy, 3) biret, 4) doktora, 5) edukacja, 6) Sztuki, 7) politechnika, 8) konserwatorium, 11) starodruki, 14) reżyseria, 15) kursy, 18) żak, 19) studenciak, 23) adiunkt, 24) Erasmus, 25) nabory, 26) kobieta, 27) wydział, 28) Adam, 30) alumni.

HASŁO:
MAGISTERIUM

KRZYŻÓWKA FILOZOFICZNA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) Pierre, średniowieczy filozof i teolog, nauczyciel i ukochany Heloizy
8) autor dzieła „Tako rzecze Zaratustra"
11) zwolennik systemu filozoficznego stworzonego przez świętego z Akwinu
13) w filozofii i niektórych religiach: zespół wyobrażeń o powstaniu i początkowym stanie istnienia świata
14) filozof, któremu bliska jest teoria rzeczywistości przeciwstawna metafizyce
16) twierdzenia uznawane za pewniki, niewymagające dowodu; aksjomaty
18) rozważania i wypływające z nich wnioski
22) system poglądów angielskiego filozofa o imieniu Francis (zm. 1626)
23) ... Pascal, francuski uczony uważany za prekursora egzystencjalizmu i intuicjonizmu
24) Tomasz, angielski myśliciel, autor dzieła „Utopia"
25) „Krytyka czystego ...", dzieło myśliciela z określenia 15 pionowo (wpisujemy w mianowniku)
27) Auguste kojarzony z filozofią pozytywistyczną
29) ... z Canterbury, doktor Kościoła, jeden z twórców scholastyki
30) imperatyw, czyli ... moralny
31) imię Kołakowskiego, filozofa
33) moja ... życiowa: chwytaj dzień (panta rhei)
35) ... Aureliusz, cesarz rzymski, filozof
36) wierzy w możliwość bezpośredniego łączenia się duszy ludzkiej z Bogiem
37) imię Blocha i Cassirera
38) kraina, z której pochodził Baruch Spinoza

Pionowo:
1) przydomek postaci z określenia 35 poziomo
2) grecka ... filozoficzna, np. cyrenaicy, stoicy
3) myśliciel, mędrzec
5) ... określa świadomość (a może odwrotnie?)
6) w ręku Diogenesa szukającego człowieka
7) Bertrand, filozof i logik, twórca filozofii analitycznej
9) grecki filozof z wyspy Samos
10) imię Heideggera
12) mąż Ksantypy, wypił cykutę
15) filozof z Królewca kojarzony z imperatywem kategorycznym
17) chiński kierunek filozoficzny i religijny, którego twórcą był Lao-cy
19) grecki filozof uważany za twórcę stoicyzmu
20) ... z Rotterdamu, autor dzieła „Pochwała głupoty"
21) filozofia to ciągłe ... odpowiedzi na największe zagadki istnienia
26) matematyk i filozof z Miletu
28) Demokryt – Abdera, Heraklit – ?
31) John, angielski filozof i ekonomista, twórca klasycznego empiryzmu (z liter wyrazu „kolec")
32) ... Weil, francuska filozofka i mistyczka
34) Georg, główny przedstawiciel idealizmu niemieckiego

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34354617
MAGAZYN wyborcza
szukaj w punktach sprzedaży prasy przez cały tydzień!

1 RP

eprasa.pl 8d168fc391